

ROBERT OSTASZEWSKI

TYSIĄC CIĘTYCH RÓŻ

Rowicki jako prywatny detektyw wciąż widzi tyle zła. Zaginięcie pewnej Ukrainki sprawi, że obudzą się demony przeszłości i ruszy lawina nieszczęść. Jego złamane serce to najmniejsze z nich.



h
HARDE

Brudny klimat miejskich zakamarków i szemranych interesów. Rowicki z właściwym sobie uporem i wdziękiem odkłada pelerynę superbohatera i wkracza na scenę zadawnionych krzywd oraz rodzinnej traumy.

Przemysław Żarski

ROBERT OSTASZEWSKI

**TYSIĄC
CIĘTYCH
RÓŻ**


**HARDE
WYDAWNICTWO**

Copyright © by Robert Ostaszewski, 2022

Projekt okładki: Olga Bołdok-Banasikowska

Redakcja: Zosia Rokita

Redaktor prowadząca: Anna Sperling

Korekta: Firma UKKLW – Weronika Girys-Czagowiec, Karolina Kuć, Agata Łojek

Zdjęcia na okładce: Shutterstock

Copyright © for the Polish edition by TIME SA, 2022

ISBN 978-83-67217-30-9

Wydawca:

TIME Spółka Akcyjna

ul. Jubilerska 10, 04-190 Warszawa

wydawnictwoharde.pl

facebook.com/hardewydawnictwo

instagram.com/harde_wydawnictwo

Dział sprzedaży i kontakt z czytelnikami: harde@grupazpr.pl

Wersję elektroniczną przygotowano w systemie Zecer

Prologi

1.

Dwa tygodnie wcześniej

Zamarła.

– Bład’! – krzyknęła, ale zaraz zakryła usta dłonią, jakby chciała wepchnąć w nie to słowo „kurwa”, które wymknęło się wbrew jej woli.

Nasłuchiwała, jednak na niewiele to się zdało. Łomotanie serca i bolesne pulsowanie krwi w skroniach sprawiały, że prawie żadne dźwięki z zewnątrz nie docierały do jej uszu.

Była tu sama. Chyba. Błagała w myślach, żeby tak było.

Pokuśtykała ku kępie krzaków, którą zauważyła przed sobą. Z trudem, pojękując cicho, utrzymywała równowagę. Musiała się ukryć, odpocząć chociaż przez kilka minut. Ostre kolce przejechały po jej nagim udzie, pozostawiając krwawe rysy. Ożina, jeszcze i to na dokładkę, pomyślała. Jakby już nie dość była pokiereszowana. Ostrożnie, omijając płożące się pędy, okrążyła rozrośnięty krzak jeżyny i usiadła za nim tak, by zasłaniał ją od strony, z której przyszła. Marna kryjówka, ale innej nie miała.

Obejrzała poranione stopy. Nie było dobrze. Wsuwane sandały pogubiła zaraz po tym, jak wyskoczyła z samochodu i pognąła w las. Na początku nawet lepiej biegło się jej bez butów. Napędzała ją czysta adrenalina, wytłumiając ból. Po kilkuset metrach szaleńczego biegu pomiędzy drzewami poczuła ciepło na stopach i pierwsze ukłucia na skórze. Najpierw lekkie, niczym krawiecką szpilką, potem coraz mocniejsze i dotkliwsze. Na jej nieszczęście uciekała przez wysuszony, iglasty las, gdzie bardzo mało było miękkiej ściółki. Pokiereszowała stopy na wysuszonych szyszkach, igłach, gałęziach i kamykach. Biegła tak długo, jak mogła. Zdaje się, że zgubiła pogoń. Później starała się iść najszybciej, jak się tylko dało, z bólu zagryzając wargi do krwi. Ostre, rozpalone szpile wbijały się w jej nogi i wędrowały prosto do mózgu. Tak to odczuwała. Ból mącił jej wzrok i odbierał oddech. Myślała, że nie może być już gorzej. Myliła się.

Nie zauważyła jej. Po prostu. Nadepnęła na wysuszoną, ostro zakończoną gałąź sosny, która rozorała jej podeszwę prawej stopy. Siedząc za krzakiem jeżyny, oglądała nogę. Rana była głęboka i wciąż krwawiła. Ściągnęła koszulkę na ramiączka i obwiązała nią nogę. Kiepski opatrunek. Zdawała sobie jednak sprawę, że musi iść, uciekać jak najdalej. Tyle tylko, że ćmiący ból i zmęczenie odebrały jej siły. Musiała odpocząć, odetchnąć, choćby przez kilka minut. I zastanowić się, co dalej.

Nie wiedziała, gdzie jest. Nie miała pojęcia, w którą stronę ruszyć. Byle dalej, byle przed siebie, akurat to nie ulegało wątpliwości. Na dokładkę las ją przerażał. Wychowała się i mieszkała w mieście. Nie za wielkim, ale jednak mieście. Nawet nie jeździła do dziadków na wieś, jak większość jej znajomych, bo akurat jej babusya i didus' też byli jak najbardziej miejscy. A teraz znalazła się w obcym kraju, w samym środku lasu. Bez paszportu, komórki, portfela. Z kilkoma letnimi ciuchami na sobie. Poraniona i spragniona. Wylękniona niczym ścigany przez lisa zając, który przycupnął przy miedzy. Skąd takie porównania przyszły jej do głowy? Łudziła się, że las nie jest wielki, że prędzej czy później trafi na jakąś drogę, wieś czy choćby leśniczówkę. Że dotrze do ludzi, którzy jej pomogą. Przecież muszą gdzieś tu być jacyś normalni, dobrzy ludzie...

Ocknęła się nagle. Przyćmione światło zachodzącego słońca ledwie przenikało przez gęstwinę drzew. Gdzie była? Co się z nią działo? Leżała na suchej, pachnącej intensywnie ściółce. Tuż przed jej twarzą maszerował spory, połyskliwie czarny owad. Żuczek? Coś w tym rodzaju. Ogarnęła ją panika, głęboka i dojmująca. Jak mogła zasnąć?! Przecież miała odpoczywać tylko przez chwilę. Próbowwała szybko się podnieść, ale nie ustała na rozoranej stopie. Padła na kolana. Czuła, jak łzy spływają po jej policzkach. Łkała bezgłośnie.

I nagle usłyszała. Ten dźwięk. Najpierw odległe, później coraz wyraźniejsze ujadanie. Pies w lesie? Oznaczało to tylko jedno – nie odpuścili jej, tropili jak dzikie zwierzę. Podniosła się i próbowała biec. Przed siebie. Jak najdalej od złych ludzi, którzy oszukali ją, zwabili w pułapkę. Ale ledwie dawała radę truchtać. Jęczała, próbowała przemóc ból. Wściekłe ujadanie zbliżało się do niej z każdą sekundą. Nie oglądaj się, nie patrz za siebie, zaklinała się w myślach. Parła do przodu resztką sił. Nie chciała się poddać, nie mogła. Czarne mroczki wirowały jej przed oczami. Serce o mały nie wyskoczyło z piersi. Szczekająca bestia była jednak coraz bliżej.

Najpierw poczuła uderzenie, dopiero potem ból łydki, w której zatopiły się psie kły. Runęła na ziemię. Zwierzę, powarkując, szarpało ją za nogę. Próbowała walczyć, kopać, ale nie miała sił. To tak ma się skończyć?, przeleciało jej przez głowę.

– Thor, zostaw! – krzyknął mężczyzna, którego głosu nie kojarzyła. Chyba. – Zostaw!

Pies szarpnął jeszcze raz, ale puścił jej łydkę. Ciągle powarkując, oparł się przednimi łapami o jej plecy. Był duży i ciężki.

Na ściółce tuż obok jej głowy zachrzęściły kroki.

– Złaź z niej! Zostaw!

Usłyszała pojedyncze, dudniące szczeknięcia.

– Głupie bydlę.

Pies zaskomlał. Po chwili już jej nie przygniatał.

Nie myślała, co się zaraz stanie. Chciała zniknąć, przestać istnieć. Tak po prostu.

– Odwróć się, suko.

To do niej?

– No już! – usłyszała.

Nie zareagowała. Było jej wszystko jedno. Poczuła mocne kopnięcie w bok, które przetoczyło ją na plecy. Otworzyła oczy. Stał nad nią wysoki, napakowany facet. Nie widziała go wcześniej. Mężczyzna, uśmiechając się krzywo, patrzył na nią. Płynnym ruchem wyciągnął zza paska pistolet i wycelował prosto w jej twarz. Szczęknęła odbezpieczana broń.

Wstrzymała oddech. To już, zaraz?

– Od nas, głupia ruro, się nie ucieka.

Pośród sosen przetoczył się huk wystrzału.

2.

Rok wcześniej

Podniosłem aparat fotograficzny, zrobiłem zbliżenie. Nadal działo się mniej więcej to samo, co przez ostatnie godziny. Delikwent krzątał się na piętrze domu, czasami ustawiał i przestawiał jakieś rzeczy. Mogło to coś znaczyć, jednak wcale nie musiało. Równie prawdopodobne jak to, że

tylko sprzątał, było to, że przygotowywał się na spotkanie z kobietą. Na dwoje babka wróżyła.

Odłożyłem aparat do futerału, usiadłem na stercie cegieł, które sam przytargałem, zapaliłem. Punkt do obserwacji był wprost idealny. Dwupiętrowy blok w budowie dokładnie naprzeciwko piętrówki delikwenta, który – uznając, że wciąż jeszcze nie ma sąsiadów – nie kłopotał się zaciąganiem zasłon. Lepiej być nie mogło. Cieciami pilnującemu budowy dałem na dwie flachy i obiecałem, że niczego nie ukradnę. Nie wnikał, co robię, byleby tylko nikt mnie nie zobaczył. Na tym akurat mi zależało tak samo jak jemu.

Byłem trochę znudzony, tkwiłem w miejscu od prawie trzech godzin. W gruncie rzeczy robota prywatnego łapsa niezbyt różniła się od pracy policjanta. W obu przypadkach potrzeba morza cierpliwości, w przeciwnym razie trudno o efekty. Wyraźna różnica była jedynie taka, że teraz nie musiałem produkować raportów z każdej czynności, bo sam sobie byłem szefem. W firmie jednoosobowej. Pewnie na długo, bo po kilku miesiącach działalności nic nie wskazywało na to, żebym w najbliższym czasie miał środki na zatrudnienie pracownika. Choćby tylko sprzątaczkę, która ogarniałaby moje biuro. Sprzątałem więc sam. Teoretycznie.

Zadzwoiła komórka, spojrzałem zaintrygowany na wyświetlacz. Oczywiście, na dwoje babka wróżyła i wywróżyła moją starowinkę.

– Czołem, Felicja.

– Dobry wieczór, chłopczyku.

Wiedziałem, że do znudzenia ponawiana prośba, aby moja babka nie zwracała się do mnie w ten sposób, nie przyniesie efektu, więc „chłopczyka” puściłem mimo uszu.

– Czemu tak milczysz? – Felicja z wiekiem robiła się coraz bardziej niecierpliwa. W przeciwieństwie do mnie.

– Na obserwacji jestem.

– Aaa, zaglądasz komuś w niezbyt czyste gatki. Niemiłe.

Uwielbiałem poczucie humoru babki. Od zawsze.

– Ten to akurat z rodzaju czyściochów.

– Jeśliby tak było, nie trafiłby pod twoją obserwację – Felicja wyciągnęła trafny wniosek. – Co to za sprawa?

– Normalka. Zbieram kwity do rozwodu.

– I uda ci się zebrać?

– Raczej na pewno.

Westchnięcie Felicji zabrzmiało w słuchawce niczym powiew wiatru.

– I ty, polonista, nic to, że upadły, konstruujesz tak koślawe logicznie zdania. Upadek i degrengolada.

Roześmiałem się szczerze.

– Dzwonisz do mnie z czymś konkretnym czy tylko żeby się ze mną poprzekomarzać?

– To już do własnego, jedyne wnuka nie mogę, ot tak, po prostu, zadzwonić? – zdziwiła się z teatralną przesadą. – Dawno cię nie było w Ciechanowie. Trochę się stęskniłam.

Miałem świadomość, że to „trochę” oznacza ni mniej, ni więcej, że Felicja już niezwykle i dotkliwie stęskniła się za mną. Przełknąłem ślinę raz i drugi, żeby zbyt nie rozkleić. Też brakowało mi babki jak cholera.

– Zarobiony jestem, ale kiedy tylko będę miał wolną chwilę, przyjadę do ciebie.

– Takie tam gadanie na odczepnego...

– Naprawdę. Wiesz, że wciąż rozkręcam firmę, muszę się przyłożyć – nie musiałem się tłumaczyć, ale chciałem.

– Wiem, przecież wiem. Bigosu nagotowałam...

Znowu wybuchnąłem śmiechem.

– Wcale nie musisz kusić mnie bigosem.

Wypytałem jeszcze, co u niej i czy ze zdrowiem w porządku. Bo po zapaści Felicji sprzed roku ciągle się bałem, że krucha równowaga jej organizmu może zniknąć z dnia na dzień. Zarzekała się, że jest zdrowa jak rydz, ryba i koń razem wzięte. Chciałem wierzyć, że to cała prawda i tylko prawda. Na koniec życzyła mi serii bardzo udanych zdjęć. Cała, kochana Felicja.

Kolejny raz sprawdziłem, co u delikwenta. Zapalał świece. Bingo! Najwyraźniej kroilo się coś przyjemnego. Również dla mnie, bo już oczyma wyobraźni widziałem bardzo konkretną sumę na moim koncie.

Moja firma detektywistyczna wciąż była na dorobku i musiałem się nieźle nakombinować, by związać koniec z końcem. W chwilach zwątpienia wydawało mi się, że porwałem się z motyką na słońce. Po rozwiązaniu w roku 2014 sprawy trzech tajemniczych zgonów polskich turystów w Grecji wpadłem na pomysł, że może jednak dałbym radę zarabiać na bułkę z masłem jako prywatny detektyw. Prawdę

powiedziawszy, zbyt wielu innych opcji nie widziałem. I nawet, jak nie ja, postanowiłem ten pomysł wprowadzić w życie. Tyle tylko, że wypłynęła sprawa starego zeszytu w płóciennych okładkach, z powodu której przez ładnych parę miesięcy ścigałem duchy z przeszłości. Efekt był do przewidzenia, bo trudno jest dopaść duchy. Kiedy jako tako ochłonałem i pogodziłem się z porażką, wróciłem do pomysłu z agencją detektywistyczną.

Zazwyczaj szczęście omijało mnie szerokim łukiem jak parszywego psa. Taka karma, która – jak wiadomo – jest suką. Jednak tym razem mi dopisało, co wprowadziło mnie w stan zarówno osłupienia, jak i radości. Zakładałem, że będę miał pod górkę, bo wcześniej obijało mi się o uszy, że wcale nie jest łatwo zdobyć licencję detektywa. Jakieś egzaminy, komisje, sterta dokumentów. A tu niespodzianka! Okazało się, że w roku 2014 weszła w życie nowa ustawa o usługach detektywistycznych, dzięki której zdobycie licencji było proste jak konstrukcja cepa. Przynajmniej dla mnie jako byłego policjanta. Założyłem więc firmę i stanąłem przed dylematem, jak znaleźć klientów. Z niespodziewaną pomocą przyszedł mi Staszek Kiełbasa, kumpel z Krakowa, który od czasu naszych greckich przygód uważał mnie za wybitnego śledczego. Zaczął rozpowiadać o mnie swoim licznym znajomym, a pogadać to on zawsze sobie lubił. Zachwalał mnie jako detektywa dyskretnego i skutecznego. I niedrogiego. Pewnie to ostatecznie zadecydowało, że znajomkowie Staszka zaczęli się do mnie zwracać. A to sprawa rozwodowa, a to biały wywiad gospodarczy... I tak to się rozkręcało. Wprawdzie niezbyt szybko, ale do przodu. Z głodu nie umierałem, na fajki miałem.

Pod dom delikwenta podjechała taksówka. Przygotowałem aparat, mając nadzieję, że zaraz zacznie się akcja, która sprawi, że szybko zamknę tę niezbyt skomplikowaną sprawę. Mina mi zrzedła, kiedy zobaczyłem, że z auta wysiada para. Na oko wyglądali na trochę młodszych niż mężczyzna, którego obserwowałem. Czyżby więc chodziło o zwykłe odwiedziny znajomych? Do tego się przygotowywał? Czuję się mocno zawiedziony.

Upiłem łyk wody, zapaliłem kolejnego papierosa, starając się nie dostrzegać kilkunastu niedopałków u moich stóp. Jakiś czas temu, czując, że oddech znacząco mi się skrócił, chciałem ograniczyć palenie, jednak specyfika mojej roboty nie sprzyjała aż tak heroicznym czynom. Może

kiedyś, w jakichś spokojniejszych czasach, rzucę fajki. Choć prawdopodobnie spokój nigdy nie zagości w moim pokręconym życiu.

Bardziej dla czystości sumienia niż z nadzieją na cokolwiek interesującego popatrywałem w odsłonięte okna domu. Cała trójka pojawiła się w pokoju, który był urządzony w stylu małego salonu: spora kanapa, ława, stoliczek, a na nim kilka butelek alkoholu i szklanki – w sam raz na relaks lub chillout, jak to się teraz mawia. Szczupła blondynka z długimi, prostymi włosami stanęła tyłem do okna. Zdziwiło mnie, że wciąż miała na sobie lekki płaszcz do pół uda. Czyżby nie zanosilo się na dłuższą wizytę? To po co delikwent tak się starał? Kobieta zaczęła zdejmować płaszcz. Nie, „zdejmować” to nie jest właściwe słowo. Ona powoli zsuwała płaszcz, odkrywając nagie ramiona, czarny stanik, dół pleców, czarny, koronkowy pas do pończoch z kreską stringów poniżej... Płaszcz opadł na podłogę. Zacząłem pstrykać zdjęcie po zdjęciu. Jej towarzysz z taksówki podszedł do niej, zaczęli się całować. Potem kobieta uklękła przed nim. Delikwent siedział rozparty na kanapie ze szklaneczką w dłoni i wbijał wzrok w parę, która poczyniała sobie nader aktywnie.

– Zboczuszk, nieładnie się bawisz – skomentowałem na głos.
Migawka aparatu cykała miarowo.

3. Półtora roku wcześniej

Spojrzałem na leżący na fotelu pasażera stary zeszyt w płócienniej okładce. Poznaczony był wyraźnymi odciskami niezbyt czystych palców. Nie tylko moich. Z ciemnym okręgiem odcisniętym prawdopodobnie przez kubek z kawą albo kieliszek z winem. Kto wie? Na pewno nie ja. Wiem natomiast, dlaczego kartki zeszytu są pożółkłe i pofałdowane. Bo kiedyś po pijaku wylałem na niego pół butelki piwa. Wtedy nie żałowałem zwykłego tyskiego, ale zeszytu jak najbardziej. Osuszałem go suszarką do włosów pożyczoną od sąsiadki. Własnej nigdy nie miałem. Jakoś się nie złożyło.

Otrząsnąłem się z zadumy, roztarłem zgrabiałe dłonie. W mišku, jak pieśczośliwie nazywałem moje mitsubishi eclipse, robiło się coraz chłodniej. Jeszcze raz rozejrzałem się po miejscu, do którego doprowadził

mnie zeszyt. Podobnie jak wcześniej do wielu innych. Zeszyt, który od miesięcy był mi kompasem – wadliwym, bo nie wyznaczał w zrozumiały, precyzyjny sposób kierunku. Za metalową bramą osadzoną w solidnym ogrodzeniu z polnego kamienia ciągnął się szpaler starych drzew, teraz ogołoconych z liści. W głębi rozległej posesji stał niewielki, parterowy dwór z użytkowym poddaszem. Do jego prawego boku przylegała nowoczesna, dwupiętrowa przybudówka, pasująca do dworkowych klimatów jak pięść do oka. Dom seniora Cicha Przyszań w całej krasie. Oaza Spokoju, Złota Jesień... Kto im wymyślał takie kretyńskie nazwy? I czy ktokolwiek łapał się na te marketingowe ściemy? Przecież jakby wymyślnie i uroczo nie nazywać domów seniora czy opieki, zwykle są tym, czym są, czyli umieralniami. Mniej lub bardziej komfortowymi. Cicha Przyszań należała do bardziej wypasionych, co potwierdzał cennik usług. Sprawdziłem go przed przyjazdem.

Wysiadłem z auta, przeciągnąłem się. Za ledwie kilka godzin jazdy do wioski pod Makowem Mazowieckim, a czułem się tak, jakby ktoś wsypał mi piasek w stawy. Chociaż właściwie Cicha Przyszań nie znajdowała się w żadnej wsi, tylko w szczerym polu, obok wąskiej drogi trzeciej kategorii odśnieżania. Albo nawet nieodśnieżanej wcale, bo i po co. Ciągnikiem zawsze się po niej przejedzie. Do najbliższych zabudowań były pewnie ze dwa kilometry. Z okładem. Ruszyłem w stronę bramy. Ziemia chrzęściła pod stopami, bo listopadowy przymrozek jeszcze nie puścił, mimo że na przymglonym horyzoncie majaczył cień słońca. Dobrze sobie, cień słońca. Jeśli trzymały się mnie grafomańskie frazy, to musiałem być zestresowany. I najpewniej byłem.

Kilka dni wcześniej zapowiedziałem swoją wizytę, więc wystarczyło, że rzuciłem nazwisko do domofonu i zostałem wpuszczony. Przez główne drzwi wszedłem do dworkowego hallu, który bardziej kojarzył się mi z poczekalnią u dentysty niż hotelową recepcją. Ktoś zadbał o spójny wystrój wnętrza, ale by było przytulne, już nie. Zza kontuaru podniosła się młoda blondynka ubrana w coś w rodzaju podrasowanego fartucha pielęgniarki. Przywitała się raz jeszcze, głos miała przyjemny, powiedziałbym nawet, że zmysłowy. Myślałem, że od razu zaprowadzi mnie do człowieka, z którym chciałem porozmawiać, ale ona zaczęła mnie najpierw przepytywać. Może takie mieli zalecenia i procedury? A może zwyczajnie się nudziła i chciała sobie pogadać, by czas w robocie szybciej zleciał? Jakiś niewinny flirt do tego? O nie, żaden flirt. Po

rozstaniu z Pauliną obiecałem sobie, że koniec z flirtami, a już na pewno z dużo młodszymi kobietami.

Blondynka stanęła przede mną, opierając się plecami o kontuar.

– Jest pan z rodziny pana Waldemara?

– Pani... – spojrzałem na plakietkę przypiętą na jej piersi – Karolino, jestem... – w sumie nie byłem przygotowany na tego rodzaju pytania. Błąd. – Moi rodzice znali się z Waldemarem – nawet za bardzo nie nałgałem. – Akurat wybierałem się w wasze okolice, więc pomyślałem, że odwiedzę ich dawnego znajomego. Powspominamy stare czasy.

– Pana rodzice tutaj nie przyjeżdżali – ni to stwierdziła, ni zapytała.

– A skąd pani wie?

– Bo pana Waldemara nikt nie odwiedza.

Akurat to mnie nie zdziwiło. Wcześniej poszperałem tu i tam, by dowiedzieć się, ile się dało, na temat życia prywatnego i zawodowego Waldemara Zatorskiego. Dawno rozwiedziony, była żona żyje, ale, jak się okazało, nie interesuje się losem eksa. Dzieci brak, przynajmniej oficjalnie. Z drugiej jednak strony, żeby nawet kumple z firmy o nim zapomnieli? Dziwne, bo zdaje się, że wcale nie był wyjątkowym skurwysynem. Zeszyt z płócienną okładką doprowadził mnie już do dużo mroczniejszych typów.

– To smutne – powiedziałem, starając się udawać empatię. – Ale cóż, taki bywa los starszych ludzi – pojechałem słabym truizmem.

– Dobrze więc, że pan przyjechał... – recepcjonistka zawiesiła głos, jakby potrzebowała czasu, żeby postanowić, co i jak powiedzieć. – Tylko chyba za bardzo nie porozmawia pan sobie z panem Waldemarem.

– Bo...?

– Ma lepsze i gorsze dni. Dzisiaj akurat wypadł ten gorszy.

– Co mu dolega?

– Starość, proszę pana – w jej głosie pobrzmiwały nutki żalu. Chyba należała do niezbyt licznego grona opiekunów, którzy choć trochę przejmowali się losem swoich podopiecznych. Zresztą w takiej robocie nadmiar empatii może namieszać w głowie. – Pan Waldemar ma postępującą demencję.

I dobrze kutasowi!, pomyślałem odruchowo, bez większej mściwości. Choć może nie do końca, bo pewnie nie ma świadomości lub po prostu nie pamięta, ile krzywd wyrządził w swoim podłym życiu.

– Jednak chciałbym spróbować z nim porozmawiać. Albo chociaż go zobaczyć.

Bez słowa skinęła dłonią i poprowadziła w stronę korytarza po prawej stronie hallu. Przez krótki łącznik, przeszklony od podłogi po sufit, dotarliśmy do nowej części ośrodka. Po drodze minęła nas jedynie kobieta z obsługi, która pchała wózek z brudnymi naczyniami. Gruba wykładzina tłumiła nasze kroki, co jeszcze bardziej potęgowało wrażenie ogarniającej mnie cichej martwoty.

– Zawsze tu tak?

Recepcjonistka spojrzała na mnie z ukosa.

– Co pan ma na myśli?

– Tak cicho.

– Po prostu zapewniamy naszym gościom spokój, którego potrzebują.

Cokolwiek to znaczy, pomyślałem, ale nie drążyłem. Może pokoje pensjonariuszy były świetnie wygłuszone? A może faszerowali ich jakimiś otumaniającymi specyfikami? Nie moja sprawa. Rzadko bywałem w takich miejscach, a jeśli już – miało to związek z pracą. I zawsze wtedy obiecywałem sobie, że moja babka Felicja nigdy do takiego miejsca nie trafi, choćbym nawet miał tkwić u jej łóżka miesiącami. Odpukać w niemalowane!

Recepcjonistka nie zapukała, tylko otworzyła drzwi oznaczone numerem szesnaście i gestem pokazała, że mogę wejść. Najpierw rozejrzałem się po pomieszczeniu. Wyglądało jak zminiaturyzowana kawalerka pod wynajem. Spore okno z widokiem na zaorane pole, umeblowanie jak w hotelowym pokoju, drzwi po lewej prowadziły pewnie do łazienki. Do całości nie pasował tylko duży skórzany fotel ustawiony przy oknie, z pokryciem starym, spękanym, pełnym bruzd i zagnieceń. W fotelu siedział on, Waldemar Zatorski, czyli moja ostatnia nadzieja. Zdemenciała.

Chwyciłem krzesło stojące przy niewielkim biurku, ustawiłem przed fotelem i usiadłem. Zatorski nie zareagował, gapił się przez okno. Był chudy albo nawet wychudzony. Zapadnięte policzki pokrywała siwa szczecina. W Cichej Przystani opieka nad pensjonariuszami chyba jednak nieco kulała. Chrząknąłem. Dalej nie reagował, więc przysunąłem się z krzesłem pod samo okno. Wypłowiełe bladoszare oczy Zatorskiego przesunęły się po mnie. Patrzył na mnie, ale nie miałem pewności, czy

mnie widzi, bo w żaden sposób nie dał poznać, że zarejestrował moją obecność. Chrząknąłem raz jeszcze.

– Nazywam się Konrad Rowicki.

Nazwisko wypowiedziałem powoli i dobitnie, licząc na to, że jego dźwięk wywoła w podziurawionym mózgu starca jakikolwiek rezonans. Próżne nadzieje. Jednak się nie poddałem. Nie po to jechałem tu tyle godzin, by popatrzeć sobie przez chwilę na Zatorskiego.

– W latach siedemdziesiątych znałeś moich rodziców – nie zamierzałem mu „panować”. – Rowickich – znowu zaakcentowałem nazwisko. – Matka była nauczycielką, a ojciec dziennikarzem. Działali w opozycji, a ty ich śledziłeś.

Zatorski nie reagował, bo chyba strużka śliny spływająca mu z kącika ust nie świadczyła o tym, że moje słowa do niego docierają. Nie zamierzałem jej ocierać. Samarytanin we mnie schował się gdzieś bardzo głęboko.

– Śledziłeś ich... – powtórzyłem, starając się znaleźć słowa, które mogłyby trafić do Zatorskiego. – Moi rodzice, Rowiccy, zginęli w wypadku samochodowym w roku 1982. Niby nic niezwykłego. Kiepskie drogi i samochody. Takie były czasy. A może to jednak nie był banalny wypadek? Ojciec był ponoć dobrym kierowcą. I tak po prostu nie opanował auta, które wpadło w poślizg? Może coś na ten temat wiesz? W końcu siedziałeś im na ogonie. To znaczy, z tego, co ustaliłem, głównie mojemu ojcu. Nieważne – starzec wciąż siedział bez ruchu, z wzrokiem wbitym gdzieś w ścianę. Coraz wyraźniej docierało do mnie, że gadanie do niego nie ma sensu. – Więc wiesz? Może jakieś zmory z nocnych koszmarów przypominają ci o tym? Może nie zapomniałeś o traumach? Może widzisz ich w przebłyskach świadomości? Twój ponurzy koleżdy albo nie żyją, albo nie mam do nich podejścia, bo świetnie, bezpiecznie ustawili się w nowej rzeczywistości. A ty? Chyba tak sobie, jeśli przesiadujesz w tym jebanym fotelu, czekając na śmierć. Zatorski, powiedz cokolwiek, chuju złamany! Chociaż spójrz na mnie!

Już wyciągałem rękę, żeby chwycić go za powyciągany sweter i potrząsnąć, ale zamarłem w pół ruchu. Co ty, Rowicki, najlepszego wyprawiasz! Zerwałem się z krzesła tak gwałtownie, że upadło z hukiem na parkiet. Zatorski nawet nie drgnął. Na jego szczęście przebywał pewnie w innym, całkowicie spokojnym świecie. Trudno.

Byłem już w drzwiach, kiedy w miejscu osadził mnie chrapliwy głos starca:

– Róże, szukaj róż.

Podskoczyłem do Zatorskiego.

– Co to znaczy? Jakie znowu róże?!

Nie poruszył się, znowu patrzył na mnie niewidzącym wzrokiem. Znowu zapadł się w siebie. Zadawanie kolejnych pytań nie miało sensu. Żadnego.

Szedłem powoli korytarzem Cichej Przystani i zastanawiałem się, o co chodzi z tymi różami. I czy w ogóle chodzi o cokolwiek. Może było to zwyczajne spięcie na słabo działających synapsach. Nic więcej.

CZEŚĆ I

„Naciąłeś dziewcząt jak róż w kraju sosny...”

Rozdział pierwszy

Ukraińskie zlecenie

23 czerwca 2016, czwartek, Kraków

Błogosławiłem, jak leci, wszystkie dary lokali w starych kamienicach. Leciwe rury instalacji wodociągowej, przez które woda nieustannie miała posmak kamienia i żelaza. Delikatny zapaszek grzyba, którego nie maskowała świeża warstwa farby. Nawet kaflowe piece przerobione na elektryczne, którymi ogrzewanie kosztowało zimą małą fortunę. Albo i niemałą. Coś o tym wiedziałem. Błogosławiłem więc wszelkie dobro i zło pomieszkiwania w kamienicach, bo miały jedną kluczową zaletę – w upalne dni nawet bez klimatyzacji panował w nich kojący skórę i umysł chłód.

Czerwiec postanowił poudawać środek gorącego lata. Chociaż właściwie nie przypominał żadnego czerwca, jakiego doświadczyłem w nie tak znowu krótkim życiu. Fale trzydziestostopniowych upałów dzień po dniu zalewały nieckę, w której rozgościł się Kraków. Powietrze miało konsystencję pitnego kisielu, a przeskakiwanie z jednej strefy cienia do drugiej zamieniało się w sport ekstremalny. Staruszkowie łapali oddech niczym ryby wyrzucone na brzeg. Podobnie ja, bo lata palenia fajek zrobiły swoje. Mimo że do biura przy ulicy Miodowej miałem z domu kwadrans spaceru, podjechałem dwa przystanki tramwajem. Niewiele to pomogło, bo ledwie wysiadłem, cały spłynąłem potem, choć miałem na sobie tylko krótkie gatki, niegodne dorosłego mężczyzny, i obszerny T-shirt. No i japonki, a jakże. Jeśli w ogóle wyglądałem na prywatnego detektywa, to raczej na takiego z Miami.

Wspinałem się na pierwsze piętro, wyklinając upał i siebie samego. Mogłem zostać w domu. Nawet powinienem, bo w zasadzie nie miałem niczego pilnego do zrobienia w biurze. Ale kilka miesięcy temu obiecałem sobie, że uporządkuję moje zwichrowane, chaotyczne życie. Wcisnę je w sztywne ramy dla zachowania higieny psychicznej. Żadnego barłżenia w domu całymi dniami. Od poniedziałku do piątku praca w biurze – przynajmniej po kilka godzin dziennie. Bez wyjątków. Dyscyplina, te

sprawy, jak mawiał mój były przełożony. I to postanowienie realizowałem z nadludzką konsekwencją. Jak nie ja. Człowiek jednak potrafi się zmienić, chociaż cholera wie po co.

Zaciągnąłem żaluzje, by promienie słońca nie kłuły mnie w plecy, ciężko opadłem na fotel i odpaliłem komputer. Rzęził, jakby i jemu upał mocno dał się we znaki, w końcu wystartował. Sprawdziłem pocztę, znalazłem sporo spamu oraz niezwykle atrakcyjną ofertę ze sklepu z militariami. Nie, nie potrzebowałem noktowizora. Potrzebowałem nowych zleceń czy choćby wstępnych zapytań, ale żadnych nie było. Niedobrze.

W zeszłym tygodniu zakończyłem sprawdzanie sieci hurtowni spożywczych dla klienta, który zamierzał nawiązać z nią współpracę. Ostrożny człowiek, takich lubię najbardziej. Nie narobiłem się, hurtownie działały na całkowitym legalu i bez większych usterek. Teraz dopinałem sprawę rozwodówki. Banalna, powtarzalna do znudzenia historia. Mąż w kryzysie wieku średniego zaczął skakać na boki, żonie to się oczywiście bardzo nie spodobało. Udokumentowanie zdrad zajęło mi ledwie trzy dni, bo typ nawet specjalnie nie krył się z kochanką. Miałem jeszcze na tapecie sprawę windykacji długu, która ciągnęła się od kilku tygodni. Niby nie chodziło o wiele, ledwie pięćdziesiąt tysięcy, jednak dłużnik skutecznie się wymykał, co już zaczynało mnie drażnić. I tyle.

Żaden nowy temat nawet nie majaczył na rozedrganym od upału horyzoncie. Miałem wprawdzie trochę oszczędności, ale zbliżały się wakacje, czyli czas, kiedy bliźni skupiają się na trwonieniu pieniędzy podczas urlopów i zagranicznych wycieczek, odsuwając rozwiązywanie mniejszych lub większych problemów na później. Oni na chwilę mieli święty spokój, a ja – pustki na koncie. Taka specyfika branży.

Pótleżałem w fotelu, zapaliłem. W moim biurze było względnie chłodno, więc papieros wreszcie smakował, jak powinien. Spojrzałem na porozrzucane na biurku i półkach szafki papiery. Powinienem zacząć przygotowywać dokumenty dla księgowej, ale na to miałem jeszcze czas. Upał i prokrastynacja zawsze chętnie chadzają pod ramię. Zajrzałem do serwisów informacyjnych w internecie. Nie, żeby nadmiernie interesowały mnie przygody świata i okolic. Zwyczajnie nie miałem nic innego do zrobienia. W Anglii odbyło się referendum w sprawie brexitu. Ot, wyspiarskie fanaberie. Interpol zatrzymał dwadzieścia sześć osób podejrzanych o udział w przemyśle migrantów. Wiadomo, co jest

nielegalne, to jest opłacalne, a hieny żerujące na ludzkim nieszczęściu znajdują się zawsze i wszędzie. Podczas demonstracji w Paryżu zatrzymano stu trzynastu manifestantów. To się chłopaki z ichniejszej prewencji narobili...

Drgnąłem na dźwięk domofonu. Nerwy? Niekoniecznie, po prostu rzadko go słyszałem, nie byłem przyzwyczajony. Na listonosza było stanowczo za wcześnie. Kurier? Byłem zbyt staroświecki, żeby wkreślić się w zakupy w sieci, więc kurier też odpadał. Czyżby zbłąkany klient? Większość klientów wcześniej umawiała się telefonicznie lub mejlowo. Poderwałem się z fotela i podniosłem słuchawkę. Kobięcy głos z wyraźnym wschodnim zaśpiewem dopytywał, czy dobrze trafił i czy to biuro detektywa. A więc jednak klientka. Chwalić pana i zastępy aniołów jego!

Usłyszałem delikatne pukanie do drzwi, stałem tuż obok, więc zaraz otworzyłem. Zaprosiłem kobietę do środka, wskazałem na krzesło, a sam usiadłem za biurkiem i uśmiechnąłem się lekko. Zgodnie z zasadą: frontem do klienta. Kobieta wyglądała na lekko spłoszoną i niepewną. Nie ona jedna, w końcu nie co dzień zachodzi się do prywatnego detektywa. A taki łaps to jednak trochę jakby policjant – a ci wzbudzają drzenie nawet w praworządnych do szpiku kości obywatelach. Najczęściej w nich, bo w zbójach już niekoniecznie. Była szczupła, miała farbowane na blond włosy spięte w koński ogon. Mogła mieć ze trzydzieści lat. Może mniej, może więcej, bo mocny makijaż sporo maskował. Ukrainka? W końcu coraz więcej Ukraińców mieszkało w Krakowie i okolicach. I nie tylko w moim mieście. Ukrainki miały w zwyczaju paradować w wieczorowych makijażach w środku dnia. Mnie to nie przeszkadzało, ale zdarzało mi się słyszeć w tramwaju komentarze krakowskich pań, że kto to widział tak się pacykować, że porządnej kobiecie to nie przystoi. Nie wyczuwały różnic kulturowych, ja za to uwielbiałem wszelkie odmienności.

Milczenie przedłużało się, klientce najwyraźniej trudno było ubrać w słowa to, z czym do mnie przyszła. Przejąłem inicjatywę.

– Jak mógłbym pani pomóc? Bo zakładam, że szuka pani pomocy.

Kobieta uśmiechnęła się blado i mocniej ścisnęła w dłoniach uszy trzymanej na kolanach torby.

– Ja... – zaczęła, ale zaraz się zawiesiła.

– Zaczniemy może od samego początku. Ja nazywam się Konrad Rowicki i jestem prywatnym detektywem, ale to na pewno pani już wie.

Znowu uśmiech, tym razem o kilka milimetrów szerszy.

– Oksana Dziuba nazywam się.

– Miło mi, pani Oksano. Teraz proszę opowiedzieć, co panią do mnie sprowadza. Po kolei i spokojnie. Mamy czas.

– Z Ukrainy jestem... – trafiłem! – Ze Lwowa, ale w waszym kraju mieszkam, już trzy lata będzie. Pracuję jako... – najwyraźniej szukała w pamięci właściwego słowa – domem u takich jednych państwa się zajmuję.

Oksana całkiem niezłe mówiła po polsku, tyle że z ukraińskim zaśpiewem i charakterystycznym szykiem przestawnym zdania, z czasownikiem na końcu. Na razie nie wiedziałem, do czego zmierza i czy podawane przez nią informacje są istotne, ale chciałem, żeby zaczęła mówić swobodnie, więc jej nie przerywałem.

– U państwa Kortowski – dodała zaraz. – I u nich w domu była pana detektywa wizytówka. Ja nie wiedziałam, czy mogę spisać pana adres z wizytówki. Pani spytałam, pozwoliła, tylko wypytała mnie dokładnie, o co właściwie chodzi. Ja powiedziałam, musiałam.

Kortowska – i wszystko jasne. Miałem z nią do czynienia na początku roku. Klientka z gatunku wysoce upierdliwych. Wbiła sobie do głowy, że jej mąż, pośledni dyrektor w sporym banku, ją zdradza. Połąziłem więc za nim. Okazało się, że Kortowski jest klasycznym przypadkiem pracoholika. Bez wątpienia zaniedbywał żonę, ale na pewno jej nie zdradzał. Kortowska nie chciała tego przyjąć do wiadomości, zarzucała mi, że nie przykładam się do pracy. A w końcu wypaliła, że powodowany samczą solidarnością kryję liczne występki jej ślubnego. Zgodziłem się wziąć połowę wynagrodzenia, byle tylko zniknęła z mojego życia. Byłem pewien, że praca u Kortowskich wymagała od Oksany anielskiej cierpliwości. Prawdę powiedziawszy, żal mi jej było, tak zwyczajnie po ludzku.

– Znam Kortowskich – powiedziałem.

– Ja wiem. I pani mówiła... – Ukrainka urwała. Na jej policzkach wykwitł rumieniec. – Ja to nie wiem, czy mogę...

Zachęciłem ją gestem dłoni do mówienia.

– Ale to ona mówiła – zastrzegła – że z pana to dupa, nie detektyw.

Nie spodziewałem się, że Kortowska będzie biegać po Krakowie i rozgłaszać moją sławę i chwałę.

– A jednak pani do mnie przyszła.

– Bo... – znowu urwała.

– Bo pani nie za bardzo swojej pracodawczyni wierzy.

Ledwie skinęła głową.

– Dobrze, zostawmy to. Jaki ma pani problem?

– To nie ja właściwe, tylko o przyjaciółkę się martwię.

– Kto to i co się z nią dzieje?

Oksana westchnęła ciężko.

– To o Tatiankę chodzi, Tatianę Zinczenko. Od małego się znamy, w sąsiedztwie mieszkaliśmy przez jakiś czas.

Przerwała, głośno przełknęła.

– Może wody? – spytałem, chociaż zaraz zorientowałem się, że nie mam pojęcia, czy została mi jeszcze pełna butelka mineralnej.

Skinęła głową. Na szczęście w łazience miałem butelkę wody, ostatnią ze zgrzewki. Nalałem pełen kubek i podałem Oksanie. Piła długo. Otarła usta wierzchem dłoni. Ten gest, nie wiedzieć czemu, wydał mi się rozczulający.

– No tak... – chrząknęła – już dawno chciałam ją ściągnąć do siebie, tutaj. Bo tam u nas z pracą i pieniędzmi jest nie za dobrze. Nie chciała zostawiać matki i młodszej siostry. Ja to rozumiała. Tak że dwa miesiące nazad zadzwoniła i powiedziała, że trafiła się jej dobra robota tutaj, w Polsce. I że przyjedzie niedługo i się spotkamy. Na to się cieszyłam. W Krakowie miała być dwa tygodnie temu. Przed wyjazdem z Ukrainy dzwoniła, że następnego dnia u mnie będzie. Ja mieszkanie wysprzątała, pierozków nagotowała, bo wiem, że Tatianka lubi...

– Ale Tatiana nie przyjechała.

– No nie. Najpierw nie przejmowałam się. Czasami z transportem bywa trudno, coś z połączeniami. Jak to w podróży. Normalna. Ale po dwóch dniach zaczęłam się niepokoić. Nie odbierała telefonu. A potem miała wyłączony. Zadzwoniłam do jej matki. Powiedziała, że Tatianka jest w Polsce. No, jak jest, jak jej nie ma?

– Tego pani nie wie. Może zmieniła plany, może wcześniej musiała się stawić w nowej pracy. Różnie bywa.

– Nie, nie, nie... – Oksana energicznie pokręciła głową. – Gdyby coś się u niej pozmiało, na pewno by zadzwoniła, dała znać. To mądra,

odpowiedzialna dziewczyna. I od dwóch tygodni nie odezwała się ani do mnie, ani do matki. Coś złego musiało jej się stać. Niedobrych ludzi, takich, co oszukują, nie brak. I ja bym chciała, żeby pan jej poszukał – otworzyła torebkę i zaczęła w niej grzebać. – Ja oszczędności mam. Ja zapłacę.

– Pani Oksano...

Nie wiedziałem, jak zakomunikować jej prawdę. Zamarła z kopertą w dłoni.

– Sprawa wygląda na poważną, tylko jest jeden problem. Nie specjalizuję się w poszukiwaniu osób zaginionych.

To była najszczerza prawda. Nie chciałem robić Oksanie złudnych nadziei ani jej naciągać. Na pewno nie ją.

– Ale pan przecież prywatny detektyw.

– Zgadza się, ale zwykle zajmuję się innymi sprawami. Przykro mi.

– Ja proszę – zaszklily się jej oczy. – Ja nawet na milicji była. Powiedzieli mi, że nic nie mogą zrobić.

Nic dziwnego. Kto by tam się nadmiernie przejmował obywatelką obcego państwa, która może wjechała do Polski, a może i nie wjechała. Obstawiałem, że pewnie nawet nie sprawdzili, czy przekroczyła granicę.

– Pani Oksano...

– Ja bardzo proszę, może pan się zastanowi. Ja wiem, że pan bardzo zajęty, ale mnie tak zależy. A nie mam już do kogo się tu zwrócić.

Akurat zajęty nie byłem. Jednak nie byłem przekonany, czy podołam takiej sprawie. Gdybym wciąż był policjantem, byłoby mi łatwiej, miałbym więcej możliwości i opcji. Ale teraz? Jako prywatny detektyw zajmowałem się prostymi i na swój sposób oczywistymi sprawami.

Odwróciłem wzrok. Byłem pewien, że w tym momencie nie powiem Oksanie stanowczo „nie”. Zwyczajnie nie dałbym rady. Taki ze mnie twardziel. Postawiłem więc na metodę uniku, jakże często przeze mnie wykorzystywaną, i powiedziałem:

– Dobrze, zastanowię się.

Z ust Ukrainki wyrwało się ciche westchnienie ulgi.

– Proszę zadzwonić do mnie jutro po południu.

Wysunąłem szufladę, wyjąłem z niej wizytówkę i podałem Oksanie.

– Żeby nie musiała się pani kolejny raz tłumaczyć Kortowskiej – dodałem.

Po raz pierwszy, odkąd weszła do mojego biura, Oksana uśmiechnęła się szeroko.

Znużyło mnie udawanie, że robię coś istotnego i niecierpiącego zwłoki. W myślach i tak wciąż obracałem rozmowę z Ukrainką. Co począć z tym zleceniem? Bo przecież było to zlecenie.

Nastała pora obiadowa, więc zamknąłem komputer i biuro, żeby pomaszerować na Żyda. Z tym maszerowaniem przesadziłem. Wystarczyło, że wyszedłem z bramy kamienicy przy Miodowej, a tropikalny upał oblepił mnie niczym mokre prześcieradło. Dowlokłem się na plac, przez chwilę zastanawiałem się, czy nie wziąć megaschabowego z Baru u Endziora. Lubilem prostą, sycącą kuchnię. W takim żarze chyba jednak nie przełknąłbym nic ciepłego. Schowałem się pod markizą knajpy Tajemniczy Ogród, w cieniu było odrobinę lepiej. Ciut, ciut. Zamówiłem sałatkę z kozim serem i kiszonym burakiem. Nie przepadałem za, wedle określenia babki Felicji, zielonym, ale przecież coś musiałem zjeść.

Czekając na posiłek, patrzyłem na plac i kręcących się po nim ludzi. Mimo upału po placu szwendało się sporo turystów, którzy ostatnio stawali się prawdziwą zmorą krakowskiego Kazimierza. Jeszcze do niedawna trzymali się okolic Rynku, teraz zagarniali kolejną dzielnicę. Kusiała ich historia, momentami mroczna, Żydów, ale jeszcze bardziej mnogość knajp, gdzie można się było najeść i zabawić naprawdę bardzo tanio. Jak dla nich. Wlewali się w tę dzielnicę niczym woda w czas powodzi, zawłaszczali przestrzeń, panoszyli. Jasne, liczyły się pieniądze, które zostawiali w okolicznych hostelach i knajpach. Tyle tylko, że przy okazji zmieniali tradycyjne miejsce spotkań krakowian w głośną, zaszczaną imprezownię, wypierając lokalsów za Wisłę, na Podgórze. Całe szczęście, że swego czasu nie zdecydowałem się wynająć tu mieszkania, wybrałem spokojną uliczkę Potiebni, niedaleko Rynku Podgórskiego. Oczywiście, mogłem udawać, że tabuny turystów wcale mnie nie irytują. Prawda była jednak taka, że coraz lepiej rozumiałem mieszkańców Barcelony, którzy na balkonach wywieszali transparenty z napisami: „Turysto – precz do domu!”.

Bez przekonania grzebałem w sałatce, zastanawiając się, co począć ze zleceniem Oksany. Nie do końca było prawdą, że wcale nie zajmowałem się poszukiwaniem zaginionych. Zdarzało mi się już szukać alimenciarzy, którzy uchylali się od płacenia. Ostatnia sprawa windykacji długu też do

tego się sprowadzała. Ale – żeby być precyzyjnym – nie chodziło tu o zaginionych, tylko ukrywających się, chociaż w obu przypadkach metodologia poszukiwań była podobna. Problemem w zleceniu Oksany było prowadzenie sprawy za granicą. Żeby skutecznie szukać Tatiany, musiałbym zacząć sprawę w Ukrainie. A nie byłem pewien, czy poradzę sobie na obcym terenie bez żadnego wsparcia. Wprawdzie prowadziłem już dochodzenie w Grecji, tyle że wtedy tam przebywałem, a sprawa sama mnie znalazła. No i jeszcze kwestia pieniędzy, bo przecież wszystko – dobrze, prawie wszystko – sprowadza się do kasy. Nie miałem żadnych oszczędności, a przy poszukiwaniu Tatiany musiałbym najpierw trochę drobnych zainwestować. Nie sądziłem, że mógłbym liczyć na natychmiastowy zwrot kosztów przez Oksanę. Tę burzę mózgu zakończyłem stwierdzeniem, że powinienem wyjąć kartkę oraz długopis i zrobić zestawienie wszystkich „za” i „przeciw”. Tylko że ja nigdy tak nie robiłem. Tym razem również zastosowałem moją ulubioną strategię: się zobaczy.

Nim dojadłem sałatkę, rozdzwoniła się komórka. Na wyświetlaczu pojawiło się jedno słowo: „Kiełbasa”. Kiedyś reagowałem na jego próby kontaktu alergicznie, teraz już mniej. Radosnym jak zwykle głosem zaprosił mnie do siebie na wieczornego grilla. Z obowiązkowym piwem w nieograniczonych ilościach. Grill w czwartek?, zdziwiłem się. Na taki koncept mógł wpaść tylko Staszek. Ale co mi tam! Nie miałem na wieczór ciekawszych planów, więc przyjąłem zaproszenie.

– Ale co, no co? Nie weźmiesz tej sprawy? – gorączkował się Staszek.

– Zwyczajnie nie wiem, czy podołam.

– No kto, jak nie ty.

Roześmiałem się serdecznie. Głęboka wiara Kiełbasy w moje umiejętności jako śledczego czy prywatnego detektywa wciąż mnie rozbawiała. A przy tym w niejasny dla mnie sposób rozczulała.

– Czemu ty się ze mnie śmiejesz, no czemu? – w głosie Staszka słychać było lekki wyrzut.

Kumpel nigdy nie był biegły w odczytywaniu emocji oraz zawiłości i niuansów komunikacji między ludźmi. Pewnie przez szczerą i dziecięcą naiwność, której nigdy do końca się nie wyzbył.

– Nie śmieję się – odparłem, bo wiedziałem, że takiego, wprost, zaprzeczenia potrzebuje. – A tej sprawy – zmieniłem temat – raczej nie wezmę. I tyle.

– Ale niby jak to? Kobiecie nie pomożesz? Niby czemu?
– Staszek, co to za dziwaczny argument?
– Bardzo ważny, myślę, że tak myślę – powiedział z pełną powagą i w swoim niepowtarzalnym języku.

Przyznam, że w końcu zastanowiło mnie to, co powiedział. Żeby zyskać czas na przemyślenie odpowiedzi, chciałem zapalić, ale paczka, którą miałem w kieszeni, była pusta. Stanowczo za dużo kurzyłem, ale przy piwie było to nieuniknione. Nie ma co walczyć w przegranych bitwach.

– Idę do środka po fajki. Zaraz wracam.

Staszek spojrzał na mnie z wyrzutem.

– Ty, Konrad, nie uciekaj, ty, no, poważnie ze mną pogadaj.

To ja niby uciekam? Tak? Kiełbasa podniósł mi ciśnienie, które po kilku krokach zaczęło jednak opadać. Ucieczka? Może był w tym cień racji. Może od sprawy Tatiany zwyczajnie uciekałem. W końcu zdarzało mi się już uciekać, nawet często – przed problemami, innymi ludźmi, a czasami przed samym sobą, cokolwiek to znaczyło.

Z Kiełbasą łączyła mnie długa i skomplikowana relacja. Poznaliśmy się na studiach polonistycznych na Uniwersytecie Jagiellońskim. Kiedy zdarzyło nam się mieszkać pod jednym dachem, myślałem, że uduszę go gołymi rękami. Był irytujący, upierdliwy i namolny. I wydawało mi się wtedy, że zwyczajnie głupi. Później, w czasie studiów, starałem się go unikać, zresztą podobnie jak większość znajomych z roku. Dwa lata temu przypadek zetknął nas na wakacjach w Grecji. I myślałem, że był to zbieg okoliczności z rodzaju nieszczęsnych. I nieprzyjemnych. Tym bardziej że Staszek wciągnął mnie w sprawę dziwnych zgonów trójki polskich turystów. A później... Uratował mi życie, a przynajmniej zdrowie. Kiedy przeprowadziłem się do Krakowa, pomagał mi, jak mógł. Przekonałem się do niego. Dotarło do mnie, że Staszek jest w swój niepowtarzalny sposób dobrym człowiekiem, wrażliwym i bezinteresownie dbającym o innych. A że wciąż mnie irytował – inna sprawa.

Wróciłem do ogrodu, zapaliłem.

– Rzuciłbyś to świństwo, bo wiesz, no wiesz, to tylko zdrowie rujnuje – napomniał mnie.

– Co ty, moja matka?

– Przecież ty już nie masz matki – zdziwił się szczerze.

Machnąłem ręką. Dosłownie i w przenośni. Poznajcie Staszka Kiełbasę – człowieka, który wszystko odbiera dosłownie.

Skończył czyścić grill i usiadł w ogrodowym fotelu. Zbliżała się północ, ale wciąż było bardzo ciepło i duszno. Światła w domu Staszka pogasły. Jego żona, Gośka, i nastoletnia córka, Baśka, poszły spać. Mnie nie było spieszno do domu i łóżka, Staszkiowi chyba też nie. Stałem oparty o masywny, drewniany stół i zastanawiałem się, czy odpalenie następnej fajki od niedopałka nie jest aby grubą przesadą. Uznałem, że tak. Kiełbasa wiercił się w fotelu i walczył z komarami. Ulica Płaszowska znajdowała się stosunkowo blisko Wisły i licznych ogródków działkowych, więc tego tałatajstwa było tu od cholery i trochę. Mnie komary nigdy specjalnie nie atakowały. Najwyraźniej mam złą krew.

Staszek raz po raz popatrywał na mnie.

– Żuczku biedny, wyduś to wreszcie z siebie. Ulży ci – zachęciłem go.

Klepnął się w kolano. Starł z wnętrza dłoni truchło komara.

– Bo, wiesz, bo ja wiem – zaczął niepewnie.

– Wiedza cenna rzecz. A tak dokładniej, co wiesz?

– Dlaczego nie chcesz wziąć sprawy Tatiany.

– Oświeć mnie, mistrzu Yoda.

– To wszystko przez Paulinę. Boisz się, że ci się przypomni nieszczęśliwa miłość.

Matko z ojcem! Który facet gada z kumplem przy piwie o nieszczęśliwej miłości? Staszek naprawdę był oryginałem.

Paulina – właśnie. Dwa lata temu, mając czterdzieści dwa lata, związałem się z kobietą, która miała lat dwadzieścia. Przyznam, była to napędzana wzajemną fascynacją, trochę szalona akcja. Było miło, ale szybko się skończyło. Poczuję przykrość, kiedy mnie rzuciła, ale nie cierpialem, bo liczyłem się z takim końcem naszej przygody. Obiecałem sobie wtedy, że dosyć już dziwnych, nierokujących związków w moim pokręconym życiu. I nawet się tego trzymałem, nie licząc dwóch krótkich romansów. Cóż, jednak zawsze ciągnęło mnie do kobiet. Teraz miałem czterdzieści cztery lata i pewność, że temat miłości jest w moim życiu definitywnie zamknięty. Kochałem mocno i szczerze jedynie moją zmarłą żonę Marię. Ale to było tak dawno temu, że zdawało mi się z innego życia, innego świata, w którym i ja byłem całkiem odmienny od siebie teraźniejszego.

– I co, i co tak milczysz? – niecierpliwił się Staszek.

Jednak zmusił mnie do zapalenia kolejnego papierosa. Trudno.

– O Paulinie już dawno zapomniałem.

– Jakoś nie wierzę.

– Twój problem, Staszek.

Pokręcił głową.

– Wiesz, no wiesz, że czasami mnie tak bardzo wkurzasz.

A to ci niespodzianka! Myślałem, że tylko on irytuje mnie, a nie na odwrót.

– A to niby dlaczego? – zaciekawilem się.

– Bo no, bo tak do końca nie zamknąłeś różnych spraw z przeszłości. I tylko udajesz, że nie masz z tym problemu. A masz, no masz, wielkie jak piramidy Cheopsa.

– Ty nie bądź takim domorośłym psychoterapeutą, bo się do tego nie nadajesz – burknąłem, próbując go zgasić.

– Konrad, ja tylko...

– Późno już, muszę się zbierać. Dzięki za grilla i... – potoczyłem ręką dookoła.

Staszek tylko westchnął.

Z Płaszowskiej na Potiebni nie miałem daleko, więc poszedłem na piechotę. W tę niemal tropikalną noc miasto spało już dusznym snem. Ulicami przemykały nieliczne samochody. Czułem smugi zapachu kwiatów i spalin. Uciekłem od Staszka? Pewnie trochę tak, ale nie to mnie gnębiło. Wracałem do domu i rozmyślałem. Zawsze podczas spacerów dobrze mi się myślało. Rozmyślałem, jakżeby inaczej, o przeszłości.

24 czerwca 2016, piątek, Kraków

Sprawa nie rozeszła się po kościach i – tak jak było do przewidzenia – Oksana zadzwoniła. Umówiłem się z nią w knajpie Drukarnia na Podgórzu, bo nie chciało mi się wlec do biura. Zapowiedziała, że zjawi się z koleżanką, co odrobinę mnie zdziwiło. Może było jej zwyczajnie nieswojo rozmawiać w knajpie sam na sam z prywatnym detektywem? Ale skoro jej nie zależało na rozmowie w cztery oczy, mnie tym bardziej nie przeszkadzała obecność drugiej osoby. Umówiłem się z nią w lokalu także dlatego, że był piątek, więc nawet łapsowi na dorobku należała się odrobina weekendowej rozrywki, której chciałem się oddać samotnie po spotkaniu.

Kończąc z Oksaną rozmowę przez telefon, nie miałem pojęcia, czy wezmę to zlecenie. Nie wiedziałem tego także wtedy, gdy już szybkim krokiem przecinałem Rynek Podgórski. Śpieszyłem się, bo byłem

spóźniony. Tuż przed wyjściem z domu zadzwoniła do mnie Felicja, rozgadaliśmy się, jak to zwykle z moją babką, o wszystkim i o niczym, no i straciłem rachubę czasu. Czy to nie zastanawiające, że w całym życiu najlepiej rozmawiało mi się z moją starowinką? Nie licząc Marii, która z roku na rok stawała się coraz bledszym cieniem.

Drukarnia mieściła się w starej kamienicy przy Nadwiślańskiej. Nazwa ulicy była jak najbardziej adekwatna, bo rzeka leniwie płynęła ledwie kilkadziesiąt metrów dalej. W piątkowy parny wieczór w knajpie i na zewnątrz niej kłębił się tłum. Wszedłem do środka i długo wypatrywałem Oksany, a kiedy już miałem do niej zadzwonić, dostrzegłem ją. Siedziała przy stoliku ustawionym przed knajpą, od strony Wisły. Wyszedłem drugim wyjściem i ruszyłem ku Oksanie, z myślą, że słowem i uśmiechem przeproszę za spóźnienie. Ale zdążyłem jedynie się przywitać, bo wtedy... spojrzałem na jej koleżankę i gdy tylko lekko uniosła głowę i zatopiła we mnie oczyska tak brązowe, że niemal czarne, wiedziałem, że jestem stracony.

Opanuj się, Rowicki, natychmiast, napominałem sam siebie. Jako tako mi się udało.

– To jest moja przyjaciółka Wiera.

– Wiera Stanisławska – doprecyzowała koleżanka z półuśmiechem, kończąc prezentację lekkim skinieniem głowy.

Liczyłem chociaż na uścisk dłoni. Mówi się – trudno.

– Czy pan się zdecydował poszukać Tatianki? – Oksana od razu przeszła do rzeczy.

Zapaliłem papierosa, zaciągnąłem się głęboko i zapatrzyłem na stojące po drugiej stronie rzeki kazimierskie kamienice.

– Pani Oksano, to wszystko nie jest takie proste...

– A dlaczego niby?

– Mówiłem już, nie specjalizuję się w poszukiwaniach osób zaginionych, to raz – odgiąłem jeden palec. – Dwa, że pewnie musiałbym zacząć od miejsca, z którego Tatiana wyruszyła, od rozmów z jej bliskimi. A to przecież Ukraina i Ukraińcy. Nie znam języka, nawet rosyjskiego już zapomniałem – kolejny palec. – A trzy...

– Dlatego przyprowadziłam Wierę – Oksana wbiła mi się w zdanie.

– A jaki to ma związek? – nie załapałem.

– Ja sobie sprawę zdaję, że inny język, inni ludzie i świat. Wiera pomoże, będzie tłumaczyła, kiedy trzeba i co trzeba. Bo ja to nie za

bardzo czas mam.

– Jasne, pani Kortowska jest wymagającą pracodawczynią.

Oksana tylko lekko się skrzywiła na moje słowa.

– A trzy – postanowiłem dokończyć – takie sprawy są zwykle skomplikowane, więc trudno mi zagwarantować, że cokolwiek uda mi się wskórać.

– To znaczy że o jaką skórę chodzi?

– Nie wiem, czy odnajdę Tatianę. Nie mam pojęcia, czy jestem w stanie to zrobić.

Twarz Oksany spowił cień.

– Jesteś – powiedziała Wiera głębokim, zmysłowym głosem i położyła dłoń na mojej.

Spojrzeliliśmy sobie w oczy i już wiedziałem, co zrobię.

Zeszyt w płóciennej okładce I

Rok 1980

Jakże tęsknię! Jest to uczucie tak dojmujące, że czasami odbiera mi oddech, ściska pierś żelazną obręczą. Najmocniej czuję się opuszczona, pozostawiona sama sobie w takie dni jak ten. Wigilia! Włodek obiecywał, że wpadnie chociaż na chwilę, żeby z nami pobycć, wręczyć Konradowi prezent. Wyszło jak zwykle. Jakiś problem, kolejna związkowa awaria, sprawa, którą trzeba się zająć już, natychmiast. Wiem, to bardzo głupie, ale czasami wydaje mi się, że mój własny mąż zdradza mnie z krajem, ojczyzną. Z wszystkimi uciśnionymi Polakami na dokładkę. Jasne, przesadzam i dramatyzuję. Mam do tego skłonności, przynajmniej tak twierdzi Włodek.

Jest już noc. Konradek i matka śpią. A ja siedzę przy oknie, gapię się na padający śnieg i palę jednego carmena za drugim. Z domu sąsiadów wciąż dobiegają przytłumione śpiewy. Może to kolędy, a może zwykłe pijackie przyśpiewki. Matka twierdzi, że sąsiad jest trunkowy, jego szwagier też za kołnierz nie wylewa. Pewnie tak jest. Matka jest zazwyczaj świetnie poinformowana, bo ma cały tabun przyjaciół i znajomych. Ciągłe ktoś tu wpada, żeby pograć w tysiąca albo zwyczajnie pogadać, napić się ajerkoniaku, który matka uwielbia i sama go robi. Bywają dni, że te odwiedziny mnie drażnią, ale nic nie mówię. Mieszkam przecież kątem u matki, a nie u siebie w Krakowie. Nie jestem pewna, czy dobrze zrobiłam, że dałam się namówić Włódkowi i wróciłam do Ciechanowa. Powtarzał, że to nie potrwa długo, że to dla naszego bezpieczeństwa, bo „oni” są zdolni do wszystkiego. Ale kto wie, ile to wszystko będzie się ciągnęło. Sytuacja w kraju pozostaje wciąż napięta, niestabilna. Najważniejsze, że Konradek jest bezpieczny. I że dobrze czuje się w domu mojej matki. Co też mu przyszło do głowy, że nazywa ją „baba Felicja”? A matka tylko się wtedy śmieje. Naprawdę dobrana z nich parka. Tak, przecież robię to wszystko dla Konradka – mojego dziesięcioletniego szczęścia.

Ta Wigilia była jakaś dziwna. I nawet nie chodzi o to, że czułam się samotna. Niby było normalnie. Ani ja, ani matka nie jesteśmy religijne, ale w szczątkowym zakresie kultuwujemy tradycje. Pewnie trochę też ze względu na Konradka. Męczyłam się podczas kolacji, chociaż właściwie nie wiem dlaczego. Pewnie przez to, że puste nakrycie na wigilijnym stole za bardzo kojarzyło mi się z mężem. Do tego synek niespecjalnie ucieszył się z tych biednych prezentów, które udało się zdobyć. „Sweter, no ładny” – skomentował, ale bez przekonania. Zestaw nadziejanych czekolad Wedla z obrazkami starych lokomotyw i samochodów na opakowaniach? Pokręcił nosem. Chociaż jeszcze kilka miesięcy temu z pasją kolekcjonował te opakowania. Dzieci tak szybko się zmieniają. Może skupiona na swoich problemach poświęcam mu za mało uwagi? Może uznałam, że jeśli matka mi pomaga w opiece nad synem, mogę sobie odpuścić? Nie wiem. Czy jestem złą matką?

Właściwie Konradka najbardziej ucieszyły kubańskie pomarańcze. Bo znowu, jak chwaliła się władza, dzięki wielkiemu wysiłkowi i staraniom partii o lud pracujący miast i wsi udało się na czas sprowadzić transport cytrusów. Taki świąteczny prezent dla biedaków od wiodącej siły narodu. Pusty śmiech! Przecież to nawet nie są prawdziwe pomarańcze, tylko zielony „ersatz”. A głupi lud się cieszy. Chociaż przez chwilę.

Jasne, wypisuję bzdury. Pewnie przemawia przez ze mnie wielka gorycz, bo coraz bardziej dręczy mnie świadomość, że marnuję najlepsze lata mojego życia w tym biednym kraju pośród biednych ludzi. Dobrze, koniec uzalania się. Jak mawia moja pragmatyczna do bólu matka: „Co zrobisz, jak nic nie zrobisz?”.

Wiem, że nie powinnam, że to niebezpieczne... Nie powinnam zostawiać żadnych pisanych śladów. Włodek zawsze mnie przed tym przestrzegał, przypominał, że wpadnie bezpieka, przetrzepie mieszkanie, znajdą byle świstek i będą problemy. Poniekąd ma rację. Odkąd zaczął działać w KOR-ze, smutni panowie „odwiedzili” nas trzy razy. Nic nie znaleźli, skończyło się na zdemolowanym mieszkaniu. A co by było, gdyby jednak na coś trafili? Ulotki, zakazane książki, jakieś związkowe dokumenty? Nawet wolę o tym nie myśleć. Wystarczy, że odchodziłam od zmysłów, kiedy zatrzymywali Włodka na cztery osiem.

Postaram się, żeby moje zapiski nie trafiły w niepowołane ręce. Dla pewności – nie trafią w niczyje. Nikt, nawet najbliżsi, nie będzie wiedział, że prowadzę pamiętnik. Tak będzie bezpieczniej. Dla wszystkich.

Po co to robię? Dlaczego zapisuję swoje przemyślenia i wrażenia? Możliwych odpowiedzi jest pewnie wiele. Po prostu chęć pisania, notowania myśli, ubierania przeżyć i wspomnień w słowa jest we mnie tak mocna, że jej ulegam. Pisanie mnie uspokaja. Słowa przelane na papier pozwalają na jakiś czas zapanować nad chaosem, który jest we mnie. W mojej głowie. Pisząc, nie czuję smutku ani samotności. Kiedy piszę, zamykam się w świecie, który jest tylko i wyłącznie mój. Pisanie jest dobre, choć niewystarczające.

Konradek jest dzisiaj marudny. Matka też nie w sosie. Ferie świąteczne nam nie służą. Zrobił się mało radosny czas.

Synek znowu dopytuje, dlaczego tata do niego nie przyjechał. I dlaczego nie możemy pojechać do domu, do Krakowa. Co ja mam mu powiedzieć? Jak wytłumaczyć skomplikowaną sytuację dziesięciolatkowi? Tata walczy o lepszy kraj? Ale co to za walka, jeśli nie ma wojny? I co z tego Konradek zrozumie?

Pewnie napięcie pojawiło się stąd, że ciągle obijamy się o siebie w domu. Nie można iść na spacer, bo wciąż trzyma siarczysty mróz i popaduje śnieg. Chodniki są zasypane, bo w ten okołoswiąteczny czas mało komu chce się odśnieżać. Nie mogę się doczekać, kiedy wrócę do pracy. Wtedy życie nabierze normalnego rytmu i nie będę miała czasu na obracanie w głowie ponurych myśli. Całe szczęście, że matka, dzięki swoim licznym znajomościom, właściwie zaraz po tym, kiedy przenieśliśmy się z Konradkiem do Ciechanowa, załatwiła mi pracę. W podstawówce, w piątce. To niby na drugim końcu miasta, ale w sumie co to za miasto? Wszędzie jest blisko. Bardzo potrzebowałam tej pracy. Chodziło nie tylko o pieniądze, których ciągle brakowało, odkąd Włodka wyrzucili z redakcji gazety. Najważniejsze dla mnie było po prostu mieć zajęcie, żebym mogła zająć myśli czymś innym niż zamartwianie się o naszą rodzinę. A szczególnie o Konradka.

Bezsenna noc mnie dobija. To już trzecia noc, kiedy nie mogę zasnąć i snuję się po domu pogrążonym w ciemnościach. Moi śpią, całe miasto śpi. Ciechanów był i jest sennym miasteczkiem, ale nocą ta senność przechodzi niemal w martwość. Znowu tkwię przy oknie, z papierosem między palcami. Nawet nie chce mi się podnosić go do ust. Patrzą na snujący się dym. Patrzą na duże płatki śniegu, które z wolna opadają na ziemię. Znowu pada. Ogrodowe róże, zabezpieczone chochołami,

wyglądają, jakby były spowite białymi całunami. Martwota, wszędzie tylko martwota...

Rozdział drugi

Rozrywka

25 czerwca 2016, sobota, Kraków i Zabierzów

Nie było dobrze. I nie tylko z powodu kaca.

Przyniosłem z kuchni kawę, postawiłem na stoliku nocnym, przykryłem się cienkim prześcieradłem, pod którym ostatnio sypiałem, i zapaliłem. Zwykle nie paliłem w łóżku. Trzeba mieć w życiu jakieś zasady. Choćby nawet dziwaczne. I rozmawiałem sam ze sobą. Na głos.

Było naprawdę fatalnie.

– Ty, weź się, Rowicki, opanuj. Jesteś starszym panem bez perspektyw, a w głowie ci takie numery.

– Niby jakie? – zapytałem.

– Nie osłabiaj mnie, chodzi o Wierę.

– Ona ma mi tylko pomagać przy zleceniu.

– Sam w to nie wierzysz.

Nie wierzyłem. Nie wierzyliśmy, jeśli faktycznie było nas dwóch. Miałem nadzieję, że to jeszcze nie ten etap.

Po rozstaniu z Pauliną... Dobrze, trzeba spojrzeć prawdzie w oczy – po tym, jak Paulina mnie rzuciła, obiecałem sobie, o czym już wspominałem, że przestaję romansować. Byłem po czterdziestce, moje życie zawodowe wyglądało jak Warszawa po wojnie, musiałem skupić się na zorganizowaniu sobie świata od nowa. Nie pierwszy raz, więc poniekąd miałem wprawę. Tyle tylko że za każdym razem odbudowa świata wyglądała trochę inaczej. I za każdym razem ciężiej. Przez pewien czas wszystko szło zgodnie z planem. Mniej więcej. Aż zobaczyłem Wierę.

Jasne, Wiera z miejsca mnie zauroczyła. Zawsze miałem skłonność do nagłych i zarazem fatalnych zauroczeń, ale zazwyczaj szybko mijały. Albo i nie. Tylko to niczego nie wyjaśniało, a jedynie stanowiło marne tłumaczenie. Doskonale zdawałem sobie sprawę, że nie powinienem dać się ponieść emocjom. Nie teraz, kiedy jako tako stanąłem na nogi. I na pewno nie przy okazji sprawy Tatiany.

Zdusiłem niedopałek w przepelnionej popielniczce. Wziąłem kilka łyków kawy. Skrzywiłem się, bo miała posmak gipsu. Gipsu? Wieczorem wypłem zdecydowanie za wiele piw. Na kacu zmysły mi zwykle wariowały.

– Żadnych numerów z Wierą, jasne? – napomniałem siebie.

– Ale...

– Żadnego „ale”!

Łatwo powiedzieć, trudniej przekonać samego siebie.

Dochodziło południe. Z otwartego okna buchał żar. Upał wciąż zalewał Kraków. Czas najwyższy zwlec się z wyrka i zacząć działać. „Robota sama się nie robi”, jak zwykła mawiać babka Felicja.

Na autopilocie brałem prysznic, ubierałem się i robiłem skromne śniadanie. Przez upał i kaca nie chciało mi się jeść, ale z rozsądku postanowiłem wmusić coś w siebie. Jednocześnie układałem sobie w głowie wszystko, czego wczoraj dowiedziałem się o sprawie. Niestety, nie było tego wiele. Właściwie – tyle co nic.

Oksana nie wiedziała, gdzie dokładnie i jaką pracę Tatiana miała załatwioną. Zaginiona zdradziła tylko, że chodzi o robotę w gastronomii, a więcej nie chciała mówić, żeby nie zapeszyć. Te paradne zabobony! Z kolei swojej matce powiedziała tylko, że ma się spotkać w Warszawie z człowiekiem, który ją zatrudni. Żadnych więcej szczegółów. Oksana nie miała pojęcia, czy Tatiana miała pracować w stolicy, czy w innym mieście. Dowiedziałem się też, że w Polsce przebywa narzeczony Tatiany, Andrij Babenko, który mieszka w Lublinie i pracuje w budowlance. Niby narzeczony. Wiera, która, jak się okazało, też była przyjaciółką Tatiany, uważała, że po tym, jak rok temu Andrij wyjechał ze Lwowa, ich związek mocno się rozluźnił. Że niemal ze sobą zerwali albo nawet już zerwali. Nie była na bieżąco, odkąd półtora roku temu przeniosła się do Krakowa. Próbowala raz czy drugi dopytywać Tatianę w rozmowach telefonicznych, ale temat narzeczonego skutecznie ucinala, więc musiał być dla niej drażliwy. Cóż, nie oni jedni mieli podobne problemy – wiele par źle znosiło rozłąkę. Albo nie znosiło wcale. Zapytałem, czy po drodze do nowego, lepszego życia Tatiana mogła zahaczyć o Lublin, żeby skończyć z życiem starszym i gorszym. Nie zaprzeczyły, ale też nie potwierdziły.

W podobnych przypadkach nie mogłem się nadziwić, jak ludzie mogą być aż tak lekkomyślni. Tatiana wybierała się do obcego kraju na

spotkanie z obcymi ludźmi i w żaden sposób nie zabezpieczyła się na okoliczność potencjalnych problemów. Nie powiedziała najbliższemu, gdzie dokładnie jedzie i z kim się spotyka. Jakby zakładała, że bez problemu przemieści się z punktu A do punktu B. I że w razie czego będzie miała kontakt telefoniczny z rodziną i przyjaciółmi. Cała masa błędnych założeń. I nadmierna wiara w moc technologii. Naprawdę, ludzie bywają naiwni i bardzo lekkomyślni.

Miałem drobne punkty zaczepienia w sprawie Tatiany, ale na moje oko mogłem szybko od nich odpaść i stanąć przed dylematem – co dalej? Bez nadziei na nagłe olśnienia i genialne pomysły. Ta sprawa zwyczajnie nie rokowała, a jednak zgodziłem się nią zająć. Tak, miałem tego pełną świadomość, że zgodziłem się tylko i wyłącznie z powodu Wiery. Nie wyobrażałem sobie, żeby w piątek definitywnie zniknęła z mojego życia. Chociaż równie mocno nie chciałem, żeby stała się jego częścią. Ot, paradoks.

Po jajecznicy, trzeciej kawie i siódmym papierosie wyklarował mi się plan. Szczątkowy. Razem z Wierą, jako tłumaczką, porozmawiam z matką Tatiany. Może coś z tego wyniknie, a może nie. Się zobaczy – wiadomo, moja ulubiona strategia działania. Liczyłem, że z matki Tatiany uda mi się wyciągnąć informacje, których nie uzyskały jej przyjaciółki. Mogłem jeszcze namierzyć narzeczonego zaginionej i z nim porozmawiać. Czasami partnerowi zdradza się więcej niż rodzicom. O ile Tatiana nie zdradziła Andrija, bo wtedy raczej nie będzie skłonny do współpracy. A co, jeśli z tych rozpytań nic nie wyniknie? Pomartwimy się tym potem. To znaczy – ja się pomartwię. Bez udziału Wiery.

Co tu kryć, myśli wciąż mi uciekały do niej. Poprzedniego wieczora Oksana zwinęła się z Drukarni wcześniej, zaraz po tym, jak opowiedziała mi wszystko, co wiedziała na temat wyjazdu Tatiany do Polski. Za to Wierze najwyraźniej się nie spieszyło. Na moje pytanie, czy napije się ze mną piwa, tylko skinęła głową. Przez ostatnie lata zwykłem popijać samotnie. I dobrze mi z tym było. Wygodnie i bezpiecznie. Ale tego wieczoru chciałem posiedzieć i z kimś porozmawiać. No dobrze, nie z kimś, tylko z Wierą.

Nie mogłem się napatrzeć na Wierę, nie mogłem się jej nasłuchać. Była wysoką, prawie mojego wzrostu, szczupłą kobietą o egzotycznej urodzie. Miała proste, sięgające ramiom ciemnoblonde włosy, w których pobłyskiwały rude pasma. Może to było dzieło fryzjerki, a może natury.

Nie spytałem. Śniada cera, ciemnobrązowe oczy i szerokie, czarne skrzydełka brwi kontrastowały z kolorem włosów. Ta dysharmonia przyciągała mój wzrok niczym magnes. Wyraziście zarysowane kości policzkowe i półuśmiech stale błakający się na jej pełnych ustach dodawały jej twarzy charakteru. Szybko okazało się, skąd wzięła się jej egzotyczna powierzchowność, choć nie dopytywałem, sama chętnie opowiadała o sobie. I robiła to tak naturalnie i bez skrępowania, jakbyśmy znali się nie od godziny, ale od lat.

Jej ojciec był Rosjaninem, a matka Ukrainką. Dziadkami ze strony ojca byli Rosjanin i Greczynka, ze strony zaś matki – Ukrainiec i Polka. Porządnie splątane korzenie. Nie było to dla mnie niczym nowym. Na studiach spotkałem wielu ludzi z dawnego Sojuza, których genealogia była równie pokomplikowana i nieoczywista. Wiera miała dwadzieścia sześć lat, była, jak powiedziała, o rok młodsza od Oksany. Czyli mniej więcej trafnie oceniłem wiek mojej zleceniodawczyni przy pierwszym spotkaniu. Wiera skończyła na Uniwersytecie Lwowskim pedagogikę, znalazła pracę, ale słabo płatną. Ponieważ nic poza rodzicami nie trzymało jej we Lwowie, postanowiła spróbować szczęścia w Krakowie. Zaczęła studia psychologiczne w Krakowskiej Akademii im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego, na czesne i życie zarabiała, pracując jako kelnerka w jednej z restauracji przy Rynku Głównym.

– Ot, takie życie mam – skwitowała wtedy.

– Pasuje ci u nas?

– Wiesz, Konrad, jest dobrze, choć mogłoby być lepiej. To normalne.

I roześmiała się. Jej śmiech był niesamowity, pobrzmiwały w nim radosne dzwoneczki, których dźwięk sprawiał, że miękło mi serce. Wcześniej nie słyszałem, żeby ktokolwiek śmiał się w ten sposób.

Na szczęście nie dopytywała o moje życie i bycie. Chwalebna powściągliwość. Na pewno nie wiedziałbym, którą z ponurych kart mojego losu odsłonić. W ogóle nie byłem pewien, czy chcę jej opowiadać o sobie. Wytworzyłyby to między nami więź, której jednocześnie chciałem i nie chciałem. Następny paradoks.

Tak samo wdzięcznie Wiera roześmiała się, kiedy do niej zadzwoniłem. Bo, oczywiście, wziąłem od niej numer telefonu. W końcu mieliśmy współpracować przy poszukiwaniach Tatiany. Zaprosiłem ją na osiemną do siebie, bo chciałem od razu zacząć realizować mój plan,

porozmawiać z matką i siostrą zaginionej. Wiera bez marudzenia zgodziła się do mnie przyjść.

Jasne, że zaproszenie jej do swojego mieszkania było ryzykowne. Ryzykowałem utratę kontroli nad emocjami. Ale jak to często bywało w moim pokręconym życiu, poszedłem na czołowe zderzenie.

Do osiemnastej miałem jeszcze sporo czasu, więc postanowiłem zrobić coś pożytecznego i zająć się Tadeuszem Kozakiem. Dłużnikiem, który wciąż mi się wymykał.

Sprawa z Kozakiem od początku wyglądała nieco osobliwie. Zwrócił się do mnie mężczyzna, właściciel hurtowni nabiału, żebym namierzył gościa, który był mu winien pięćdziesiąt tysięcy. Jakieś niedokończone rozliczenia handlarzy serkiem homogenizowanym? Okazało się, że nie do końca. Kozak miał lombard i był znajomym hurtownika. Ponoć potrzebował na szybko gotówki, bo trafiła mu się okazja na inwestycję o szybkiej i sporej stopie zwrotu. I jak to często bywa w takich przypadkach, schował kasę do kieszeni, a potem rozpląnął się jak poranna mgła nad Wisłą.

Przyjąłem zlecenie, bo byłem przekonany, że łatwo mi pójdzie. Raz i drugi odwiedziłem lombard należący do Kozaka, ale za każdym razem spotykałem tam tylko i wyłącznie jego żonę – kobietę w mocno średnim wieku, zasuszoną i opryskliwą. Na pytania o Tadeusza reagowała narastającym wkurwem, tłumacząc, że męża nie ma, nie wie, gdzie jest, i najlepiej by było, żebym się jej już więcej nie pokazywał na oczy. Nie byłem przekonany, czy mówiła prawdę. Brzmiała jednak przekonująco.

Zastanawiałem się, czy chodzi tylko i wyłącznie o pięćdziesięciotysięczny dług. Wprawdzie jest trochę kasy do oddania, jednak nie aż tyle, żeby komplikować sobie życie i się ukrywać. Przyjrzałem się bliżej Kozakowi, który wbrew nazwisku nie był aż takim kozakiem, skoro tajniczył się przed wierzycielem. Wybrałem najkrótszą ścieżkę i spytałem Karola Lewandowskiego, policjanta, z którym lata temu pracowałem w Komendzie Miejskiej Policji w Krakowie, czy coś mają na Kozaka. Mieli, chociaż niewiele. Jego nazwisko wypłynęło przy okazji dwóch śledztw w sprawie handlu kradzionym towarem. Paser? Niby nic nadzwyczajnego, bo właściciele lombardów nie zawsze wnikali, skąd pochodzą fanty, z którymi przychodzili do nich klienci. Tyle tylko że to były, jak zaznaczył mój kumpel, drobne sprawy. Poza tym nikt Kozaka za rękę nie złapał, więc formalnie był czysty niczym łąza niemowlecia.

Więcej Lewandowski dla mnie nie miał, ale tyle mi wystarczyło, żeby rozdzwoniły mi się w głowie ostrzegawcze dzwoneczki.

Szperanie w ogólnie dostępnych dokumentach zajęło mi trochę czasu, ale koniec końców przyniosło całkiem ciekawe efekty. Kozak w ten lub inny sposób związany był z kilkoma firmami, które miały angielskobrzmiące, absolutnie nic nie mówiące, nazwy, a w papierach zapisy, że zajmują się prawie wszystkim, głównie importem i eksportem. Z daleka pachniało ściemą, bo niby skąd Kozak, właściciel małego lombardu znajdującego się w podleskiej części Grzegórzek, w którym drobni pijaczkowie zastawiali podprowadzone matkom garnki, miałyby takie układy i fundusze, żeby wchodzić w poważniejsze biznesy. Intrygowała mnie głównie kwestia kasy. Skąd miał fundusze na takie biznesy? A całkiem niedawno odkryłem, że jego jędzowata żona jest współwłaścicielką hurtowni leków. A to już wyglądało na bardzo gruby, intratny interes, którym niekoniecznie sama zawiadywała.

Oczywiście, w pierwszym odruchu chciałem przekazać zdobyte informacje Lewandowskiemu, żeby sam drążył, kim naprawdę jest Kozak i co ma na sumieniu. I żeby go dopadł. A ja przedstawiłbym zleceniodawcy piękną legendę, że we współpracy z policją namierzyłem dłużnika. Pewnie nie zgarnąłbym całego honorarium, ale jakiś grosz by mi wpadł do kabzy. Tyle tylko że ja, jak to ja – wybrałem samodzielność i bardziej krętą ścieżkę. Taka ze mnie zosia samosia.

Postanowiłem najpierw przyjrzeć się hurtowni leków, która znajdowała się w Zabierzowie, dużej podkrakowskiej wsi. W sobotę ruch na ulicach i drogach był niewielki, więc szybko przemieściłem się na miejsce. Był to leciwy i niespecjalnie zadbany spory barak z tablicą nad wejściem i nazwą: Hurtownia Leków i Artykułów Medycznych Med-Trans. Cóż, nazwa z gatunku ryzykownych. Przejechałem wzdłuż ogrodzenia i zaparkowałem auto w bocznej uliczce, przed zapyziałym warsztatem wulkanizacyjnym.

Brama prowadząca na teren hurtowni była otwarta, więc wszedłem bez namysłu i lęku. Zdziwiło mnie, że absolutnie nic tu się nie działo. Nikt nie kręcił się po placu przed barakiem, nie parkował tam choćby jeden samochód. Może nie pracowali w weekendy? Chwyciłem za klamkę drzwi wbudowanych w dużą, dwuskrzydłową, metalową bramę. Było otwarte, a więc ktoś tu jednak pracował. A przynajmniej był. W środku panował

półmrok i miły chłód. Zanim wzrok przyzwyczał mi się do mroku, wyrosła przede mną zwalista postać.

– Zamknięte – warknął mięśniak ubrany w koszulkę na ramiączka i spodnie od dresu. Adidasa. Szyk zbójów sprzed dwudziestu lat.

– Jak zamknięte, jeśli otwarte – wypaliłem.

Mięśniak splunął w bok. Chyba nie spodobało mu się moje najście.

– Remanent – objaśnił.

Przez głowę przeleciała mi trywialna myśl, że polski język jest trudny.

– Nie przychodzę na zakupy. Szukam Tadka Kozaka.

Wpatrywałem się w gładko ogoloną twarz pakera, próbując wyczytać z niej jakąkolwiek reakcję. Nic. Nieruchoma maska.

– Nie znam. I nie ma tu takiego.

Nie chciałem mu tłumaczyć, że jego wypowiedź trochę jest wewnętrznie sprzeczna, tym bardziej że zrobił krok w moją stronę i rzucił ostrzejszym głosem:

– Więc spadaj, to teren prywatny.

Cofnąłem się, bo nie zamierzałem się z nim napażać.

– Ale żonę Kozaka to chyba kolega zna – nie poddawałem się. – W końcu jest właścicielką tego biznesu – wskazałem dłonią tereny wokół.

– A skąd niby znasz panią Barbarę?

– Kozakowie to moi znajomi. Sprawę do nich mam – wyjaśniłem, choć nie byłem przekonany, czy mięśniak kupił moją ściemę.

Jego twarz wykrzywił paskudny półuśmiech.

– To czemu nie zadzwoniłeś wcześniej do nich? – drażył.

– Miałem w Zabierzowie inne spotkanie, pomyślałem, że przy okazji pogadam z Kozakiem.

– Ciekawe – skomentował

Moja legenda była słaba i nieciekawa, miałem tego świadomość, ale nie mogłem się już wycofać.

– To jest tu Baśka czy jej nie ma? – nacisnąłem.

Ochroniarz przeciągnął po głowie pokrytej kilkumilimetrowymi, ryżawymi włoskami.

– Idziesz za mną – rzucił polecenie.

Co było robić, ruszyłem.

Mięśniak zagwizdał przeciągle, tak jak gwizdże się na psa. Dziwne, pomyślałem. Ludzie jednak miewają dziwaczne behawiory.

Weszliśmy pomiędzy wysokie regały pełne paczek i kartonowych pudełek. Jak to w hurtowni. Nic niepokojącego. Paker nagle skręcił w boczny korytarzyk, w którym było jeszcze ciemniej niż w całym pomieszczeniu. Najpierw poczułem potworny ból z tyłu głowy, a po sekundzie ogarnęła mnie ciemność.

26 czerwca 2016, niedziela, Kraków i Zabierzów

Ale za to niedziela, ale za to niedziela, niedziela będzie dla nas, dźwięczał mi w głowie pradawny hit Niebiesko-Czarnych. Może dla was, lecz na pewno nie dla mnie. Nie mogłem rozstrzygnąć, co mnie bardziej sponiewierało tego poranka – przebudzenie czy rozmowa z Lewandowskim.

Ocknąłem się i z trudem rozkleiłem powieki. Łupało mnie w głowie, przy każdym oddechu bolały mnie zębra. Przed oczami miałem spękany, poznaczony zaciekami sufit. Gdzie ja jestem?, myślałem gorączkowo. Próbowałem się podnieść. Bez skutku. Spojrzałem po sobie. Byłem przypięty do łóżka pasami. Takie buty...

Ktoś, kto postanowił, że krakowska izba wytrzeźwień będzie miała siedzibę przy ulicy Rozrywka, miał chore poczucie humoru. Tak właśnie, obudziłem się tej pięknej niedzieli w wytrzeźwiające. Trafiłem do tego przybytku dla nieszczęśników po raz pierwszy w życiu, chociaż pewnie już w paru innych przypadkach kwalifikowałem się, żeby spędzić tam upojną noc. Co tu kryć, nie był to tani nocleg. Kiedy już udało mi się przywołać pielęgniarkę i po moich szczerych zapewnieniach, że będę grzeczny, zostałem uwolniony z więzów, próbowałem ustalić, jak tam trafiłem. Pamiętałem, że byłem w hurtowni leków i że dostałem porządnie po łbie, o czym świadczył pulsujący bólem guz na potylicy. Znudzony pracownik izby pogrzebał w papierach i wyjaśnił, że zostałem w sobotni wieczór znaleziony przez patrol policji niedaleko stacji kolejowej Kraków Mydlniki w stanie głębokiego upojenia alkoholowego i nie reagowałem na polecenia. Ponoć byłem agresywny słowem i czynem, więc mnie zwięzali. Tyle.

Tylko jak ja trafiłem pod stację w Mydlnikach? Mięśniak wlał we mnie alkohol i mnie tam zawiózł? A kto niby inny?! Pytałem i opowiadałem o tym zdarzeniu Lewandowskiemu, który raz po raz rzucał głową niczym narowisty koń okładany szpicrutą. Ktoś przecież musiał mnie podwieźć do Zabierzowa. Miałem nadzieję, że moje mitsubishi wciąż tam stoi, że go nie zwinęli, skoro nie zabrali mi ani kluczyków, ani nawet portfela.

Najpierw zadzwoniłem do Kiełbasy, ale nie odbierał. Pewnie korzystał z niedzielnych uroków życia rodzinnego. Z ciężkim sercem wydzwoniłem więc znajomego policjanta. Lewandowski pomarudził, ale po mnie przyjechał.

– Czy ciebie już do szczętu pojebało? – podsumował moją opowieść.

Potwierdzić – źle. Zaprzeczyć – jeszcze gorzej. Milczałem.

Karol posapał chwilę, a potem rozładował napięcie, wyprzedzając na wąskiej drodze dwa auta za jednym manewrem. Na wszelki wypadek sprawdziłem, czy pas bezpieczeństwa mam dobrze zapięty.

– Trzeba było z tym od razu przyjść do mnie – rzucił.

– Miałem taki plan.

– Ty i te twoje koślawe plany – prychnął.

– Naprawdę – i naprawdę włożyłem wiele wysiłku, żebym brzmiał wiarygodnie. – Chciałem tylko tak wstępnie sprawdzić tę hurtownię, żeby ci bez potrzeby nie zawracać głowy.

– Daruj se, przecież w ogóle o mnie nie pomyślałeś.

– No, nie do końca.

Odrobina bolesnej szczerości czasami nie zawadzi.

Wyjechaliśmy z Krakowa, więc Lewandowski mógł rozbujać swoją beemkę. Jeśli chodzi o auta, miał gust jak zbóje.

– Teraz ci powiem, co zrobisz – zaczął powoli. – Przekażesz mi wszystko, czego dowiedziałeś się o Kozaku, bo to może być grubsza sprawa.

– Mówisz i masz – zgodziłem się skwapliwie, bo niezbyt wiele mnie to kosztowało.

– I złożysz oficjalne zawiadomienie o pobiciu, żebyśmy w razie czego mieli do Kozaka łatwiejsze podejście.

– Ale...

Spojrzał na mnie bez słowa. Wymownie.

– Patrz przed siebie, bo powiększymy grono aniołów – wypaliłem.

– Weź mnie nie wkurwiaj! – skupił jednak wzrok na drodze.

Spróbowałem negocjacji.

– Daj mi trochę czasu – poprosiłem. Bardzo grzecznie.

– Bo?

– Mam zlecenie na odszukanie Kozaka. Jeśli w całości przekażę temat policji, nie dostanę ani grosza.

– Było nie zwalniać się ze służby. Nie musiałyś biedować jako łaps.

Lewandowski nie musiał tego mówić. Wałkowaliśmy ten temat kilka razy. Karol wiedział, że po aferze w związku ze śledztwem w sprawie samobójstw nastolatka w Ciechanowie nie miałem innego wyjścia, jak tylko poprosić o zwolnienie. Właściwie zostałem do tego zmuszony. Ograniczałem straty. I tyle.

– Obdukcję wykonam jeszcze dzisiaj, ale zaświadczenie przekażę ci razem z tym, co wiem, później. Dobra? Proszę tylko o tydzień. Potem zrobię wszystko, czego chcesz.

– Masz czas do środy.

– No, nie, Karol. Nie wyrobię się. Nie dam rady.

Lewandowski zarechotał.

– Niby taki zarobiony jesteś?

– A żebyś wiedział. Mam nowe, duże zlecenie.

I zacząłem mu opowiadać o zaginięciu Tatiany. Nie mam pojęcia, co mnie podkusiło. Pewnie przez uraz głowy wciąż jeszcze nie myślałem do końca jasno i logicznie.

Karol słuchał i milczał. Wjechaliśmy do Zabierzowa. Odetchnąłem z ulgą, kiedy zobaczyłem moje auto stojące przed zakładem wulkanizacyjnym.

– Jest mój misiek! – wyrwało mi się wraz z westchnieniem ulgi.

Policjant znowu szarpnął głową i skomentował:

– Chyba nie jesteś do końca normalnym facetem, jeśli tak nazywasz swoją furę.

Trudno było się z tym nie zgodzić.

Wysiedliśmy obaj, zapaliliśmy.

– A co do tej historii z Ukrainką – zaczął – to ona pewnie już jest w Reichu w burdelu. Albo robi za miskę ryżu na jakieś niewolniczej farmie w Anglii czy gdzieś. Były takie sprawy i z Polkami, i z innymi tam Rumunkami.

– Istnieje taka możliwość.

– Takie grupy naciągaczy, które zwabiają w pułapkę kobiety szukające zarobku, wciąż działają. Może nie na taką skalę jak kiedyś, ale jednak.

– Nie jestem pierwszy naiwny.

– To po kiego wzięłeś sobie to na łeb?

Zaiste świetne pytanie, pomyślałem.

– Właściwie nie wiem – postawiłem na szczerłość.

– Ale w tym temacie nie prosz mnie o przysługi – zastrzegł i wdeptał niedopałek w ziemię.

Pokiwałem głową i podziękowałem za pomoc w potrzebie.

– Ty mi tu nie dziękuj, tylko w środę dostarcz wszystkie kwity.

Potwierdziłem skwapliwie. Przybiliśmy piątki na pożegnanie. Wsiadłem do auta i zanim przekręciłem kluczyk w stacyjce, coś mnie tknęło. Kołatało mi się po głowie, że wczoraj jeszcze coś miałem załatwić. Chwilę zajęło, zanim tryby pamięci wskoczyły we właściwe miejsca.

I mnie olśniło, ale wtedy byłem już pewien, że mam przechlapane.

Tak jak ja padłem wczoraj w hurtowni, tak też padł mi telefon. Zdarza się. Tyle tylko, że już wiedziałem, co zobaczę, kiedy podłączony do samochodowej ładowarki smartfon ożyje.

Wiera dzwoniła do mnie wczoraj w okolicach godziny osiemnastej. Dziesięć razy! Ni mniej, ni więcej. Może lubiła okrągłe liczby.

Zaraz do niej oddzwoniłem. Raz, drugi, trzeci... Nie odebrała. W końcu wysłałem jej esemes z przeprosinami i wyjaśnieniami. Wysłałbym też mejl, gdybym miał jej adres, choć byłem więcej niż pewien, jaki byłby jego skutek. Równie mizerny.

Felicja zwykła mawiać, że ludzie osiągnają cele nie dzięki uczciwości i pracy, tylko dzięki pomysłom i cierpliwości. Poszedłem za jej światłą radą i zadzwoniłem do Oksany. Odebrała od razu. Opowiedziałem jej rzewną historię, że wczoraj miałem wypadek – w sumie za bardzo nie nałgałem – i przez to nie stawiłem się na spotkanie z Wierą, a teraz nie mogę się z nią skontaktować. Poprosiłem, żeby zadzwoniła do przyjaciółki z jakże uprzejmą prośbą o oddzwonienie do mnie. Powiedziała, że zaraz do niej dryndnie. Obstawiałem, że foch Wiery będzie trwał około godziny. Trwał prawie sześć. Charakterna kobieta.

Wiera przysłała mi krótki esemes, żebym stawił się u niej w pracy, podała godzinę i zaznaczyła, że będzie miała dla maksymalnie piętnaście minut. Słodko.

Rynek Główny latem był dla mnie czymś nawet gorszym niż stadion Wisły podczas derbów z Cracovią. Za dużo ludzi, za dużo hałasu, za wiele zamieszania. A na dokładkę mógł cię stratować dorożkarski koń.

Nie nazbyt delikatnie przedarłem się przez grupkę rozochoconych Hiszpanów i stanąłem przed restauracją, w której kelnerowała Wiera. Stała trochę z boku, oparta o mur kamienicy i paliła papierosa. Miała na sobie białą koszulę z bufiastymi rękawkami, spódnicę w kwiatowy wzór

i czarny kelnerski fartuch, który pasował do całości jak paprykarz szczeciński do dziesięcioletniej whisky. Podszedłem do niej, kręcąc głową.

– Dobrze się zastanów, zanim coś powiesz – wycełowała we mnie palec wskazujący.

– Przepraszam – powiedziałem.

– Dosyć banalnie, ale ujdzie – skomentowała i wypuściła strużkę dymu w górę. – I co ci się wczoraj przytrafiło, że wystawiłeś kobietę.

Nie byłem pewien, czy Wiera ze mną flirtowała, czy się ze mnie naigrywała.

– Miałem wypadek – rzuciłem i obróciłem głowę, pokazując guza.

– Taaa. A co ci się przytrafiło? Koń cię kopnął?

Skąd ona niby wiedziała, że przed chwilą myślałem o koniach? Kobiety, które zdawały się czytać w moich myślach, zawsze napawały mnie pierwotnym lękiem.

– To długa historia, a my mamy mało czasu.

Roześmiała się znowu tak, że wszystko we mnie zawibrowało.

– Niech ci będzie, ale kiedyś mi opowiesz, co się stało.

– Obowiązkowo.

– Może tak się jednak nie zarzekaj, bo na razie słabo u ciebie ze słownością.

Przecież tylko raz wystawiłem Wierę, ale nie zamierzałem się z nią droczyć, więc przeszedłem od razu do sprawy:

– Chciałbym porozmawiać z rodziną Tatiany. Miałabyś czas, żeby pojechać ze mną do Lwowa?

Wprawdzie nie miałem za wiele pieniędzy na takie podróże, ale kto nie inwestuje, ten nie pije szampana. Czy jakoś tak.

Wiera z nieco podejrzaną starannością gasiła niedopałek w stojącej obok popielniczce.

I wtedy do mnie dotarło, jaki jestem bezdennie głupi i niezorganizowany. Proponowałem wyjazd na Ukrainę, a nie miałem ważnego paszportu. Przez ostatnie trzy lata planowałem wyrobić sobie nowy, ale jakoś się nie składało, mimo że z mojego biura przy Miodowej do biura paszportowego miałem ledwie kilka kroków. Myślę, że mi się z tym nie śpieszyło, bo nigdy nie byłem fanem zagranicznych wyjazdów, wcale mnie nie kręciły.

Zanim zdecydowałem, jak wybrnąć z tego pomysłu, zachowując resztkę twarzy, Wiera powiedziała:

– I tak muszę w przyszłym tygodniu jechać do domu, bo mam tam sprawy do załatwienia.

– A widzisz, to świetnie – rozpaczliwie kombinowałem, co dalej. – To może ty sama porozmawiasz z matką i siostrą Tatiany... A ja pojedę do Lublina, żeby pogadać z jej narzeczoną. Szkoda marnować czas.

– Ale ja się na tym nie znam! O co mam ją pytać.

– Wszystko ci powiem.

Wiera spojrzała na zegarek.

– Przerwa mi się kończy, zaraz menedżer będzie mnie szukać.

– Daj mi mejla, wszystko ci opiszę.

Podyktowała. Zapisałem sobie w komórce.

– Nie wiesz, czy Oksana ma może zamiary na tego narzeczonego?

Znowu się roześmiała.

– Mam jego adres, bo tam kiedyś z Oksaną byliśmy. Podeślę ci, jak wrócę do domu.

Po prostu skarb. Kobieta skarb.

27 czerwca 2016, poniedziałek, Lublin

Nie ma nic piękniejszego jak prawie pusta droga i wschód słońca. Nie należałem do ludzi przesadnie mobilnych, niezbyt mi zależało na poznawaniu kraju i zagranicy. Jeśli nie musiałem, zwykle nie ruszałem się ze swojego miasta. Czasami jednak lubiłem się przejechać, nawet bez celu. Poczuć ruch i przestrzeń. Ale tym razem miałem cel: chciałem się spotkać z narzeczoną Tatiany.

Wieczorem wysłałem mejla do Wierze z zestawem pytań, które ma zadać bliskim Tatiany. Nie miałem pojęcia, co wyjdzie z jej rozpytania, ale intuicja podpowiadała mi, że dziewczyna sobie poradzi. Czasami słuchałem intuicji. A nawet jeśli nie wyciągnie zbyt wielu informacji, pozostawała jeszcze opcja rozmowy telefonicznej – już z moim udziałem. Z kolei Wiera tuż przed północą przysłała mi esemes z adresem Andrija Babenki i krótkim: OK, do zoba. Nie był to szczyt wylewności.

Bolała mnie głowa, trochę mnie mdliło. Może miałem wstrząśnienie mózgu po niespecjalnie ciekawej wizycie w hurtowni. Nie mogłem zasnąć. Powinienem pójść do lekarza, choćby po to, żeby zrobić obdukcję dla Lewandowskiego. Pewnie powinienem zrobić mnóstwo innych, pilniejszych rzeczy, ale zdecydowałem się na nocną jazdę do Lublina, żeby mieć z głowy tego Babenkę. Prawdę powiedziawszy, nie liczyłem, że coś ważnego od niego usłyszę. Cokolwiek, co pomogłoby złapać trop

Tatiany. Skoro Tatiana, wybierając się do Polski, chciała najpierw spotkać się z Oksaną, a nie Andrijem, znaczyło chyba, że w ich związku nie było już chemii czy bliskości. Bywa.

Do Lublina dojechałem po siódmej rano – godzina niezbyt trafiona, bo większość ulic zakorkowana. Znałem to miasto jedynie z powieści kryminalnych Marcina Wrońskiego, ale on opisywał Lublin lat trzydziestych i czterdziestych. Ponoć mieli tam klimatyczną starówkę i ładny zamek, ale jakoś nie korciło mnie, by sprawdzać te atrakcje. Kierowany bezpłciowym głosem nawigacji, chciałem jak najszybciej dotrzeć na ulicę Głęboką, gdzie mieszkał Babenko. Miałem nadzieję, że nie wychodził bardzo wcześnie do roboty.

To był blok, jakich wiele w kraju, ani nowy, ani stary. Nie lubię tłumaczyć się przez domofon, więc skorzystałem z uprzejmości staruszki wyprowadzającej psa, która wpuściła mnie na klatkę. Parter, mieszkanie po prawej, zapukałem raz i drugi. Cisza. Już zacząłem łajać się w myślach, że bez sensu przyjechałem tu bez wcześniejszego umówienia spotkania, kiedy szczęknął zamek i drzwi się otworzyły. Stał w nich zaspany mężczyzna o głowę ode mnie wyższy. A niski nie jestem.

– Dobry, Andrij Babenko? – darowałem sobie wstępy.

– Nie.

Wielkolud poczochnął się po czuprynie.

– A zastałem Andrija?

– A pan to kto?

– Prywatny detektyw. Chciałem z nim porozmawiać w ważnej sprawie.

– Andrij!!! – mężczyzna wydarł się w głąb mieszkania. – Detektyw jakiś do ciebie.

Bingo! Udało mi się zastać Babenkę w domu. Albo i nie, bo mijały sekundy, a narzeczony Tatiany się nie pojawiał.

– Śpi może jeszcze – mruknął olbrzym i ruszył ku drzwiom po lewej stronie przedpokoju. Bez pukania je otworzył, po czym stanął jak wryty i wielkimi oczami rozglądał się po pustym pokoju. W otwartym oknie powiewała firanka.

– No, Andrij tu spał – kręcił głową.

Może i spał, ale postanowił zwiać. Robiło się coraz ciekawiej.

Zeszyt w płóciennej okładce II

Rok 1981

Jak mawia moja matka: „Co się polepszy, to się popieprzy”. Nie przepadam za jej powiedzonkami, ale tym razem miała rację. Najpierw przyszły dobre wieści od Włodka. W kwietniu w Warszawie zaczął wychodzić niezależny tygodnik „Solidarność”. Wreszcie jakaś wolna prasa, bez tej obrzydliwej, nachalnej komunistycznej propagandy! I bez cenzury! Redaktor naczelny tygodnika, Tadeusz Mazowiecki, zaprosił Włodka do pracy w redakcji. Trudno powiedzieć, czy będą z tego jakieś konkretne pieniądze, ale mniejsza o to. Mam pensję, więc z Konradkiem się utrzymamy, a Włodek da sobie jakoś radę. Jak zwykle. Praca w „Solidarności” będzie się wiązała z tym, że Włodek przeniesie się do stolicy. Wpadł na pomysł, że jeśli on będzie siedział prawie na stałe w Warszawie, w Krakowie będzie już bezpiecznie i możemy z synem wracać do naszego domu. Nareszcie jakieś dobre wieści! Miałam chwilę prawdziwej euforii, chciałam od razu o wszystkim powiedzieć Konradkowi i matce. Potem jednak przyszła refleksja...

Raz, trwał rok szkolny. Nie mogłam, ot tak, rzucić pracy i zabrać syna ze szkoły. Potem zaczęłyby się korowody z szukaniem dla Konrada podstawówki w Krakowie oraz roboty dla mnie. Nie zniosłabym beczynności! Nagły powrót do Krakowa był zupełnie bez sensu. Postanowiłam, że pozostaniemy w Ciechanowie do końca roku szkolnego, a w wakacje na spokojnie przeniesiemy się do siebie.

Na razie uznałam, że nie powiem Konradkowi, że niedługo wynosimy się od matki. Tylko niepotrzebnie by się ekscytował, niecierpliwił. Jeśli poproszę matkę, nie wygada się. Raczej nie było możliwości, żeby Konradek dowiedział się o tym od Włodka. Jego rozmowy z synem ograniczały się zwykle do pytania: „Co tam w szkole?”. Zresztą kiedy on ostatnio do nas dzwonił, żeby dłużej porozmawiać? Tak normalnie, jak mąż z żoną? Dwa miesiące temu, może trzy. Czasami zapominam, jak właściwie brzmi jego głos... Mniejsza o mnie, chociaż to cholernie boli. Nie mogłam jednak zrozumieć, jak to możliwe, że Włodek nie potrzebuje

kontakty z Konradkiem, chociażby raz na jakiś czas. Kiedyś syn spytał mnie z nagłą: „Jak teraz tata właściwie wygląda? Czy ma brodę, jak wcześniej, czy nie?”. Prawie pękło mi serce.

Czy on nas kochał jeszcze? Chociaż trochę? Czy o nas myślał?

Dwa, że powrót do domu dla mnie samej wcale nie oznaczał zmiany na lepsze. Włodek będzie w Warszawie, ja w Krakowie, czyli znowu sama. Tylko z Konradkiem. Czasami w przypływie rozpaczki myślę o sobie, że jestem samotną matką i samotną żoną. Ile to będzie trwało? I czy kiedykolwiek taka sytuacja się zmieni? Nie mam pojęcia, nawet nie chcę o tym myśleć, bo od razu czuję się gorzej.

Powiedziałabym nawet, że w Krakowie moja sytuacja będzie trudniejsza, bo nie będę miała do pomocy matki. Kiedy byłam dzieckiem, specjalnie się mną nie zajmowała. Owszem, dbała, żeby mi niczego nie brakowało, ale to tyle. Właściwie wciąż mam do niej o to pretensje. To jest jak zadra, która tkwi pod skórą i co jakiś czas się ją dotyka, drażni. Ale muszę przyznać, że Konradkowi poświęca naprawdę wiele czasu i uwagi. Ma do niego podejście. A syn uwielbia babcię do tego stopnia, że momentami jestem zazdrosna. Wiem, głupie to... A może dziadkom zwyczajnie łatwiej przychodzi nawiązanie kontaktu z wnukami niż rodzicom z dziećmi? Bo dziadkowie swoje już przeżyli, złapali dystans do świata...? Nie wiem, nie mam pojęcia. Tak czy inaczej, cieszę się, że Konradek ma taką świetną relację z Felicją.

Jestem jednak pewna, że poradzę sobie w Krakowie. Syn z roku na rok jest coraz bardziej samodzielny, nie potrzebuje stałej uwagi i opieki w takim stopniu, jak jeszcze niedawno. Poza tym – głowa do góry! Zawsze dawałam sobie radę, więc i tym razem sobie dam. No, bo czy mam inne wyjście?

Dlaczego świat jest taki okrutny! Dlaczego świat jest tak potwornie zły!!!

Trzynasty maja 1981 roku... Dzień, w którym świat zamarł. Wszyscy mówią tylko o jednym. O zamachu na Jana Pawła II.

W pracy, wśród znajomych właściwie tylko jeden temat – czy papież dojdzie do siebie po zamachu. Ponoć długa operacja zakończyła się powodzeniem. Też myślę o Janie Pawle, o Kościele, o religii.

Matka z religią zawsze była na bakier. Wcale nie dlatego, że miała poglądy lewicowe. Nie należała do partii i zawsze twierdziła, że wszelka ideologia i polityka ją zwyczajnie obrzydzą i odrzucają. Po prostu nie

wierzyła i uznała, że nie będzie traciła czasu na uczestnictwo w pustych rytuałach. Czasami kłóciła się o to ze swoimi psiapsiółkami. Sama nie chodziła do kościoła, więc nawet mnie nie ochrzciła. Powiedziała mi kiedyś, że to musi być mój wybór. Tylko mój. Szanuję ją za to.

Nigdy nie poczułam religijnego wzmożenia. Jakiegoś metafizycznego objawienia. Pewnie zwyczajnie nie wierzyłam i wciąż nie wierzę w Boga. Czasami chodziłam do kościołów, ale nie na msze. Siadałam i chłonełam ich atmosferę. Uciekałam tam od szarej, trudnej rzeczywistości. A może po trochu też czekałam na znak. Jakikolwiek. Nigdy nic takiego nie nastąpiło.

Jestem więc niewierząca, ale Jan Paweł II intrygował mnie i po trosze inspirował. Tak jak miliony Polaków. Do dzisiaj pamiętam ciarki na plecach, kiedy nasz papież podczas pielgrzymki do Polski w roku 1979 wypowiadał znamienne słowa: „Niech zstąpi Duch Twój i odnowi oblicze ziemi. Tej ziemi!”. To było faktycznie niczym powiew nadziei. I zachęta do zmiany. Włodek twierdzi, że gdyby nie Jan Paweł II i jego pielgrzymka, nie byłoby Solidarności. Może i tak, ale nie jestem do końca pewna, bo wiara i religia sobie, a zwykłe życie sobie. Widzę, że ludzie niby mocno wierzący bywają takimi samymi szujami jak niektórzy ateści. Tak mam, że dostrzegam różne oblicza zjawisk, różne strony życia. Analizuję, starając się wskazać dobre i złe strony. Może właśnie dlatego, że jestem niewierząca.

Włodek też jest ateistą, ale wierzy w Solidarność. I jest to wiara bardzo głęboka. Czasami chciałabym, żeby choć trochę wierzył w naszą rodzinę.

I co ja mam zrobić? Już byłam psychicznie przygotowana na powrót do Krakowa, a tu w kwietniu ten ich śmieszny rząd wprowadził kartki na mięso. Później ogłaszali reglamentację kolejnych produktów spożywczych. Ciągłe coś w tym nieszczęsnym kraju dzieje się niedobrego, ciągle jakieś upodlenie. Jak ja sobie poradzę w Krakowie?

Rozmawiałam o tym z matką. Namawiała mnie gorąco, żebym przemyślała sprawę. Ciechanów otoczony jest terenami rolniczymi. Wiadomo, chłop zawsze się wyżywi, sprzeda też coś miastowym. Poza tym matka miała tak rozległe znajomości, że pewnie bez problemu udawałoby się jej kombinować reglamentowane produkty. Znałam jej talent do tego. Argumentowała, że w Krakowie będę zdana tylko na siebie. Zabolalo. I tak była delikatna, bo oszczędziła mi przypomnień, że na męża nie mam co liczyć. Rozumiałam, że matka zwyczajnie analizuje

sytuację i wybiera optymalne rozwiązanie, nie przejmując się sferą emocjonalną. Zawsze tak miała, jednak czasami nie mogłam tego znieść. Mniejsza...

Wciąż nie wiem, co robić.

Zostać czy wracać?

Rozdział trzeci

Niezorientowani

27 czerwca 2016, poniedziałek, Lublin, Kraków i Mysłowice

Na odchodne rzuciłem wielkoludowi, że poszukam Andrija w pracy. Miałem nadzieję, że da cynk współlokatorowi, żeby nie pokazywał się w robocie tego dnia. A ja sobie spokojnie poczekam na narzeczonego Tatiany przed jego chatą.

Wróciłem do auta, oparłem się o maskę i zapaliłem. W samochodzie nie paliłem. To była kolejna z moich zasad. Nie działo się za wiele. Ludzie spieszyli do pracy albo sklepów. Psiarze wyprowadzali swoich pupilów. Nikt specjalnie nie przejmował się sprzątaniami po nich. Tylko wzruszyłem ramionami. Nie moje miasto, nie mój syf. Potem wsiadłem do miśka i włączyłem radio. Nick Cave swoim niepodrabialnym głosem do spółki z Kylie Minogue wyśpiewywali melancholijną i zarazem pokreconą pieśń *Where The Wild Roses Grow*. Pasował mi taki nastrój.

Nie minęło pół godziny, a zza przeciwległego szczytu bloku wyłonił się bosonogi cudak w bokserkach i powyciąganej koszulce z napisem: „Szachtar Donieck”. Ani chybi Andrij uciekinier. Wprawdzie parter w tym bloku nie był specjalnie wysoki, ale najpewniej biedny żuczek nie mógł z powrotem dostać się do mieszkania przez okno. Przy tym upale jego strój mógł nawet nie zwracać uwagi, jednak brak obuwia już tak. Wyraźnie spłoszony, rozglądał się

dookoła.

Wysiadłem i zacząłem iść w jego stronę. Musiał mieć jakiś szósty zmysł albo ja wciąż wyglądałem jak pies, bo od razu włączył mu się tryb ucieczki. Tyle że na bosaka, nawet w mieście, kiepsko się zwiewa. Potruchtałem za nim, licząc na to, że nie będę musiał się spocić, aby go dopaść. Czasami też miewałem szósty zmysł, bo po kilkudziesięciu metrach wrzasnął i zaczął podskakiwać na jednej nodze. Raczej nie wdepnął w psią kupę.

Było to jedno z komiczniejszych zatrzymań w mojej policyjnej karierze. Choć zdarzały się równie śmieszne. Kiedyś pewien drobny zbój próbował

zwiewać w niezapiętych spodniach, zaliczył efektowną glebę i rozkwasił sobie nos. Potem musiałem się jeszcze tłumaczyć przed przełożonym z niezbyt delikatnego zatrzymania. A byłem niewinny, wysoki sędzie.

Podszedłem do niego i położyłem mu rękę na ramieniu. Nie chciałem, żeby znowu rzucił się do ucieczki.

– Andrij, nie wygłupiaj się, bo zrobisz sobie krzywdę. Chcę tylko porozmawiać. Nic więcej.

Zaczął wyrzucać zdania po ukraińsku z szybkością pulemiotu.

– Mówisz po polsku? – spytałem.

– Ploho.

Lepiej źle niż wcale, pomyślałem. Na szczęście znałem rosyjski z liceum i studiów, a potem jeszcze sporo słuchałem ruskiego rocka, więc utrwaląłem sobie język Puszkina. Cóż, może nie do końca taki, jakiego używał poeta. Była więc szansa, że się dogadamy z Andrijem. Przeszedłem więc na rosyjski i nakazałem:

– Usiądź tam na ławce i sprawdź, co z twoją nogą.

Posłuchał. Obejrzał stopę i wyciągnął z niej kawałek szkła. Mała rana, ale upierdliwa.

– Posłuchaj mnie – zacząłem spokojnie – chcę porozmawiać o Tatianie. Możemy pogadać tutaj, ale może lepiej idźmy do ciebie. Ranę sobie zdezynfekujesz.

– O Tatianie? Skąd ty znasz Tatianę? – też przeszedł na rosyjski.

– Wyjaśnię. Chodźmy.

W tempie kuśtykającego Andrija doszliśmy do mieszkania. Znany mi już wielkolud stanął w drzwiach. W jego oczach dostrzegłem niewypowiedziane pytanie, czy ma mnie łać. I pewnie to starcie by wygrał. Narzeczony musiał mu dać jakiś znak, bo odstąpił.

Usadawiłem się w pokoju Andrija. Panował tu kawalerski bajzel, nawet większy niż u mnie. Chłopak przyszedł po paru minutach z prowizorycznym opatrunkiem na stopie i dwoma kubkami herbaty. Wolałbym kawę, ale nie grymasiłem.

– Tak z ciekawości, czemu uciekałeś?

– Na czarno robię na budowie. Tak szef wymyślił, ale płaci dobrze. Myślałem, że pan z jakiejś kontroli czy coś takiego.

Pokręciłem głową i rzuciłem:

– Jeśli myślisz, że Państwowa Inspekcja Pracy chodzi po domach i sprawdza Ukraińców, mylisz się. Nie musisz po każdym dzwonku do

drzwi wyskakiwać przez okno.

Przytaknął i zmienił temat.

– Co z Tatianą?

– Jesteś jej narzeczonym? – wolałem potwierdzić.

– Niby tak – odparł i siorbnął łyk herbaty.

– Naprawdę, Andrij, jechałem tu pół nocy, jestem zmęczony i nie mam za wiele czasu. Potrzebuję konkretów.

– Oficjalnie jesteśmy w narzeczeństwie.

– Widzisz, da się.

– Tylko że odkąd pracuję tu u was, a to już z rok, między nami się nie układa. Chciałem ją do mnie ściągnąć, ale odmówiła. Raz tylko przyjechała do Lublina. Dzwoni coraz rzadziej – zwiesił głowę na chwilę.

– Ale właściwie co z nią i kim pan jest?

Przyjrzałem się Babence. Chłopak był niebrzydki – chyba, ale co ja tam wiem – dobrze mu z oczu patrzyło, dlaczego więc Tatiana postanowiła go spławić? Może duszę miał mroczną?

– Prywatnym detektywem. I szukam Tatiany.

– Jak to pan szuka? Co jej się stało?

– Nikt nie ma pojęcia. Ponad dwa tygodnie temu miała przyjechać do Polski do pracy. Nie dojechała i nie wiadomo, gdzie jest. Wiedziałeś, że załatwiła sobie tu robotę?

– Niby tak...

– Andrij, jakie znowu niby?

– Wspominała kiedyś, że może trafi jej się dobra robota, ale nic więcej. Nie wiedziałem, że już sobie coś znalazła.

– A w ogóle kiedy się ostatnio kontaktowaliście?

Poprawił opatrunek zsuwający mu się ze stopy.

– Dokładnie nie pamiętam, pewnie tak jakoś z miesiąc temu.

– A kiedy wspomniała o tej ewentualnej pracy, może podała ci jakieś szczegóły? Co to za robota? Gdzie? Jak ją załatwiła?

– Tylko że poznała Polaka, który u nas studiuje we Lwowie. I że ten Polak ma znajomego, który może ją zatrudnić.

– I nic więcej?

– Nic.

– Nie dopytywałeś się o szczegóły?

Zacisnął pięści.

– Bo chuj jasny mnie strzelił. Ja tu haruję i tęsknię, a ona tam jakichś Polaków sobie poznaje.

Byłem ciekaw, czy większym problem dla Andrija było to, że chodziło o Polaka, czy w ogóle jakiegokolwiek mężczyznę. Wolałem nie drażnić.

Nieszczęśliwy narzeczony zerwał się z krzesła i zaczął krążyć po pokoju, utykając.

– Co jej się stało? Co z nią jest?

Nie byłem pewien, czy to pytanie do mnie, ale odpowiedziałem:

– Próbuje to ustalić. I naprawdę nie wiesz, z kim ona mogła się w Polsce jeszcze kontaktować, kogo znać? Oprócz Oksany i Wiery.

– To pan je zna?

– Oksana mnie wynajęła.

– Dobra z niej dziewczyna.

Może nawet lepsza niż Tatiana, tak mi się pomyślało.

– Ja bym zaraz poleciał jej szukać – Andrij coraz bardziej się nakręcał. – Ale gdzie, ale jak? Poza tym roboty przecież nie rzucę.

Nie zamierzałem dłużej przyglądać się rozpaczy chłopaka. Dałem mu wizytówkę i poprosiłem, żeby dał mi znać, jeśli Tatiana przypadkiem się do niego odezwie.

W sumie, biedaczyna.

Potem zaliczyłem wreszcie zwiedzanie Lublina. Uznałem, że przed kolejnymi czterema godzinami za kółkiem wypadałoby zjeść śniadanie. A na wyobrażenie tłustej kiełbasy w przydrożnym barze lekko mnie zemdliło. I tak babka Felicja przy każdej okazji wyrzucała mi, że jem byle jak i byle co. Dopowiadałem wtedy, że i z byle kim, na co z uśmiechem groziła mi palcem.

Podjechałem pod Stare Miasto. Krakowskie Przedmieście, Brama Krakowska. Prawie jak w domu. Kiedy przeszedłem przez dużą bramę przypominającą wieżę, szczelnie wpasowaną między kamienice, poczułem się trochę tak, jakbym przeniósł się do Kazimierza lat dziewięćdziesiątych. Oczywiście krakowskiego. Trochę najrozmaitszych knajp i barów, odnowione kamienice sąsiadujące z ruinami, które stały chyba tylko cudem. Pewnie po to na bramie umieszczono święty obrazek. Brukowane ulice i uliczki wijące się w różnych kierunkach. Od Kazimierza lubelska starówka różniła się tym, że wybudowano ją na wzgórzu.

Szwendając się to tu, to tam, trafiłem na znajdującą się przy Rynku Restaurację Trybunalską. Z bardzo przyjemnym ogródkiem i już otwartą.

Chciałem zjeść zwyczajne śniadanie, ale w karcie natknąłem się na dziwo o nazwie forszmak lubelski. Był to gulasz z różnymi mięsami, kiełbasą i kiszonymi ogórkami. Po jednej misie nie musiałem już nic tego dnia jeść. Zamówiłem jeszcze kawę, bo poczułem senność. A jak kawa, to papieros. Tego duetu nie wypadało rozdzielać.

Robiło się coraz bardziej gorąco, moje myśli krążyły trochę bez ładu i składu. Od nieszczęśliwego narzeczonego nie dowiedziałem się wiele, ale zastanowił mnie student ze Lwowa. Czasami gangi handlujące kobietami posługiwały się takimi miłymi chłopaczkami, którzy umieli ugadać dziewczyny, zachęcić do skoku w nieznane wizjami zagranicznych rajów. Równie dobrze mogła być to niewinna znajomość, która doprowadziła Andrija do rozpacz. Trzeba było podrażnić temat, bo na razie był to jedyny trop. Jako taki. Może matka Tatiana wiedziała coś o studencie.

Dopadły mnie wyrzuty sumienia z powodu babki Felicji. Dawno jej nie odwiedzałem. Wyrzucałem sobie, że zostawiłem ją samą, przenosząc się do Krakowa. A przecież miała swoje lata i była schorowana. Wprawdzie zarzekała się, że ona to stary, dobry przedwojenny materiał i będzie żyła tak długo, aż nie dam jej wnuka. Ten żart nigdy do mnie nie trafiał. Z drugiej strony, moja starowinka właściwie sama wepchnęła mnie na drogę, którą kroczyłem. Niezbyt dumnie. W Ciechanowie nie miałem szans, żeby utrzymać się jako prywatny detektyw. Tym bardziej że dawni koledzy z komendy na pewno by mi bruździli, bo mnie nie znosili. A ja nie znosiłem ich.

Już chciałem wybrać numer Felicji, ale tak się jakoś stało, że zadzwoniłem do Wiery. Długie, jednostajne sygnały. Jeszcze foch czy zwyczajnie odsypiała po pracy?

Na pociechę i drogę kupiłem sobie lubelskiego cebularza, wielkiego jak talerz.

Sporo dnia jeszcze było przede mną, więc po powrocie do Krakowa zajechałem do mojego biura. Dyscyplina, obowiązkowość – te rzeczy. Skompletowałem kwity do ostatniej sprawy rozwodowej, którą prowadziłem. Oczywista oczywistość, kobieta orzeczenie o winie miała jak w banku. Dostałem zapytanie o kolejną sprawę rozwodową. Brać czy nie brać? Nie miałem pojęcia, jak rozwiną się poszukiwania Tatiany, na razie nie zabierało mi to za wiele czasu, więc odpisałem nieszczęśnicy, że możemy się spotkać i omówić temat. Ciekawostka, że zwykle to kobiety

zwracały się do mnie z takimi tematami. Kobiety nie zdradzały? Nie sądzę.

Z nudów zacząłem przeglądać internet i trafiłem na informację, że w Sosnowcu znaleziono ciała dwóch młodych zamordowanych kobiet. Ukrainki i Mołdawianki. Ukrainki? Od razu zadzwoniłem do Adama Tyszki, gliny z Katowic, który pomagał mi przy greckiej sprawie dwa lata temu.

Jak zwykle zaczął od marudzenia, że dzwonię do niego tylko w interesach. Ale Adam należał do ludzi, którzy lubią sobie ponarzekać, chociaż – by go trochę usprawiedliwić – nie miał chłop w życiu lekko. Faktycznie kontaktowałem się z nim wtedy, kiedy czegoś od niego chciałem, jednak on też do mnie nie wydzwaniał, żeby spytać, co się ze mną dzieje, czy pogadać o występach naszej nieszczęsnej reprezentacji futbolowej. Na pytanie o morderstwa w Sosnowcu odparł, że to nie jego rewir, ale może się zorientować, bo akurat jest na urlopie i poza pierdzeniem w fotel nie ma nic innego do roboty. I kazał mi przyjechać do Mysłowic późnym wieczorem. Taki typ niereformowalny! Jeśli chciałem z nim dłużej porozmawiać, musiałem stawić się w jego mieście. Zawsze tak było.

Kiedy dojechałem do Mysłowic, krwawy zachód słońca zalewał miasto niepokojącym światłem. Tyszka, jak zwykle, umówił się ze mną w knajpie. Jakoś nigdy nie chciał mnie widzieć u siebie w domu. Pasowało mi to. Tym razem wybrał mały bar piwny przy Wielkiej Skotnicy, w którym znużeni pracą i życiem górnicy na smutno przepijali te resztki pensji, które łaskawie zostawiały im żony. Plusem tej miejscówki było to, że nikt tam nie przejmował się zakazem palenia.

Tyszka siedział przy stoliku u końca niewielkiej salki. Przed nim stał zestaw mocno rozrywkowy: pokal z piwem i setka wódki. I mocno już naruszony. Chyba Adam nie był w najlepszym nastroju. Pewnie od dawna. Z jego nielicznych zwierzeń wiedziałem, że gryzło go, że Ela, z którą był od lat, kuratorka w jednej z katowickich galerii, jakoś nie paliła się do legalizacji związku. Gryzło tym mocniej, że trzy lata temu jego ojciec, który niemal stał nad grobem, wziął ślub. Pewnie w pokręcony sposób cieszył się szczęściem starego, którego bardzo kochał, ale mu też zazdrościł. Nie zamierzałem drażnić tematu.

Przywitaliśmy się skinieniem głów. Usiadłem i chciałem zapalić, ale Adam wskazał w stronę baru i powiedział:

- Daj zarobić mojemu kumplowi.
- Wezmę sobie jakąś mineralkę.
- Nie osłabiaj mnie i kup sobie piwo jak normalny chop.
- Autem jestem.
- Przecież wiem, że pociągiem tu nie przyjechałeś. Przetrzeźwiejesz.

To również była część rytuału naszych spotkań. Musiałem się z nim napić, choćby symbolicznie, bo inaczej mógł się zaciąć i nic mi nie powiedzieć. Westchnąłem. Jak na policjanta Adam miał swobodne podejście do przepisów, co bywało pomocne w przekazywaniu informacji niejawnych. Oczywiście w granicach rozsądku.

Pociągnąłem łyk browara. Nie było to najlepsze tyskie z kija, jakie piłem, ale miało jedną zaletę – śmieszna cenę.

– Masz coś dla mnie? – z miejsca spytałem, bo wiedziałem, że Tyszka nie lubi pogaduszek o pogodzie.

Podrapał się po brodzie pokrytej kilkundniowym zarostem, zapalił i odpowiedział.

– I tak, i nie.

Nie dopytywałem, bo wiedziałem, że Adam ma swój rytm opowieści.

– Sprawa jest świeża – ciągnął – ale na moje oko pozostanie jedną z tych nierozwiązanych.

– Dobra, zanim mi opowiesz, jedno szybkie pytanie: czy ta zamordowana Ukrainka to Tatiana Zinczenko?

– A kto to taki?

– Najpierw powiedź mi, proszę, jak ta zamordowana się nazywa.

– To Natasza coś tam coś. Nazwisko ci mogę sprawdzić, jeśli potrzebujesz.

– Nie.

– To co z Tatianą?

Opowiedziałem mu o ukraińskim zleceniu.

Długim haustem dopił setkę i zapił piwem. Nawet się nie skrzywił.

– Trudny temat sobie, synek, wybrałeś.

– To akurat wiem.

– Chociaż nie robię w obyczajówce, trochę mi się obija o uszy, bo Śląsk jest prawdziwym zagłębieniem burdelnictwa – skwitował Tyszka.

Trzeba mu przyznać, miewał malownicze określenia. Niekoniecznie pochodzące ze śląskiej godki.

– I myślisz, że zaginięcie Tatiany wiąże się z handlem kobietami? – spytałem, chcąc potwierdzić, że nie tylko ja wpadłem na taki koncept.

– Jak najbardziej, podobnie jak ta świeża sprawa z Sosnowca.

– To aż tak oczywiste?

– Stary, zwłoki znaleziono na widoku w parku Sieleckim, a przy nich dokumenty. Ktoś bardzo ryzykował, żeby przekazać jasną wiadomość.

– Jaką?

– Do końca nie wiem. Może taką, że od nas się nie ucieka. Albo... że nas się nie oszukuje. A może dziewczyny podpadły w jakiś inny sposób. Możliwości jest wiele. I ten podwójny mord ma być przestrożą dla innych dziewczyn.

Bez dwóch zdań była to wiadomość aż nazbyt dobitna. I okrutna. A ktoś, kto ją przekazywał, nie był podrzędnym alfonssem.

– A dlaczego uważasz, że ta sprawa z Sosnowca nie zostanie rozwiązana?

– Przy podwójnym morderstwie chodzi o większego gracza – Tyszka potwierdził moje przypuszczenia. – A w takim przypadku do niczego się nie dojdzie, jeśli się nie namierzy i nie rozbije całej grupy. Sam dobrze wiesz, że to niełatwe i zwykle wymaga czasu.

Trudno mi było zaprzeczyć.

– Znasz takie grupy w regionie?

– Mniej więcej, ale bez konkretów.

– A mógłbyś się zorientować, jacy gracze w tym biznesie są namierzani?

– A na co ci to? – zdziwił się. – Przecież wspominałeś, że ta Tatiana miała trafić do Warszawy.

– Cholera wie, co jej naopowiadali i ile w tym było prawdy.

– No, fakt.

– Nie mam za wielu tropów, więc macam trochę na ślepo.

Dopiliśmy piwo, zapaliliśmy.

– A tak przy okazji ty mi się, synek, do końca życia halbami nie wypłacisz za moją pomoc – powiedział z półuśmiechem.

– Postawić ci jeszcze kolejkę?

– Nie dzisiaj, ale kiedyś się upomnę.

Przybiliśmy piątki i każdy ruszył w swoją stronę.

Wracając do Krakowa autostradą A4, która jak zwykle pozostawała w permanentnym remoncie, utwierdzałem się w przekonaniu, że wziąłem

sprawę, która skończy się smutno. Na tę chwilę wersja, że Tatiana trafiła w ręce ludzi, którzy zrobią albo już zrobili z niej prostytutkę, wydawała mi się najbardziej prawdopodobna. Niestety.

28 czerwca 2016, wtorek, Kraków

Z samego rana kolejny raz zadzwoniłem do Wiery. Nagraj, kurde, wiadomość. A w życiu! Najpierw targnęła mną złość, ale szybko mi przeszła. Nie miałem pojęcia, czy wciąż się na mnie boczyła, czy coś się stało. Przez moment niepokoiłem się, więcej nawet – zwyczajnie bałem się, że mogło jej się przytrafić to, co Tatianie. Wprawdzie sprawiała wrażenie rozsądnej i ostrożnej kobiety, ale nawet takie czasami znajdują się w złym miejscu o złym czasie. Niewiele tak naprawdę o Wierze wiedziałem.

I jak niby miałem szukać Tatiany bez pomocy Wiery? Nie mogłem sam pojechać do Lwowa – wiadomo, paszport – a chciałem jak najszybciej porozmawiać z bliskimi zaginionej, najlepiej z tłumaczem pod bokiem. Wydzwoniłem więc Oksanę. Odebrała i niemal wyszeptała, że może rozmawiać tylko przez chwilę, chwileczkę. Z pewnością jej pracodawczyni Kortowska czaiła się gdzieś w pobliżu z pejczem w jednej ręce, a listą zadań na dzisiaj dla służącej w drugiej. Naprawdę, współczułem Ukraince. Spytałem, czy może się ze mną dzisiaj spotkać, by uczestniczyć w rozmowie z matką Tatiany. Zdziwiła się, dlaczego ją o to proszę, skoro Wiera mi pomaga. Powiedziałem, że nie mam z nią od niedzieli kontaktu.

– Pewnie dlatego, że Wierka jest we Lwowie – wyszeptała.

– Gdzie?

– Na... w Ukrainie. Nie mówiła?

– Coś tam wspominała.

– Na pewno się odezwie. Ona słowna jest.

Znałem wielu słownych ludzi. Potem okazywało się, że z ich słowności wynikały same kłopoty. Dla mnie.

Ustaliliśmy, że jeśli Wiera nie odezwie się w ciągu dnia, Oksana spotka się ze mną, ale wieczorem. Raczej późnym. Na pewno miała jeszcze dzisiaj przed sobą moc pracy. Bidulka.

Idąc do swojego biura przy Miodowej, zastanawiałem się, dlaczego Wiera nie dała mi znać, że tak szybko jedzie do Lwowa. I dlaczego nie odbierała telefonów. Nie miała czasu? Chciała załatwić sprawę z bliskimi zaginionej po swojemu, a mnie olała? Niby sam jej to zleciłem, jednak

mogła odezwać się choćby słowem. Nędznym esemesem. Może była zwyczajnie bardzo niezależna? Nie mogłem rozstrzygnąć, czy bardziej mnie to drażni, czy pociąga. I imponuje.

W biurze spotkałem się z Lucyną Kozłowską, która prosiła mnie o spotkanie w sprawie niewiernego męża, wyraźnie przybitą kobietą pod pięćdziesiątkę. Przyszła z historią jakich wiele. Była, jak to kiedyś mawiano, przy mężu, wychowała dwójkę dzieci. Pewnego dnia koleżanka koleżanki zobaczyła w restauracji jej męża, Leszka, z dużo młodszą kobietą. Mogło to coś znaczyć, chociaż nie musiało. Z doświadczenia wiedziałem, że zwykle znaczyło. Leszek był krawcem męskim. Dobrym, jak zaznaczyła jego żona. Krawiec? Na takiego jeszcze nie zbierałem kwitów. Dała mi jego zdjęcie. Na oko pucułowaty pocziwina, ale i takich kuszą demony wieku średniego. Obiecałem, że zajmę się sprawą, i zainkasowałem zaliczkę.

W biurze było duszno, więc otworzyłem okno, ale zaraz je zamknąłem, bo buchnął zza niego żar. Upał nie odpuszczał. Usiadłem na szerokim parapecie i zapaliłem. Patrząc, jak sroki szperają w kubłach na śmieci stojących na podwórzu kamienicy, zastanawiałem się, co ci zdradzający faceci mają we łbach. Oczywiście, najprostszym i zarazem najbardziej trywialnym wytłumaczeniem był kryzys wieku średniego. Tyle że większość dawała sobie z nim radę, kupując motocykl czy znajdując sobie mniej lub bardziej kosztowne hobby. Zdradzający zwykle ściągali na siebie kłopoty. Trudne rozwody, organizowanie sobie życia na nowo, często u boku młodszej kobiety. Kobiety, która zwykle traktowała takiego typa jak kartę do bankomatu na dwóch nogach. Nie żebym w związkach z kobietami był święty, jednak żony, mojej kochanej nieszczęsnej Marii nie zdradziłem nigdy. Nawet w naszych mrocznych czasach, kiedy wyłem z tęsknoty za normalnością i zwyczajną bliskością, taka myśl nie powstała mi w głowie.

Zeskoczyłem z parapetu i zgasilem peta w przepelnionej popielniczce.

– Rowicki, weź się nie zajmuj domorosłą psychologią. Ledwie polonistą przecież jesteś – zganilem się na głos.

Tak, gadałam do siebie. I nie, nie było to dobre.

Upał pod wieczór trochę zelżał, więc zdecydowałem się na powrót do domu na piechotę. Przez chwilę kusilo mnie, żeby skrócić z Krakowskiej w stronę Żyda, usiąść w ogródku którejś z knajp i strzelić sobie piwo. Albo nawet kilka. Dostałem zaliczkę, była okazja do małego święta.

Odparłem jednak pokusę. Musiałem być trzeźwy jak świnia, jeśli dzisiejsza rozmowa z bliskimi Tatiany miała mieć sens.

Dochodziłem do mostu Piłsudskiego, kiedy rozdzwoniła się moja komórka melodyjką z piosenki Road to Hell Chrisa Rei. Wiera. A jednak! Zrobiłem trzy głębsze wdechy i odebrałem.

– Czołem, detektywie – zaczęła wesolutkim tonem.

– Witam zgubę.

– Zgubę? Nikt tu się nie zgubił.

– Dzwoniłem do ciebie kilka razy, ale nie raczyłaś odebrać.

– Ooo, ktoś tu brzmi jak stęskniony, zazdrosny kochanek.

Nie byłem pewien, czy Wiera robi sobie ze mnie jaja, czy flirtuje.

– Poczekaj, Wiera. Na ulicy jestem i słabo słyszę. Oddzwonię za chwilę, tylko odbierz, pięknie proszę.

W słuchawce zadźwięczał jej śmiech, którym mnie rozbroiła. Byłem niemal pewny, że gdyby ta kobieta tylko zechciała, mogłaby ze mną zrobić wszystko.

Zszedłem schodkami przy moście na bulwary wiślane i znalazłem wolną ławkę. Zapaliłem i przez chwilę gapiłem się na toń rzeki, pomarszczoną od lekkich powiewów. Musiałem się uspokoić, żeby nie zachowywać się jak zakochany nastolatek. Zakochany? Co też roіło mi się w pustym łbie.

Zadzwoiłem. Raczyła odebrać.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi, że zaraz jedziesz... – przerwałem i zaciągnąłem się głęboko.

– Jesteś tam?

– Tak.

– Pochwal mnie – zarządziła.

– Nie wiem, czy jest za co.

– Nie zrzedź, tylko mnie pochwal.

Cisnąłem niedopałkiem i wgniotłem go w trawę butem. Wiedziałem, że z Wierą łatwo nie będzie.

– Chwalę cię. Niczym łąki umajone.

– A co to właściwie znaczy? – w jej głosie pobrzmiwało zdziwienie.

Teraz to ja zaśmiałem się do rozpuku.

– Dobra, chwalę cię bardzo.

– Słabe to było, ale masz zaliczone. Mam coś dla ciebie.

– Dajesz.

– Rozmawiałam z matką Tatiany.

– Szybka jesteś.

Byłem pod sporym wrażeniem.

– Dostałam od ciebie zadanie, więc wykonałam. Tak mam. A że nadarzyła się okazja darmowej podwózki do Lwowa, stało się to szybko.

Nie idź tą drogą, Rowicki, zaklinałem się w myślach. Nie wnikaj, kto i dlaczego ją podwoził, bo to nie twoja sprawa. Na pewno.

– Matka i siostra Tani wiedziały mniej więcej tyle co my.

– No to dupa zbita – wyrwał mi się nader błyskotliwy komentarz.

– Poczekaj, poczekaj. Olśniło mnie, że Tania od zawsze prowadziła pamiętnik, w który którym zapisywała wszystko, co dla niej ważne. Pokazywała mi kiedyś. Spytałam jej matki, czy Tania wzięła go ze sobą. Okazało się, że nie, bo i tak miała już przepełniony bagaż. Wzięłam go, na razie tylko pobieżnie przejrzałam, bo nie mam za wiele czasu...

Przerwała, usłyszałem odpalenie zapalniczki. Z całych sił starałem się nie myśleć, z jakiego powodu Wiera nie ma czasu.

– ...ale znalazłam ciekawy wpis. Nie wiem z kiedy, bo ona nie wpisywała dat.

– Co to takiego?

– To trochę dziwne i niejasne. Jest słowo „Polak”, a po strzałce „Polska”, a pod tym numer telefonu.

– Student.

– Że co?

– Chodzi o Polaka studiującego we Lwowie.

– Zobaczyłeś to w szklanej kuli? Gratuluję!

– Powiedział mi o nim niby-narzeczony Tatiany.

– Aaa, Andrij. A dlaczego niby?

– Tak o sobie mówił. Powiedziała mu jakiś czas temu przez telefon, że poznała studenta Polaka, który być może załatwi jej pracę.

– No, proszę bardzo, czyli coś tu się zaczyna układać.

– Oby, bo na razie wiele nie mamy.

Nie chciałem opowiadać Wierze o młodych kobietach zamordowanych w Sosnowcu ani o moich podejrzeniach, co mogło się Tatianie przytrafić. Na pewno nie w tej chwili.

– Wyślij mi ten numer telefonu esemesem.

– Się robi, szefie.

– Nie jestem twoim szefem, bo ci nie płacę – powiedziałem z westchnieniem.

– Tylko byś spróbował.

– Nie było w tym wpisie żadnego imienia czy nazwiska?

– Nic poza tym, co ci przekazałam.

– Dobrze, numer wystarczy. I, proszę, weź ze sobą ten pamiętnik, może coś tam jeszcze więcej znajdzie.

– Znajdziemy, bo to po ukraińsku, więc sam rozumiesz, że mało zrozumiesz – zaśmiała się kolejny raz.

– Jasne – potwierdziłem, w myślach ganiąc się, że jestem debilem, który ma problemy z logicznym myśleniem.

– Będę ci czytała do poduszki.

Przyznam, zrobiło mi się gorąco.

– Wiera, kiedy wracasz do Krakowa?

– Niedługo. Dam znać później, bo teraz muszę kończyć. Spóźniona jestem. Pa, całusy.

I się rozłączyła.

Gapiłem się w wygasły ekran smartfona. Nie byłem do końca pewien, co zaszło podczas tej rozmowy. Zwyczajna wymiana informacji? Flirt? Ewidentnie Wiera coś mi robiła. Właśnie – coś. Byłem nią zauroczony. Fakt. Jednak poza tym nie umiałem nazwać emocji związanych z tą kobietą. Ale w końcu, czy koniecznie musiałem?

Nieodmiennie zdumiewali mnie ludzie, którzy odbierają połączenia z nieznanych numerów. Gdyby nie moja praca łapsa, nigdy bym tego nie robił. Zawsze wolałem wiedzieć zawczasu, z kim przyjdzie mi rozmawiać.

A Tomasz Molenda odebrał. Molenda, czyli, jak się okazało, polski student ze Lwowa.

Wy tłumaczyłem mu, że szukam Tatiany, bo się zgubiła. Zdziwił się, chyba nawet szczerze. Wyjaśnił, że odstawił ją na granicę z Polską, gdzie odebrał ją kolega Ukrainiec. Tyle wiedział. Uznałem, że rozmowa z nim przez telefon to dla mnie za mało, więc zaproponowałem spotkanie jutro w Warszawie. Nie oponował. Czy to znaczyło, że nie miał nic na sumieniu? Trudno powiedzieć. Chciałem mu spojrzeć w oczy, zobaczyć, kto zacz, i dokładnie wypytać o wszystko, co wiedział na temat zaginionej.

Poza tym wpadłem na pomysł, że jak już będę w stolicy, podjadę do Ciechanowa. Bardzo chciałem się spotkać z babką Felicją. Zwyczajnie

tego potrzebowałem. Myślę, że moja starowinka też. Nie uprzedzę jej o przyjeździe. Zrobię jej niespodziankę. Chciałem zobaczyć radosny uśmiech kochanej starowinki, który zmieniał jej twarz w pomarszczone jabłuszko.

Przed snem postanowiłem się ogolić. Powoli skrobałem kilkudniowy zarost, coraz bliżej przysuwając twarz do lustra. Już od dawna wybierałem się do okulisty, ale jakoś się nie składało. Jasne, wcale nie chodziło o brak czasu, lecz o moją niechęć do odwiedzania wszelkiego rodzaju lekarzy. Pewnie wdrukowała mi ją babka Felicja, która twierdziła, że jak już się zacznie chodzić po lekarzach, oni zawsze u człowieka wynajdą chorobę. W tej kwestii różniła się od innych znanych mi kobiet. Prawdę powiedziawszy, moja starowinka bardzo różniła się od wszystkich ludzi, których znałem. Całe szczęście, że po tym, jak wykryto u niej obturacyjną chorobę płuc, i po ostatniej zapaści przestała unikać łąpiduchów.

W pewnej chwili zamarłem z maszynką przy policzku. Patrzyłem na coraz bielszy zarost na brodzie, oczy, które traciły intensywnie zielony kolor, za długie, zaczynające się już kręcić, włosy z siwymi pasemkami. Spojrzałem w dół na coraz wyraźniej rysujące się piersi i wystający brzuch. Przejechałem palcami drugiej ręki po zmarszczkach przy oczach i na czole. Był najwyższy czas, żeby wziąć się za siebie.

– Czy ty, Rowicki, możesz się jeszcze komuś spodobać? – zapytałem odbicia w lustrze, które tylko się wykrzywiło.

Oczywiście, nie chodziło o wszystkich, tylko o jak najbardziej konkretną Wierę.

29 czerwca 2016, środa, Warszawa i Ciechanów

Warszawy szczerze nienawidziłem, od zawsze. Mierziły i drażniły mnie tłumy ludzi pędzących nie wiadomo gdzie i po co. Wszechobecny, beładny pęd przypominający szamotaninę mrówek w zbyt ciasnym mrowisku. Drażniły mnie hałas i zgiełk. Większość moich znajomych z liceum w Ciechanowie wybrała studia w stolicy. Ja nawet przez moment nie rozważałem takiej opcji.

Jak się okazało, z wiekiem moje nastawienie do wątpliwych atrakcji Warszawy nie zmieniło się ani trochę. Chociaż klnę z rzadka, bluzgałem jak szewc, próbując przez dwadzieścia minut znaleźć miejsce parkingowe, za które musiałem zapłacić jak za zboże. Dużo zboża.

Byłem umówiony z Molendą w restauracji Bordo przy ulicy Chmielnej. Mimo że było południe, w środku było tłoczno. Kiedy ci ludzie zarabiają na te mityczne warszawskie czynsze? Wcześniej pooglądałem sobie konto studenta na Facebooku, więc bez trudu go odnalazłem. Siedział przy stoliku przy oknie ze smartfonem w ręku i bardzo szybko pisał kciukami wiadomość. Fascynowała mnie ta umiejętność, której nigdy nie posiadę.

Przywitałem się i dosiadłem. U kręcącej się przy sąsiednim stoliku kelnerki zamówiłem kawę. Przed studentem stała wysoka szklana pełna gęstej cieczy o niezbyt zachęcającym, zgnięzielonym kolorze. Zapewne był to napój niezwykle zdrowy, choć zapewne paskudny w smaku. Nie znałem się na nowych trendach zdrowego żywienia, tych wszystkich vege czy slow food modach, ale szanowałem wyznawców nowych religii bycia i jedzenia. O ile nie próbowali mnie nawracać na swoją wiarę.

Zdjęcia Molendy na fejsie były podrasowane, ale i na żywo nie wyglądał źle. Szczupły brunet, zadbany, w typie metroseksualnym – czy jak to się tam teraz zwie. Pewnie podobał się kobietom. Czyżby faktycznie był naganiaczem kobiet?

– I co z tą Tatianą? – spytał z miejsca.

– Wciąż jej nie ma.

– Nie mam pojęcia, co się stało.

Przyglądałem mu się uważnie, ale ani mowa ciała, ani głos nie zdradzały, by łgał.

– I jest mi bardzo przykro – dodał.

– Bo?

– Polubiłem Tatianę.

– W jakim sensie?

Uśmiechnął się pod nosem i wyjaśnił:

– Nie w takim, w jakim pan myśli.

– Mów mi Konrad – zaproponowałem, uznając, że skrócenie dystansu w tej rozmowie wyjdzie mi na dobre.

– Tak po prostu polubiłem. Chciałem, żeby w życiu miała lepiej. I dlatego zaproponowałem jej tę robotę w Warszawie.

Upiłem łyk kawy. Nie była warta swojej ceny. Takie to warszawskie atrakcje.

– Dobrze, Tomku, zacznij od samego początku, bo w sprawach zaginięć każdy szczegół może okazać się istotny. Jak poznałeś Tatianę?

– Przypadkowo, w kawiarni. Byłem tam z kumplem, ona z koleżanką. Kolega do nich zagadał i tak to się zaczęło.

– Często poznajesz kobiety w kawiarniach czy knajpach?

– O co ci chodzi?

– Tak z ciekawości pytam.

– Taki trochę oldskulowy jestem i wolę poznawać kobiety na żywo, a nie w necie.

Ciekawe, czy mówił prawdę. Z drugiej strony, była grupa młodych ludzi, którzy lubili różnego rodzaju atrakcje vintage – stare ciuchy, płyty czy meble. Takie rzeczy.

– Często się spotykaliście?

– Ze trzy, cztery razy poszliśmy na piwo. Trochę mi o sobie poopowiadała, że jej rodzinie jest ciężko. Pomyślałem, że nakręcę jej robotę.

– A wiedziałeś, że ma narzeczonego w Polsce?

Brwi Tomasza podjechały do góry.

– Aż tak mi się nie zwierzała.

– Dobra, mniejsza o większość. A co to w ogóle za robota i skąd o niej wiedziałeś?

– Znajomy mojego wujka, kiedy się dowiedział, że studiuje we Lwowie, poprosił mnie, żebym mu podsyłał Ukraińców chętnych do pracy w gastronomii. Najlepiej Ukrainki. Mówił, że trudno mu o pracowników, bo Polacy do pracy w knajpach się nie garną. A przy tym obiecał mi odpalać jakieś pieniądze, więc... Nie był to dla mnie jakiś problem, więc jak ktoś się nawinał, proponowałem mu pracę.

Polacy do pracy w knajpach się nie garną... Tak, szlachta nie pracuje, a już na pewno w branżach, w których trzeba komuś usługiwać. Nie raz, nie dwa trafiałem na kelnerki czy kelnerów, którzy całymi sobą dawali odczuć, że ta praca jest poniżej ich ambicji i godności.

– Jak nazywa się ten knajpiarz?

– Tadeusz Żukowski.

– Daj mi jego numer.

– Ale po co?

– W poszukiwaniach sprawdza się różne wątki. Może on coś wie. Postukał w ekran telefonu i podyktował mi numer.

– Dobra, zaproponowałeś Tatianie pracę i co dalej?

– Przez jakiś czas się zastanawiała, czy jechać do Polski, ale w końcu się zdecydowała. Umówiłem transport i odstawiłem ją na przejście w Medyce.

– Ty? A po co?

– Akurat miałem czas.

– Czyli ostatni raz widziałeś Tatianę w Medyce?

– Dokładnie. Pożegnaliśmy się i przekazałem ją Maksymowi.

– Kim jest Maksym?

– Ukraińiec. W Sosnowcu jakieś biznesy kręci. Maksym Szewczuk.

Na dźwięk nazwy tego miasta rozdzwoniły mi się w głowie ostrzegawcze dzwoneczki.

– I co ten Maksym miał zrobić?

– Odstawić Tatianę do Warszawy.

– Sama nie mogła pojechać?

– Ukraińcy za pierwszym razem czasami się gubią w naszym transporcie. Żukowski uznał, że wygodniej i sprawniej będzie ich przywozić na miejsce.

– Opiekuńczy facet – powiedziałem z przekąsem.

– A fakt, spoko gość.

– Do Maksyma też daj mi namiary.

– Zaraz, zaraz, może od razu do niego dryndnę. Mam dwa numery, na komórkę i do jego biura.

– Proszę cię bardzo.

Wybrał pierwszy numer.

– Jeden ma wyłączony.

Wybrał następny. Znowu chwila milczenia.

– Nikt nie odbiera.

Przedyktował mi numery Ukraińca. Zaczęło mi w tej historii coś nie pasować. Oksana mówiła, że Tatiana po przyjeździe do Polski miała do niej przyjechać na dzień czy dwa. Skąd więc nagle pojawił się ten cały Maksym? I jaką właściwie odgrywał rolę? Czy Tatiana, umawiając się z Oksaną, wiedziała, że na granicy przejmie ją rodak? A jeśli nie, czemu potem nie powiadomiła koleżanki o zmianie planów? Same niewiadome. Koniecznie musiałem rozmówić się z Szewczukiem.

Molenda zerknął na smartfon, popukał w ekran kciukami.

– Wiesz, muszę się już zwijać. Chyba ci za bardzo nie pomogłem.

– Może jeszcze coś przychodzi ci do głowy. Jakiś drobiazg, coś, o czym Tatiana mówiła w podróży do Medyki?

Zagłębił palce w starannie ułożonej fryzurze.

– Nie, chyba nic takiego. I dopóki do mnie nie zadzwoniłeś, w ogóle nie byłem zorientowany, że coś się z nią stało.

Po prostu kraina niezorientowanych mężczyzn. Niby-narzeczony nic nie wiedział, studencina ze Lwowa też nic nie wie.

Molenda wstał, ja również.

– Daj mi znać, kiedy Tatiana się znajdzie, dobrze?

Skinąłem głową. Optymizm Tomasza przemawiał za tym, że chyba nie miał pojęcia o niebezpiecznych akcjach, w których uczestniczył. Pytanie tylko, czy świadomie, czy nie.

Zanim odszedł, spytałem:

– Wiesz, ciekawi mnie, czemu wybrałeś studia akurat we Lwowie.

– Tak sobie wykombinowałem, że u nas jest dużo Ukraińców, a będzie pewnie więcej. Chciałem dobrze poznać ukraiński i w ogóle ich kraj, żeby potem kręcić z nimi różne biznesy.

Byle legalne, chłopcze, byle legalne, pomyślałem.

W pierwszej chwili chciałem od razu nagrać spotkanie z Żukowskim, skoro już byłem w Warszawie, ale uznałem, że to kiepski pomysł. Prawie nic o nim nie wiedziałem, a żeby rozpytanie miało sens, powinienem dowiedzieć się, kto zacz. Zebrać jak najwięcej informacji. Typ wydawał mi się z lekka podejrzany. Bo który karczmarz, choćby miał nawet kilka restauracji, na własną rękę szuka sobie pracowników w Ukrainie? Nie za bardzo znałem realia rynku pracy dla obcokrajowców, jednak wydawało mi się, że wystarczyłoby, żeby Żukowski dał ogłoszenie w gazecie czy internecie, a miałyby mnóstwo chętnych do roboty. I te dziwne transfery z granicy do Warszawy. Przecież to wszystko koszty, i to niemałe. Coś mi w tym wszystkim śmierdziało.

Z ulgą opuściłem stolicę i ruszyłem do Ciechanowa. Cieszyłem się na spotkanie z Felicją jak dzieciak z prezentu gwiazdkowego.

Moja starowinka mieszkała w domu przy ulicy Płońskiej, jednej z główniejszych w mieście, w domu, w którym spędziłem parę ładnych lat jako dzieciak i nastolatek. I do którego chętnie wracałem, kiedy tylko mogłem. Zaparkowałem auto na chodniku, nie nazbyt przepisowo. Pchnąłem furtkę, która, jakżeby inaczej, nie była zamknięta. W żaden ludzki sposób nie mogłem namówić Felicji do większej ostrożności. Nie

przyjmowała mojego argumentu, że ludzie są raczej źli niż dobrzy. Nieodmiennie bagatelizowała zagrożenia, twierdząc, że u niej nie ma czego kraść. „Przecież książek żaden złodziej mi nie zabierze, kwitowała z uśmiechem.

Furtka była otwarta, ale drzwi do domu zamknięte. Poczujęm niepokój. Zajrzałem na tyły domu, gdzie znajdowały się spory ogród oraz garaż z komórką. Przypomniało mi się, jak przy okazji sprawy samobójstw nastolatek, którą prowadziłem jeszcze jako ciechanowski glina, jeden zbój wyrznął króliki, które moja starowinka tam hodowała. Wzdrygnąłem się na to wspomnienie. Nikogo. Zaklinałem w myślach, by Felicja poszła do kogoś na pogaduszki, jak to miała w zwyczaju. Żeby nie chodziło o szpitalne kłopoty. Zdawałem sobie sprawę, że moja starowinka czasami nie mówiła mi prawdy na temat stanu swojego zdrowia. Obszedłem dom i spod donicy z kwiatami wyciągnąłem zapasowy klucz. Wszedłem, od progu pachniało obiadem. Odetchnąłem z ulgą. Na kuchence stała patelnia z trzema kotletami mielonymi, jeszcze ciepława, czyli Felicja zjadła obiad i pomaszerowała w gości. Albo na spotkanie Geriatrycznego Klubu Rozrywki, jak z przekąsem nazywałem grupę z klubu seniora, w którym się udzielała.

Zadzwoiłem do Felicji z radosną nowiną, że oto wnuk marnotrawny powrócił na łono i w ogóle.

– Ja ci dam łono, mały zbój – skomentowała ze śmiechem. – Pędzę w podskokach.

Naprawdę, chciałbym to zobaczyć.

Siedzieliśmy w ogrodzie. Kończyłem jeść mielone z podsmażanymi ziemniakami i mizerią. Klasyka rocka. Felicja nie pożałowała czosnku do kotletów. To lubiłem. W ogóle lubiliśmy wiele takich samych rzeczy – książki, jazz, przekomarzanie się. I papierosy. Moja starowinka sięgnęła po leżącą na stoliku paczkę fajek.

– I bez komentarzy, chłopczyku – zaznaczyła, zanim zdążyłem otworzyć usta.

Tylko westchnąłem. Felicja miała słabe płuca i lekarz zakazał jej palić. Zinterpretowała zalecenie po swojemu i ćmiła o połowę mniej niż kiedyś. Dobre i tyle. Zdawałem sobie sprawę, że nie mam szans, żeby na nią wpłynąć, namówić do rzucenia papierosów. Zresztą, przyganiał kocioł garnkowi.

Zapaliliśmy.

- Dziękuję za obiad.
- Lubię cię karmić, tylko ostatnio mam mało okazji.
- Ale bigosu dla mnie nie masz – powiedziałem z uśmiechem.
- Jakbyś się zapowiedział, coś by się zaradziło.
- Chciałem ci zrobić niespodziankę.
- Od zawsze jesteś dla mnie największą i najwspanialszą niespodzianką życia.

Odwróciłem głowę. Nie chciałem, żeby widziała moje zwilgotniałe oczy. Nie chciałem się rozkleić, nie dzisiaj.

Przez chwilę paliliśmy w milczeniu. Przyglądałem się mojej starowince. Wyglądała krucho, z latami robiła się coraz chudsza. Ale chyba nie była w najgorszej formie jak na jej wiek i stan zdrowia. Zgasiliśmy pety w kostce luksferu, która od zawsze robiła u babki za popielniczkę.

- Może bym ci sprezentował jakąś inną – zaproponowałem.
- Prezent i owszem, przyjmę, ale o co ci chodzi? Widzę, chłopczyku, że z wiekiem i przez tę twoją marną pracę zupełnie siadła ci precyzja wypowiedzi.

Roześmiałem się szczerze.

- Pewnie masz rację. Kupię ci nową popielniczkę.
- A co z moją jest nie tak? – zdziwiła się, gładząc smukłym palcem szczerbę na luksferze.
- Stara jest już.
- Jako i ja.
- Felicja, przestań, proszę cię. Znajoma z Kazimierza robi takie różne ceramiczne cudeńka, więc...
- Znajoma, powiadasz...

Pokręciłem głową. Moja starowinka od zawsze chciała, żebym wreszcie znalazł sobie kogoś na stałe. Żebym spotkał kogoś, z kim będę przez lata. Najlepiej długie. Żebym zwyczajnie był szczęśliwy. I na pewno chciała dobrze, ale od jakiegoś czasu kiepsko znosiłem wszelkie rozmowy o kobietach. Tym bardziej że praktycznie nie było ich w moim życiu. Fakt, nagle i niespodziewanie pojawiła się Wiera. Nie zamierzałem jednak opowiadać o niej Felicji. Zresztą, na razie nie było o czym.

- Czemu tak zamilkłeś? Pewnie jesteś w tym Krakowie sam jak palec, bo po tej historii z Pauliną...
- To stara i dawno przepracowana historia.
- Nie jestem tego taka pewna.

– Kawy zrobię, dobrze? – nie nazbyt delikatnie zmieniłem temat.
Tylko skinęła głową.

Zaparzyłem babce sypanego szatana w szklance. Lata temu kupiłem jej ekspres, ale nie wiem, czy choćby raz go użyła. Sobie zrobiłem rozpuszczalną. Kiedy wróciłem do ogrodu, Felicja delektowała się kolejnym papierosem, puszczając zgrabne kółka z dymu.

– A jak ci w ogóle jest w Krakowie?

– Radzę sobie, mam co robić, mam kasę.

– I pasuje ci praca detektywa?

Wiedziałem, do czego zmierzała. Co jakiś czas zły los rozwalał mi życie. Albo rozwalałem je sobie sam. To drugie zdarzało się zdecydowanie częściej. A potem z wielkim mozołem je odbudowywałem. Felicja chciała dla mnie stabilności. Przyznaję, że czas na to był najwyższy.

– Naprawdę, Felicja, wszystko jest w porządku.

– Tylko wiesz, oglądanie tych wszystkich brudów, zrad... Mało przyjemne...

– Nie zajmuję się tylko i wyłącznie rozwódkami. Teraz na przykład szukam zaginionej kobiety.

Opowiedziałem Felicji pokrótce o sprawie Tatiany.

– Ale proszę, chłopczyku, ty mi się z tymi Ukrainkami za bardzo nie spoufalaj.

Czyżby swoim szóstym zmysłem moja starowinka wyczuła, że pozostaję od kilku dni w stanie zauroczenia? Całkiem możliwe.

– Widzę, że z wiekiem zrobiła się z ciebie ksenofobka.

– Żadna ksenofobka, jedynie babka, która martwi się o wnuka. Zawróci ci taka w głowie, a później wróci na Ukrainę. A ty będziesz cierpieć.

– Najwyżej za nią pojedę – obróciłem sprawę w żart.

– Ale...

– Zostawmy ten temat.

Położyłem dłoń na jej delikatnej dłoni i pogładziłem palce.

– Jeśli tego chcesz... – rzuciła. – Nie chcesz rozmawiać o kobietach, ale pewnie chciałbyś kawałek sernika z brzoskwiniami. Zuzka piekła.

– Ciasto Zuzanny zawsze przyjmę z wdzięcznością.

Felicja przyniosła solidny kawałek. Delektowałem się smakiem delikatnego, puszystego ciasta. Nikt w Ciechanowie nie piekł tak, jak Zuzanna. A może nawet w całym kraju.

Zauważyłem, że moja starowinka popatruje na mnie uważnie i z lekkim napięciem. Znałem to spojrzenie – troskała się.

– Felicja, miejmy to już z głowy, pytaj.

– Wiesz, chłopczyku, nie są to łatwe sprawy. Mam nadzieję, że nie uganasz się już za duchami z pamiętnika matki, nie szukasz winnych. Zemsta zwykle niszczy tego, kto się mści.

– Od ponad półtora roku nie zajmuję się tematem.

Westchnęła z ulgą.

– I bardzo dobrze, chłopczyku. Skup się na tym, co tu i teraz.

– Dotarłem do ściany, czyli Waldemara Zatorskiego.

– Kto to taki?

– Zdemenciały ubek. Może jego nazwisko obilo ci się o uszy?

– Konrad, to było ponad trzydzieści lat temu.

– Ale ty masz pamięć jak mało kto. Na pewną lepszą od mojej.

Pacnęła mnie pieszczotliwie w kolano.

– Nie podlizuj się. A co do Zatorskiego, Jagoda nigdy za wiele mi nie opowiadała o tych ich opozycyjnych sprawach. A twój ojciec to już w ogóle. Pytałeś mnie już kilka razy, ale ja naprawdę nie mam pojęcia, kto za nimi łąził i jak mocno uprzykrzał im życie.

– Na koniec naszej dziwnej rozmowy Zatorski rzucił, żebym szukał róż. Masz może pomysł, co mogłoby to znaczyć?

– Nie wyjaśnił?

– Ano nie, bo odpłynął.

– Ubecy wtedy nadawali tajnym współpracownikom różne dziwne pseudonimy. Może o to chodzi.

– Albo zwyczajnie bredził.

– I tego się trzymaj. Proszę, chłopczyku, nie wracaj do tej sprawy. Nie dotrzesz do prawdy, a jedynie się nacierpisz.

Kiwnąłem głową. Miała rację. Jak zwykle. Półtora roku temu doszedłem do takiego samego wniosku.

Babka zarządziła sjęstę po obiedzie. Uznałem, że pomysł jest genialny. Na gramofonie nastawiła płytę Kind of Blue Milesa Davisa. Zalegliśmy na kanapie. Delikatne dźwięki trąbki Mistrza koily mnie i lekko usypiały. Czułem spokój i błogość, jakich nie doświadczałem od dawna.

I wtedy zabręczczała moja komórka leżąca na ławie. Zanim zdążyłem wygrzebać się z głębokiej kanapy, Felicja nachyliła się, zerknęła na ekran, cmoknęła i rzuciła lekkim tonem:

– No tak, Wiera...

I rozdzwoniły się telefony.

Tak, oczywiście, zdawałem sobie sprawę, że jest środa. I, oczywiście, nie pamiętałem o obietnicy złożonej Lewandowskiemu. Zrugnął mnie jak burą sukę, że nie dostarczyłem mu ani abdukcji, ani nie zgłosiłem pobicia, ani nawet nie raczyłem przekazać mu informacji na temat Tadeusza Kozaka, tajemniczego biznesmena, którego od jakiegoś czasu szukałem. W duchu zdziwiłem się, że tyle Lewandowskiemu naobiecowałem. Bardzo nieroztropnie. Prawdę powiedziawszy, trochę oszukiwałem samego siebie, że zapomniałem o sprawie. Najprawdopodobniej podświadomie nie chciałem przekazać jej kumplowi z policji, więc nie zrobiłem niczego, o co prosił, i... wiem, wiem, co mu obiecałem. Kiedy mu obiecywałem, byłem pewien, że obietnicy dotrzymam. Naprawdę.

– I taki ze mnie kumpel – powiedziałem na głos po tym, kiedy Lewandowski rzucił ostatnimi „kurwami jebanymi” i zapowiedział, że wykasowuje mój numer z telefonu i nie chce mnie już nigdy widzieć na oczy, a potem się rozłączył.

Później wróciłem myślą do wcześniejszej, dużo przyjemniejszej rozmowy z... Wierą. Odebrałem od niej telefon, zarejestrowałem, jak Felicja wymownie przewraca oczami, i wyszedłem do ogrodu, by w spokoju porozmawiać. Wiera nieodmiennie była w wybornym humorze. Kiedy zdradziłem jej, że jestem w Ciechanowie u babci, skomentowała, że nie miała pojęcia, że ze mnie taki babcynsynek. Określenie nie było dla mnie przesadnie jasne. Zapowiedziała, że wróci do Krakowa jutro około południa, o ile jej coś nie wypadnie, i chciałaby się ze mną jak najszybciej spotkać, żeby przekazać mi pamiętnik Tatiany. Poczuję dziwną błogość. Jak nie ja. Odparłem, że stawię się, gdzie i kiedy tylko zechce. Skończyła rozmowę, mówiąc, że mój entuzjazm jest co najmniej podejrzany. Entuzjazm? Od wielu lat żyłem w przekonaniu, że nigdy nie będę się entuzjazmował. Nikim i niczym.

W końcu zadzwonił do mnie Leszek Koziej. Przechodząca obok mnie babka Felicja skomentowała, że czuje się jak na poczcie w czasach PRL-u, kiedy czekało się w kolejce do telefonu. Uśmiechnąłem się szeroko.

Leszek był technikiem w powiatowej komendzie policji, w której i ja pracowałem swego czasu i z którą pożegnałem się bez żalu. Właściwie jedynie z nim się tam przyjaźniłem, choć czasami w bardzo szorstki sposób. Nie miałem pojęcia, za co mnie wtedy lubił, bo bywałem

naprawdę wrednym sukinsynem. Teraz już nie, a przynajmniej chciałem wierzyć, że tak jest. Zaczął od naigrywania się ze mnie, że nie dbam o starych kumpli, jestem w Ciechanowie i nawet się nie zamelduję. Zdziwiłem się szczerze, skąd o tym wie. Podśmiewał się, że moje auto wciąż jest w tym mieście dobrze znane. Jasne, Wielki Prowincjonalny Brat czuwa. Umówiliśmy się na wieczorne piwo.

Zmierzchało, ale od wyłożonego płytami Rynku, który swego czasu przemianowano na Plac Papieża-Męczennika-Polaka, wciąż buchało żarem. Bo i tutaj dotarła zaraza betonozy. Wyrżnięto stare drzewa, zlikwidowano skwer z fontanną i wszystko elegancko wyłożono kamiennymi płytami i kostką. Jest schludnie i bez sensu – jak to u nas. Ale mniejsza o plac i betonozę, bo ogródek piwny obok browaru był całkiem przyjemny, więc tam zasiedliśmy z Koziejem.

Z Leszkiem nie widziałem się dawno, nie potrafiłem zliczyć jak długo, jednak od czasu do czasu rozmawialiśmy przez telefon. Zapraszałem go kilka razy do Krakowa, ale był bardzo przywiązany do rodziny, sam nie chciał się ruszyć z Ciechanowa, a jego żona i dziatki jakoś się nie palili do poznawania rozlicznych atrakcji magicznego Krakowa. Po rytualnym stuknięciu się kuflami i pierwszej fajce zaczęliśmy streszczać, co któremu z nas ostatnio się przydarzyło. W sumie nie zajęło nam to wiele czasu. Czyżbyśmy obaj prowadzili aż tak mało interesujące, pozbawione większych emocji życie? Niewykluczone.

– Ale powiedz mi, tak szczerze, tobie naprawdę pasuje ta robota detektywa?

Koziej zawsze lubił drążyć. Żeby go zadowolić, zwykle trzeba było odpowiedzieć dwa razy na to samo pytanie. Przynajmniej.

– A ty jesteś zadowolony z tego, że zbierasz paluchy albo szukasz śladów, które mogą się na coś przydać, ale wcale nie muszą? Lubisz całą tę kryminalistyczną grzebaninę?

– Lubię, nie lubię, zwyczajnie robię swoje.

– Ja tak samo. Nie dręczy mnie moja robota ani też zbytnio nie podnieca.

– Życie... – Leszek skomentował filozoficznie i zapalił.

Odkąd go znałem, palił więcej niż ja. I to się z latami wcale nie zmieniało.

– Praca detektywa ma jednak swoje plusy.

– Niby jakie, Konrad, oświeć mnie.

– Raczej nie zabraknie mi klientów.
– Chyba się jednak kolega nieco przecenia.
– Nie bardzo. Czasami myślę sobie, że jestem trochę jak gość z branży pogrzebowej. Tak jak ludzie będą umierali, tak też zawsze będą się rozwodzili.

Leszek, który właśnie brał łyk piwa, parsknął śmiechem tak, że prawie mnie opluł.

– W tym Krakowie dowcip ci się jeszcze wyostrzył.
– Może nawdychałem się za dużo smogu... A na poważnie, od czasu do czasu trafia mi się jakiś inny, ciekawszy kejs.

Opowiedziałem mu o zaginionej Tatianie i dwóch przyjaciółkach, które chcą ją odszukać. Nie wspomniałem, że z jedną z nich bardzo chciałbym się zaprzyjaźnić. I nie tylko. Od czasu, kiedy Leszek niemal obraził się na mnie za związek z dużo młodszą Pauliną, nie rozmawialiśmy o moich paniach. Tak było lepiej i dla niego, i dla mnie.

Koziej odpalił nowego papierosa od niedopałka, którego wbił w popielniczkę. I mówił z krzywą miną:

– Chciałem ci tylko przypomnieć, że ostatnio śledztwa w sprawie kobiet kończyły się dla ciebie fatalnie. Po sprawie samobójstw nastolatek wyleciałeś ze służby – odgiął jeden palec. – Po sprawie tej turystki zabitej w Grecji trafiłeś do greckiego więzienia – odgiął drugi palec.

– Naginasz fakty. W greckiej sprawie było jeszcze dwóch zamordowanych facetów.

– Ty w ogóle masz ciągle jakieś problemy z kobietami i przez kobiety.

Leszek, przykładowy mąż i ojciec, od dawna ubolewał nad tym, że moje życie emocjonalne i uczuciowe to jeden wielki chaos.

– W tym przypadku nie przewiduję żadnych problemów. Najprawdopodobniej nie odnajdę Tatiany i nie dostanę kasy. Koniec tematu.

– To po cholere w ogóle brałeś tę sprawę?

– Bo ktoś musiał.

– Ale żeś się zrobił szlachetny na stare lata. No naprawdę, Konrad Rowicki, ostatni sprawiedliwy w powiecie.

– Próbuję zapracować na przepustkę do raju.

W naszych kuflach pokazały się dna, więc zarządziłem następną kolejkę. Koziej, jak miał w zwyczaju, marudził, że nie, bo musi do domu, bo żona, bo jutro rano do roboty. Zignorowałem go.

– A jeśli chodzi o szlachetność – zacząłem ostrożnie – mam do ciebie prośbę.

Leszek wbił we mnie wzrok.

– Proszę, co za niespodzianka. A już myślałem, naiwny, że spotykasz się ze starym kumpłem tylko po to, by napić się piwa i pogadać.

– Bo tak jest. Przy barze dopiero wpadłem na pomysł, że możesz mi pomóc. Zresztą, kiedy ja cię ostatni raz prosiłem o przysługę? Ze dwa lata już będzie.

– Dobra, tłumaczą się winni – poklepał mnie po ramieniu. – Byleby nie było to coś nielegalnego.

– Wrzuc mi tego Tadeusza Żukowskiego na bęben. Może coś wyskoczy.

– Z tego, co opowiedziałeś, wynika, że ten restaurator pewnie kręci jakieś krzywe wałki, ale to nie znaczy, że był notowany.

– Po prostu sprawdź to dla mnie. Możesz?

– Tyle mogę.

Przybiliśmy piątki.

Leszkowi wyraźnie spieszyło się do domu, więc szybko dopiliśmy piwo i każdy ruszył w swoją stronę. Po chwili przystanąłem i obejrzałem się na niego. Szedł lekko zgarbiony, z nieodłącznym papierosem między palcami. Czy faktycznie miałem problemy z kobietami, jak stwierdził Koziej, mój jedyny kumpel? Pewnie takie same jak z mężczyznami. Może w ogóle miałem problemy z ludźmi.

Swoją drogą, niby szukałem kumpli, ale zawsze znajdowałem kolejne kobiety. Taka karma.

Kiedy wróciłem ze spotkania z Koziejem, babka Felicja drzemała w fotelu przed nastawionym cicho telewizorem. Poszedłem do swojego dawnego pokoju przygotować sobie łóżko. I wtedy podkusiło mnie, żeby wykonać telefon do Maksyma. Jasne, było późno, ale czasami takie telefony o nieoczywistych porach przynosiły zaskakująco ciekawe efekty. Rozmówcy w takich sytuacjach bywali nieco wytrąceni z równowagi, poirytowani i czasami mówili więcej, niż chcieli.

Prywatnej komórki Maksym nie odebrał. Bez większych nadziei wybrałem numer biurowy. Wysłuchałem kilkunastu sygnałów i już miałem się rozłączyć, kiedy po drugiej stronie usłyszałem głos kobiety. Ktoś jest w biurze o tak późnej porze?, pomyślałem. Co najmniej dziwne. Brzmiała na starszą i mówiła z wyraźnym ukraińskim akcentem. Przedstawiłem się, nakłamałem, że jestem znajomym Maksyma

i chciałbym z nim porozmawiać. Kobieta coś burknęła, a potem zapadła cisza.

– Halo? – rzuciłem.

– Maksyma nie ma.

– A kiedy będzie? Bo mogę zadzwonić później.

– Mówiłam, Maksyma nie ma i nie wiadomo kiedy będzie.

– Jak mam to rozumieć?

– Nie widziałam go od wielu dni – w głosie kobiety słyhać było narastającą irytację. – Maksym gdzieś się zgubił – dodała i się rozłączyła.

Ciekawostka. Tatiana zaginęła. Maksym się zgubił. Raczej nie był to przypadek.

Zeszyt w płóciennej okładce III

Rok 1981

Prawdziwie moim miastem jest Kraków, wcale nie rodzinny Ciechanów. Wiedziałam o tym od momentu, kiedy zaczęłam studia w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Krakowie. I ta prawda dociera do mnie z wielką mocą za każdym razem, kiedy po dłuższej nieobecności wracam do Krakowa. Tak jak teraz, w połowie lipca.

Konradek został u kolegi z naszej kamienicy przy ulicy Dietla. Dawno się nie widzieli z Jackiem, więc teraz ciągle spędzają czas razem, nadrabiają zaległości. Tym bardziej że są wakacje, mają swobodę. Halina, matka Jacka, traktuje mojego synka jak swojego, więc mogę bez lęku zostawić Konradka pod jej opieką. A sama poszłam na długi spacer po mieście. Przywitać się z nim.

Z moim miastem.

Było ciepło, ale nie upalnie. Niewielkie chmury snuły się po niebie. Przytłumione światło dobrze komponowało się z trochę przybrudzonym, trochę przykurzonym miastem. Wciąż w przestrzeni dominowały szarości, wciąż niektórzy ludzie byli szarymi cieniami na rozmytym tle. Ale wśród przechodniów zauważałam jakby trochę więcej osób uśmiechniętych.

Może coś z tego święta Solidarności urodzi się dobrego. Może wreszcie w tym upodlonym kraju coś zmieni się na lepsze. Choćby odrobinę. Potrzebuję odetchnąć, cały ten kraj potrzebuje odetchnąć pełną piersią.

Powoli spacerowałam Plantami, zastanawiając się, jak na nowo poukłada nam się życie w Krakowie. Niby to żadna wielka zmiana, bo z powrotem wskoczyliśmy w dobrze wyrobione krakowskie koleiny. Ponownie zapisałam Konradka do jedenastki, podstawówki przy Miodowej. Nawet udało mi się umieścić go w tej samej klasie, w której był wcześniej. Synek się ucieszył, że spotka kolegów. Wróciłam do liceum na Kazimierzu, w którym wcześniej pracowałam. Niby jest więc tak samo jak wcześniej, przed wyjazdem do matki, ale jednak nie do końca.

W Krakowie nie ma teraz z nami Włodka. I nie jestem pewna, czy kiedykolwiek na dobre z nami będzie. Czy wrócimy do zwykłej,

normalnej, rodzinnej codzienności. Tym bardziej że już chyba bardzo wsiąkł w warszawskie sprawy i zajęcia. Przynajmniej odnoszę takie wrażenie. Miał przyjechać do Krakowa na kilka dni, żeby pomóc nam na nowo zorganizować i rozkręcić krakowskie życie. Gruntownie posprzątać mieszkanie, które przez kilka miesięcy stało puste. Odmalować duży pokój, którego ściany od dymu papierosowego przybrały szarobrązowy odcień. A może wreszcie wyremontować łazienkę.

Kiedy leżę w wannie i widzę olejną lamperię w zgniłozielonym kolorze, czuję dojmujący smutek. Brzydota boli mnie niemal fizycznie. Tak bardzo chciałabym, żeby mnie i synka otaczały ładne rzeczy, przestrzenie. Żeby to, co widzimy na co dzień, pieściło nasz wzrok. Dawało nam wiele przyjemnych doznań. To naprawdę pomaga lepiej żyć, lepiej się czuć. A nie da się upiększyć przestrzeni wokoło jedynie własną ręką. Kolejna kolorowa narzuta uszyta ze skrawków materiałów, następny sweter udziergany z włóczki sprutej ze starych ubrań... Zapalona świeczka, kompozycja z suszonych kwiatów... Tak właśnie próbuję radzić sobie z zagarniającą mnie szarością... Chociaż Włodek tego nie rozumie, zwykle komentuje, że tracę czas i energię na pierdoły. Ale dla mnie te drobiazgi są ważne, pomagają mi znosić trudy życia... Choć są to tylko i wyłącznie próby. Sama jedna nie rozświetlę świata, nie sprawię, że stanie się tak przytulny i wygodny, aby chciało się w nim umościć.

Świat powinien być tak miękki jak rękawiczka, która delikatnie i czule otula dłoni.

Wracając do remontu łazienki... Włodek obiecywał, że załatwi glazurę, bo znajomy znajomego ma dojścia. I że potem sam położy, bo co to dla niego. Ucieszyłam się. Jednak temat szybko umarł, a kiedy próbowałam go dopytywać, co z obiecaną glazurą, tylko się irytował, że zawracam mu głowę głupotami. Naprawdę, uważa złożoną mi obietnicę za głupotę? Włodka chyba już nie obchodzi, czy jest mi dobrze, czy źle. Chyba... Wciąż się łudzę, że jest zwyczajnie zapracowany. Że jeszcze przyjdzie czas, kiedy będzie więcej myślał o mnie. Oby.

Z jakiegokolwiek remontu łazienki, choćby i bez glazury, i tak nic nie wyszło. Mąż nie przyjechał do mnie, bo znowu wyskoczyła mu kolejna pilna sprawa, którą z miejsca musiał się zająć. Tyle dobrego, że chociaż raczył zadzwonić i uprzedzić mnie, że go nie będzie. „No mówię ci, kochana, istny pożar w burdelu”, powiedział. Czy mówił „kochana” jedynie z przyzwyczajania, czy mimo wszystko wciąż mnie kochał?

Kolejna bezsenna noc. Niemal bez snu, bo obudziłam się grubo przed świtem. Cała spocona. Było mi duszno, otworzyłam okno. W ciszy wciąż jeszcze usłonego miasta śpiew ptaków ukrytych w starych drzewach rosnących na Plantach Dietlowskich brzmiał wyraźnie i... pięknie. Istniała orkiestra dająca koncert, kiedy tylko słońce zaczynało wychylać się zza horyzontu. Zapaliłam carmena, zaśluchałam się. Przez chwilę było mi najzwyczajniej w świecie dobrze.

Tylko przez chwilę.

W głowie wystartowała gonitwa myśli. Ostatnio coraz częściej zastanawiałam się, czy jeszcze Włodka potrzebuję. Czy tak naprawdę na niego czekam. Może tęsknota, to poczucie braku są nawykowe? Bardzo mocno tęskniłam na początku, kiedy przez swoją działalność Włodek miał coraz mniej czasu dla mnie. I dla swojego syna. Naszego. A może potem jedynie wydawało mi się, że tęsknię? Przywykłam?

Jak to w ogóle się zaczęło? Co sprawiło, że niepostrzeżenie oddaliliśmy się z Włodkiem? Nie tylko w przestrzeni.

Wiosną 1977 roku zaczęliśmy współpracować z krakowskimi strukturami Komitetu Obrony Robotników. Oboje. Uznaliśmy, że tak trzeba, że nie ma innej drogi. Że nie można bezczynnie patrzeć, jak władza z nazwy ludowa swój lud gnębi i tępi. Na miarę naszych możliwości staraliśmy się pomagać opozycyjnej organizacji. Pamiętam z tamtych czasów spotkania u nas w domu. Nasz duży pokój pełen brodatych mężczyzn w powyciąganych swetrach i kobiet w zbyt długich spódnicach. Papierosowy dym niczym niedotykalna zasłona. I ciągnące się długo w noc dyskusje. Przy wódce albo bez niej. O reformowaniu socjalizmu i o tym, że zreformować się go już nie da. O wizjach nowej Polski, jeśli kiedykolwiek nowa Polska nastanie. O wolności – tej abstrakcyjnej i tej namacalnej. I o wielu innych sprawach. Dla mnie te spotkania były wtedy taką właśnie namiastką wolności.

Sytuacja zmieniła się po pierwszej rewizji ubeków. Specjalnie wiele nie mówili, specjalnie o wiele nie pytali. Wywrócili całe mieszkanie do góry nogami, nie zważając na płacz przerażonego Konradka. Zabrali Włodka i zostawili mnie z synkiem, którego nie byłam w stanie uspokoić. Włodek mówił później, że chodziło im tylko i wyłącznie o to, by nas zastraszyć. Udało im się.

Wspólnie z mężem podjęliśmy decyzję, że wycofam się z wszelkiej działalności opozycyjnej. Dla dobra Konradka. Nie chcieliśmy ryzykować,

że oboje nas wsadzą do więzienia, a synek zostanie sam. Oczywiście, nie sam, bo była przecież moja matka Felicja. Ale sam, bez rodziców.

Wydawało mi się wtedy, że jest to decyzja najlepsza z możliwych. Wciąż tak myślę. Nie przewidziałam jednak skutków ubocznych owej decyzji. Włodek nie organizował już spotkań opozycjonistów u nas w domu, dlatego często znikał na całe wieczory, a nawet noce. Tłumaczył, że tak musi być i tak będzie lepiej, bezpieczniej dla mnie i syna. Nawet nie zdradzał, gdzie i z kim się spotykał, co robił. Też dla naszego bezpieczeństwa. Rozumiałam, chciałam rozumieć. Jednak wraz kolejnymi miesiącami, latami czułam, że Włodek się ode mnie oddala. Zaczyna żyć w świecie, do którego nie mam dostępu. I który jest, jak sądziłam, dużo ważniejszy od naszego małego, rodzinnego światka. Czy tak musiało być? Nie jestem tego do końca pewna.

Przyznam po latach, że świata brodatych mężczyzn w powyciąganych swetrach i kobiet w zbyt długich spódnicach już mi nie brakuje. Za to wciąż brakuje mi, nawet jeśli trochę mniej niż kiedyś, bardzo konkretnego brodatego mężczyzny w powyciąganym swetrze. Włodka.

Włodek nie odzywał się przez kilkanaście dni. Próbowałam złapać go w redakcji tygodnika, ale kiedy dzwoniłam, nigdy akurat go nie było. Co robił, gdzie się podziewał? Wiedziałam, że jest reporterem i dużo jeździ po kraju, ale, do cholery, mógłby się od czasu do czasu do mnie odezwać.

Wreszcie raczył zadzwonić. Pod koniec lipca. Myślałem, że będzie pytał, co u nas, jak odnaleźliśmy się w Krakowie po dłuższej nieobecności. Ale nie! Rozentuzjasmowany, jak nie on, opowiadał niemal na jednym oddechu, że Wajda dostał nagrodę w Cannes za film Człowiek z żelaza. Że to wielki sukces. Że teraz cały świat dowie się o robotniczych protestach w roku 1980 i o tym, jakie szuje rządzi naszym krajem. Nie wiem dlaczego, ale nie mogłam tego słuchać, przerwałam połączenie.

Przeplakałam pół nocy, chociaż do końca nie zdawałam sobie sprawy, jakie emocje mną targają. Żal? Smutek? Rozpacz? Upokorzenie? Byłam tej nocy kobietą z kryształu. Kryształu, który pęka nawet przy lekkim uderzeniu.

Boję się! Boję się jak nigdy wcześniej!

Nie mogę się w żaden sposób uspokoić. Spróbowałam skontaktować się z Włódkiem, ale nigdzie nie mogłam go złapać. Co za niespodzianka! Tak potrzebowałam pociechy, tak potrzebowałam rady.

Paliłam w kuchni papierosa za papierosem. Zaglądałam do Konradka, by sprawdzić, czy wszystko z nim w porządku. Nic mu nie było, bo nic mu być nie mogło. Na razie, przelatywało mi przez głowę, kiedy zagarniał mnie pierwotny lęk matki o dziecko.

Przyszedł późnym wieczorem i wszedł jak do siebie. Chyba wcześniej go nie widziałam. Od razu poszedł do kuchni i zażyczył sobie herbaty z cytryną. A skąd ja mu miałam wziąć cytrynę? Poruszałam się jak automat.

Był miły, kulturalny, nawet bardzo. Nie przeklinał, nawet nie podnosił głosu. Mówił i mówił. Zasiał we mnie lęk, który kiełkuje tak szybko, jak rzezucha na mokrej wacie.

Rozdział czwarty

Trefne zmywaki, trefne fajki

30 czerwca 2016, czwartek, Ciechanów, Sosnowiec, Mysłówice, Kraków i Zabierzów

Ciszę z rzadka przerywały poszczekiwanie psa i warkot samochodu przejeżdżającego Płońską. Ciemność przełamował niemrawy blask pobliskiej latarni i świecy ustawionej na ogrodowym stoliku. Liczyłem, że świeca będzie odstraszała komary. Ten patent się nie sprawdził. Za to mogłem oglądać taniec ciem wokół płomienia.

Przypałą sobie skrzydła czy nie? Będę żałował, że wziąłem sprawę Tatiany, czy nie?

Właśnie nad kejssem Ukrainki ślęczałem w środku nocy. Nadzorowany przez Felicję, która co jakiś czas wychodziła do mnie, by zapalić. Od dawna miała problemy ze snem, ale je bagatelizowała. Jak większość problemów zdrowotnych. „Już się w długim życiu naspałam”, komentowała.

Zaintrygowało mnie, że Maksym się zgubił. Jak na tę jedną sprawę było przynajmniej o jednego zaginionego Ukraińca za dużo. To kolejne zniknięcie nie wyglądało na zbieg okoliczności. Postanowiłem, że z Ciechanowa pojedę prosto do Sosnowca i trochę tam powęszę. Najpierw jednak poszukałem informacji na temat Szewczuka. Przeczesałem bazy danych przedsiębiorców i dowiedziałem się, że Maksym działa legalnie, ma zarejestrowaną działalność – firmę o wdzięcznej nazwie Odessa, która zajmuje się – jakżeby inaczej – importem i eksportem. Siedziba firmy znajdowała się w Sosnowcu przy ulicy 1 Maja. Nic mi to nie mówiło, bo nie znałem miasta, nigdy tam nie byłem. Z Sosnowcem kojarzyła mi się jedynie fraza z wiersza – nie pamiętam czyjego – która zawsze mnie zastanawiała: Sosnowiec jest jak kobieta. Niby dlaczego? Będę miał okazję, żeby się o tym przekonać.

Była druga w nocy. Kolejny raz do ogrodu wyszła Felicja i napomniała mnie miękkiem głosem, że jeśli ruszam z rana w trasę, powinienem się choć trochę przespać. Moja kochana starowinka... Nikt nigdy tak o mnie

nie dbał, nie myślał. Nawet moja nieszczęsna żona Maria, która zbyt wcześnie zapadła w bagno swoich lęków i nieszczęść. Powiedziałem, że jeszcze chwila, jeszcze tylko chwila. Ponamierzałem Tadeusza Żukowskiego, restauratora, który podejrzenie lubił ukraińskich pracowników, a głównie chyba pracowniczeki. Nie wyglądał na potentata w branży, ale do biednych też nie należał. Miał dwie restauracje w Warszawie, w takich sobie lokalizacjach, bo jedną na Pradze przy placu Szembeka, a drugą przy pośledniej ulicy na Ochocie. I bar w Pruszkowie. W Pruszkowie? Historia tamtejszej mafii była solidnie zamknięta, podobnie jak jej członkowie, jednak pojawienie się tego miasta w sprawie zawsze wywoływało pewien niepokój. Przynajmniej u mnie, bo pamiętałem mafijne wojny i wojenki w okolicach stolicy, a także na południu kraju. Dowiedziałem się też, że Żukowski był właścicielem kilku mieszkań w Warszawie, które wynajmował. Ciekawe komu? Może Ukraińcom, których do siebie ściągał. Może dowalał im taki czynsz, że pracowali u niego prawie za darmo. Kto wie.

Przed trzecią rano uznałem, że mam dosyć. Zamknąłem laptop i poszedłem do domu. Babka Felicja siedziała w fotelu z książką w rękę.

– Co czytasz?

Pokazała mi okładkę, po czym objaśniła:

– Ian Rankin Supełki i krzyżyki.

– Nie znam.

– A powinieneś. Warto. Nieźle Szkot wymiata.

Zaśmiałem się z cicha. Moja starowinka miała słabość do młodzieżowych słówek, które podłapywała od wnuków swoich koleżanek z Geriatrycznego Klubu Rozrywki.

Usiadłem obok niej na kanapie i wsłuchiwałem się w swój organizm – zapalić ostatniego papierosa czy nie? Odpuściłem.

– Chyba bardzo zależy ci na tej sprawie Wiery, skoro zarywasz nocki – Felicja rzuciła niewinną uwagę.

– Dla jasności, szukam Tatiany. Wiera mi tylko pomaga.

– W czym?

– Felicja...

– Już się nie czerwień, przecież nie pytam o seks.

Czasami nijak nie umiałem poradzić sobie z bezpośredniością mojej starowinki.

– Odpuść mi, zmęczony jestem.

– Nie zamierzam cię męczyć, chłopczyku.

Nocami, kiedy nie spałem, moje myśli krążyły dziwnymi torami. Od wesołej jak skowronek na wiosnę Wiery do smutnej Marii, a później do jeszcze smutniejszej Jagody, mojej matki.

– Wiesz, Felicja, bardzo słabo pamiętam moją matkę.

– Dawne dzieje. Nie masz powodu, żeby się zadręczać czy obwiniać o cokolwiek.

– Tak tylko czasami o niej myślę.

– Zaczynam żałować, że pokazałam ci ten zeszyt.

– Niepotrzebnie.

– Ale obiecaj mi, że nie będziesz już grzebał w przeszłości.

– To mogę, obiecuję.

Felicja odłożyła książkę na ławę, powoli podniosła się z fotela i rzuciła w moim kierunku:

– Najwyższy czas spać.

Położyłem dłoń na jej kruchym ramieniu i zapytałem:

– Czy moja matka była nieszczęśliwa?

– Wiesz... To nie jest rozmowa na teraz, na tę noc.

– Zbywasz mnie – powiedziałem z żalem.

– Ależ skąd! Kiedyś ci wszystko opowiem o Jagodzie, gdy będziemy mieli więcej czasu i spokoju.

– Ale nie będziesz z tym czekała do następnej wizyty w szpitalu? – spytałem pół żartem, pół serio.

W odpowiedzi tylko pogładziła mnie po policzku.

Jeśli Sosnowiec miał być jak kobieta, musiało chodzić o niewiastę niezbyt dbałą o swoją powierzchowność. Na architekturę miasta składał się przedziwny miszmasz górniczych kamienic, bloków, ruder w różnym stanie rozpadu, zakładów w stanie spoczynku, w niektórych przypadkach – wiecznego. Ulice były dziurawe. Tramwaje powoli kiwały się po zdewastowanych torach. Ale było w tym mieście dużo zieleni, rozmaitych parków, skwerów, nadrzecznych zarośli. To zawsze jakiś plus. „Zawsze szukaj pozytywów, pozytywy mogą cię kiedyś ocalić”, słyszałem nie raz, nie dwa. Od mojego terapeuty? Wcale nie, od babki Felicji.

Dojechałem na ulicę 1 Maja i rozglądałem się za biurowcem, w którym mogła mieć siedzibę firma Maksyma. Nic. Stary budynek przypominający zamek okazał się siedzibą sądu, dalej centrum handlowe, potem stara, nieotynkowana kamienica, bloki, a pomiędzy nimi...

Na początku nie wierzyłem własnym oczom. Pod adresem, którego szukałem, znajdował się bazar Pasaż. Określenie „bazar” w odniesieniu do tego miejsca było zbyt dumne i na wyrost. Na sporej posesji stały drewniane budy, baraczki z dykty i stare kioski RUCH-u zamienione na miniaturowe sklepiki. Większość była zamknięta, chyba od dawna. W jednej z bud znajdowało się stoisko z ciuchami, w kiosku sprzedawano mięso. Raczej nic bym tam nie kupił, nawet gdybym umierał z głodu. W trzeciej budzie po prawej od wejścia było to, czego szukałem. Nad wejściem pysznił się napis: Odessa – wykonany nie nazbyt starannie, białą farbą olejną. Naprawdę, firma eksportowo-importowa pełną gębą.

Drzwi do Odessy były uchylone. Czyżby Maksym powrócił? Wszedłem bez pukania. Wnętrze było ciemne i zakurzone. Przy ścianie naprzeciwko wejścia stał sklepowy regał, na którym porozkładano skarpetki, majtki i inne części garderoby zarówno damskiej, jak i męskiej. Nie zapomniano także o dziecięcej. Na oko daleko było im do markowej odzieży, nie wyglądały także na podróbki takowej. Zwyczajne, szyte pokątnie tanie ciuchy dla biednych ludzi. Usłyszałem chrząknięcie. Na prawo od wejścia stało stare biurko ze sklejką, za którym siedziała starsza kobieta. Mimo upału miała na sobie długi, granatowy sweter zapinany na guziki. W ręku trzymała kłopotliwy ołówek, którym jeszcze przed chwilą gryzmoła coś w dużym zeszytcie w kratkę. Poczuję się trochę jak w skansenie słusznie minionej epoki.

– Potrzebuje czegoś? – zagaiła chrapliwym głosem.

Odezwała się po polsku, ale z wyraźnym wschodnim akcentem.

– Raczej nie skarpetek. Za ciepło.

Nie zareagowała na żart. Wcale. Miała twarz niczym woskową maskę.

– Szukam Maksyma – powiedziałem powoli, wpatrując się w nią. Nadal zero reakcji.

– Maksyma nie ma – odparła beznamiętnie i wróciła do zapisywania rzędów cyfr w zeszytcie.

Korciło mnie, by wprost zapytać, czym właściwie firma Odessa się zajmuje. Maksym na pewno nie utrzymywał się ze sprzedaży skarpetek bardzo wątpliwej jakości, tym bardziej że na tym pseudobazarze nie widziałem żadnych kupujących. Wiedziałem jednak, że jest to kiepska strategia. Nie pozostawało mi nic innego, jak drążyć temat Maksyma.

– A kiedy będzie? Interes do niego mam – zełgałem, zarzucając haczyk.

Zanęta nie zadziałała, bo kobieta tylko odburknęła:

– A kto go tam wie.

– Podobno nie ma go już od wielu dni. Nie wie pani, gdzie jest? Gdzie go mogę znaleźć?

– Szef mi się nie spowiada. Czasami wyjeżdża na kilka dni, to i go nie ma.

Porażająca logika, z którą trudno było dyskutować. Zastanowiło mnie, że starsza kobieta nazwała Maksyma szefem, bo nie wyglądała na podwładną. Jeśli miałbym obstawiać, kto naprawdę rządzi Odessą, bez wahania wskazałbym kobietę, z którą rozmawiałem.

– I nie boi się pani, że Maksowi przytrafiło się coś złego?

– Ja to już, panie, tylko Najwyższego się boję.

Co wcale nie oznaczało, że miała coś na sumieniu.

Żeby ją skutecznie docisnąć, musiałem dowiedzieć się więcej i o niej, i o tej, pożałuj Boże, firmie. Skinąłem głową, chciałem wyjść, ale w drzwiach stał pies, jakiego w życiu nie widziałem. Czekoladowy labrador był tak zapasiony, tak gruby, że ledwo stał na drżących łapach. Dysząc ciężko, zrobił krok w moją stronę i otarł się łbem o moją łydkę. Pogłaskałem go.

Biedny pies, nieszczęsna Odessa. Miałem niejasne przeczucie, że uczestniczę zaledwie w pierwszym akcie tragedii związanej z tym miejscem.

Skręciłem w stronę autostrady A4, ale zaraz zatrzymałem się na poboczu parszywej ulicy wijącej się pośród parterowych domków, bo mnie olśniło. Czasami zdarzał mi się taki stan, szkoda, że rzadko. Tyszka wspominał kiedyś, że jego kolega z fabryki mieszkał w Sosnowcu. Nazwisko miał jak któryś z naszych skoczków narciarskich, tyle pamiętałem. A jeśli był z Sosnowca, pewnie znał miejscowych gliniarzy, którzy mogli mieć ciekawe informacje o Odessie. Jak dla mnie firma Maksyma śmierdziała jak skarpetki maratończyka po biegu. Od razu wybrałem numer Tyszki.

Odebrał, ale nie zareagował na moje powitanie.

– Pierona, starzik, nie targaj tej dechy! – dobiegło do mojego ucha.

– Tyszka? – spytałem niepewnie.

– Czego?

– Może ja nie w porę dzwonię.

– Czego, gadaj.

– Mam do ciebie pytanko, takie raczej niegroźne.

– Nie pitol, synek. Jak chcesz zadać pytanie, wbijaj do mnie na lauba.

I podał mi adres na ogródkach działkowych o jakże adekwatnej do miejsca nazwie: Ślązaczka.

Starego Tyszkę widziałem wcześniej tylko raz i wtedy sprawiał wrażenie schorowanego, zmęczonego życiem człowieka, którego jedynym marzeniem jest śmierć bez bólu. Teraz miałem przed sobą rześkiego, ogorzałego staruszka, który z zapalem heblował rant deski.

Przywitałem się z Tyszką seniorem i zagadałem do Adama: – Chyba ojcu małżeństwo służy?

– Ma tyle energii, że mnie zajeździ przy remoncie – wyszeptał i wskazał na altanę, w której zamiast połowy frontowej ściany ziała dziura. – Taki, widzisz, mam urlop.

– Nie jedziecie nigdzie z Elą?

– Wystawę teraz przygotowuje.

W głosie Adama czuć było żal. Zdawałem sobie sprawę, że ich związek był luźny, a on chciał czegoś więcej. Nie byłem pewien, czy tego się doczeka. Nie dopytywałem. Jeśli będzie kiedyś chciał mi się zwierzyć, sam o tym zadecyduje.

– Dowiedziałeś się już czegoś o grupach, które opiekują się dziewczynami?

– Opiekują się... – prychnął. – Ty nie bądź taki delikutaśny, o prostytutkę chodzi.

– Mniejsza o większość, wiesz już coś?

– Wrzuciłem temat kumpłowi z obyczajówki, ale się nie odzywał, a ja nie dopytywałem. Widzisz – zatoczył ręką dookoła – co mam teraz na głowie.

– Pogoń go, jeśli możesz.

– Się zrobi. Coś jeszcze, bo jak cię znam, masz kolejną prośbę.

Wyciągnąłem ku niemu paczkę papierosów, wziął i zakurzył. Ja też.

– Macie w wydziale gościa z Sosnowca, tak?

– Krzysiek Mateja, ja.

Dobrze kojarzyłem ze skoczkiem narciarskim.

– Na co ci on?

Opowiedziałem Tyszce pokrótce, w jaki sposób poszukiwania Tatiany doprowadziły mnie do Sosnowca i przedziwnej firemki Odessa. I że potrzebuję kogoś, kto zna sosnowiecki półświatek.

Adam zgasił papierosa w puszcze po gulaszu angielskim. Niezbyt elegancka popielniczka.

– Jak dla mnie – zaczął nieśpiesznie – jest mocno podejrzane, że tyle ostatnio dzieje się w Sosnowcu i okolicach. I jeszcze ta twoja sprawa...

– Nie jestem pewien, czy akurat dla mnie Sosnowiec jest kluczowy. Bardziej obstawiam, że rozwiązanie zagadki znajdę w Warszawie.

– Albo i nie – Adam trysnął optymizmem.

– Albo i nie – zawtórowałem niczym echo, bo doskonale zdawałem sobie sprawę, że z każdym dniem szanse na odnalezienie Tatiany malały.

Tyszka wyciągnął z kieszeni krótkich spodni komórkę i rzucił:

– Wydzwonię Mateję.

Po chwili tylko pokręcił głową.

– Nie odbiera.

– Prowadzicie jakąś poważną sprawę? – spytałem.

– Niby tak, niby nie. Starszy, samotny mężczyzna torturowany i zamordowany we własnym mieszkaniu. Zwłoki odkryła po dwóch tygodniach kobieta, która u niego sprzątała, więc wiesz...

– Ciężka sprawa.

– A znasz lekkie, jeśli chodzi o morderstwo?

Nie skomentowałem, sprawa była jasna.

– Chodzi o rabunek z nieprzyjemnymi konsekwencjami?

– Może. Albo o to, że nazbyt lubił nastoletnich chłopców.

– No to jeszcze bardziej nieprzyjemnie.

Milczeliśmy.

– Adaś, chodź mi tu pomóż! – zawołał ojciec.

– Zaraz, starzik – odkrzyknął i powiedział z westchnieniem: – I widzisz, co ja tu mam... – na moment zawiesił głos, po czym dodał: – Wyślę ci numer do Krzyśka, a jemu puszcę esa, że taki typ jak ty będzie go molestował.

– Od razu molestował – obruszyłem się z lekka. – Dzięki ci bardzo.

– Ty mi tu nie dziękuj, tylko skocz po czteropak tyskiego, bo upał i mi w gardle zasycha.

– Pędzę, lecę.

– Tylko się nie zabij, chowie.

Tyszka roześmiał się serdecznie.

W niewielkim osiedlowym sklepie spożywczym, który jakimś cudem przetrwał inwazję Żabek, głośno grało radio. Zabrzmiał sygnał,

zapowiadający pełną godzinę. Ale że to już dwunasta? Niemożliwe. Zupełnie straciłem poczucie czasu. Około południa Wiera miała wrócić do Krakowa i spotkać się ze mną, a ja wciąż tkwiłem na Śląsku. Nie mogłem, co więcej, nie chciałem kolejny raz jej zawieść. A tu jak na złość stojąca przede mną kobieta marudziła ponad miarę, nie mogąc się zdecydować, czy woli galaretki w czekoladzie, czy zwykłe cukierki czekoladowe.

Sprawdziłem komórkę. Wiera ani nie pisała, ani nie dzwoniła, co mogło oznaczać, że jeszcze nie dotarła do Krakowa. Oby. Wreszcie z piwem w dłoni wypadłem ze sklepu i mając gdzieś ograniczenie prędkości w terenie zabudowanym, pomknąłem w stronę ogródków działkowych. Nawet nie wchodziłem na działkę Tyszki, tylko podałem mu czteropak przez płot. Spojrzał na mnie uważnie i spytał z troską w głosie:

– Coś się stało?

– Nie pytaj – rzuciłem i pogałem do miśka.

Nie miałem zamiaru opowiadać Adamowi o Wierze, a już na pewno nie teraz.

Telefon zadzwonił, kiedy śmigałem autostradą na wysokości Chrzanowa. Wiera, jakżeby inaczej. Dałem ją na głośnomówiący.

– Jestem! – oznajmiła szczęśliwą wieść.

– Ja też... no prawie.

Zapadła cisza tak głęboka, że słyszałem szum opon trących o asfalt.

– Słyszę, że jesteś w aucie – głos Wiery może nie był lodowaty, ale jednak mocno schłodzony. – A to znaczy, że nie ma cię w Krakowie.

Trafiła bez pudła.

– A przecież umawialiśmy się na dzisiaj...

– Wstępnie – spróbowałem niemrawej obrony.

– Odnoszę wrażenie, że mam do czynienia z niepoważnym mężczyzną, a co za tym idzie, mało wiarygodnym detektywem. Biedna Tatiana...

– Wiera, to nie tak...

W ostatniej chwili powstrzymałem się przed rzuceniem jednej z najbardziej żalonych fraz, jakie może wypowiedzieć facet tłumaczący się kobiecie z licznych przewin i zaniedbań: „To nie tak, jak myślisz, kochanie”. No, z tym „kochanie” to trochę się rozpędziłem.

Wykorzystując milczenie mojej nieformalnej współpracownicy, zmieniłem temat:

– Będę w Krakowie za pół godziny. I mogę wtedy do ciebie podjechać.

– Wstrzymaj konie, dziki Kozaku.

Zdanie zabrzmiało jak żart, więc chyba jeszcze mogłem odrobić u Wiery stracone punkty.

– Ledwo co weszłam do mieszkania. Muszę się wykąpać i trochę rozpakować. Przyjadę do ciebie o piętnastej.

Do mnie? Zdziwiła mnie ta propozycja. Właściwie nawet nie tyle propozycja, co decyzja Wiery. Nie brzmiała, jakby mnie pytała o zgodę czy zdanie. Nie raz, nie dwa zdarzało mi się tracić kontrolę nad relacjami z kobietami i zazwyczaj nie kończyło się to radosnym finałem.

– Będę czekał.

– Ja myślę. Ale jeśli znowu coś ci wypadnie, jeśli znowu mnie wystawisz... – zawiesiła głos. – Powinieneś wiedzieć, że moja babka była szeptuchą. Pomagała ludziom, ale mogła im też zaszkodzić, jeśli tylko chciała. Podobno odziedziczyłam po niej dar. Rozłączyła się.

Co to właściwie było? Czy Wiera w zawołany sposób groziła mi? I skąd, ledwie po kilku dniach znajomości, pojawiły się u niej tak gwałtowne emocje? Głupie pytania. Nigdy nie byłem wulkanem emocji, ale Wiera bez wątpienia sprawiła, że po długim czasie zacząłem coś czuć. Tylko co to właściwie było?

Popołudniowe słońce świeciło wprost w okna pokoju, więc spuściłem rolety. Nie miałem drygu do majsterkowania, zamontowałem je krzywo, więc smuga światła wdzierała się do wnętrza, oświetlając dzbanek z lemoniadą, którą przygotowałem według sprawdzonego przepisu Felicji. Jak się okazało, niepotrzebnie, bo Wiera zażyczyła sobie szprycerka. Całe szczęście, że miałem w domu białe wino i cytrynę, choć gazowanej mineralnej już nie. Moja nieoficjalna współpracownica nie narzekała na brak bąbelków.

– I naprawdę ani matka Tatiany, ani jej siostra nic więcej na temat jej wyjazdu do Polski nie wiedzą? – dopytałem dla pewności po tym, jak Wiera zrelacjonowała mi rozmowę z bliskimi zaginionej.

– Też mnie to trochę dziwi.

– Dlaczego?

– Tatiana nigdy nie była aż tak skryta. Znam ją od lat. Oczywiście, miała małe tajemnice, jak każdy, ale generalnie Oksana i ja zawsze wiedziałyśmy, co się dzieje w jej życiu. Podobnie jak jej matka. Miały dobry kontakt, dogadywały się bez problemu.

Wiera upiła łyk szprycera. Poczęstowałem ją papierosem, zapaliliśmy. Patrzyłem, jak dym splata się ze smugą światła, i kombinowałem,

dłaczego Tatiana trzymała szczegóły wyjazdu w tajemnicy. Obawiała się czegoś albo kogoś?

– Istnieje taka możliwość, że ktoś zakazał jej mówić o wyjeździe do Polski? – zaryzykowałem hipotezę.

– Niby dlaczego?

– Nie mam pojęcia, głośno myślę.

– Ale wtedy Tatianka na pewno zaczęłaby coś podejrzewać. Ona naprawdę była ostrożna. Trzy razy pomyślała, zanim coś zrobiła.

– Wiesz, poznawanie się w kawiarni z przypadkowymi kolesiami nie jest przejawem nadmiernej ostrożności.

Prychnęła niczym rozdrażniona kotka.

– To już kobietom nie wypada rozmawiać z nieznanym w knajpie? Jesteś taki staroświecki czy masz jakieś uprzedzenia?

Uniosłem otwarte dłonie w uspokajającym geście.

– Dobrze, zostawmy to – zgasilem niedopałek, a Wiera powtórzyła gest.

– Powiedz lepiej, czy... – wskazałem na leżący na stole spory notatnik – trafiłaś na coś interesującego albo niepokojącego w pamiętniku Tatiany. Bo chyba przeczytałaś ostatnie wpisy?

– Dokładnie i dwa razy.

– Pisała coś więcej o studencie albo w ogóle o pomysle wyjazdu ze Lwowa do pracy u nas?

– O tym studencie... Jak mu tam było?

– Tomasz.

– Może być i Tomasz... Nic więcej o nim nie było.

– I to cię nie dziwi?

– A dlaczego miałyby?

– Wiesz, pojawia się koleś, dzięki któremu Tatiana ma całkowicie odmienić swoje życie, pojechać do obcego kraju, a ona poświęca mu w pamiętniku ledwie krótką wzmiankę? Nie rozumiem tego.

– Ona nigdy nie była zbyt wylewna.

– A co ma jedno z drugim?

– Bo ty to, jak to facet, nie wiesz, o co chodzi.

Wiera sprawiała wrażenie coraz bardziej zirytowanej moją dociekliwością.

– Posłuchaj, nie mam niczego za złe twojej zaginionej przyjaciółce. W ogóle jej nie oceniam. Próbuję dowiedzieć się, co się z nią działo przed

wyjazdem. Jakie były jej motywacje. A szczególnie zastanawia mnie, dlaczego tak mało mówiła najbliższym osobom o przenosinach do Polski.

Wiera zsunęła ze stóp espadryle gestem tak pełnym niewymuszonego erotyzmu, że aż poczułem gęsią skórę na przedramionach. Podciągnęła związane kolana i oparła o nie brodę. Wyglądała zarówno rozczulająco, jak i podniecająco.

– Wiesz – mówiła powoli, jakby starannie szukała właściwych słów – Tania była bardzo niepewna siebie. I bardzo mocno reagowała na opinie innych na swój temat. Może obawiała się, że jak jej nie wyjdzie w Polsce, będzie musiała znosić złośliwe komentarze, tłumaczyć się z niepowodzeń. A z tym nigdy sobie nie radziła.

– Jasne, jest to jakieś wytłumaczenie, ale że nawet narzeczonemu nic konkretnego nie powiedziała? Kiedy z nim rozmawiałem, odniosłem wrażenie, że bardzo jest za nią.

Wiera śmiesznie zmarszczyła nos.

– Co to właściwie znaczy?

– Że mu na niej zależy, że o niej myśli. I że nie wyśmiewałby się z niej, nawet gdyby coś u niej poszło nie tak, jak sobie założyła.

– Aaa... Jasne. Andrij jest dobrym chłopakiem, ale chyba nie pasował do Tatiany. A ona do niego. Ten ich związek się rozluźniał od dawna. Tani było go szkoda, dlatego nie zdecydowała się na ostateczne zerwanie. Kiedyś odmówiła mu, jak zaproponował, by zamieszkała z nim w Lublinie.

– Wiem, wspominał, że tak było.

– Wiedziała, że jeśli powie Andrijowi, że przyjeżdża do Polski, ale nie do niego, będzie cierpiał, będzie jej robił wyrzuty. A tego na pewno nie chciała. Zawsze unikała konfrontacji z ludźmi, więc pewnie i teraz wołała nic nie mówić.

Starłem palcami kropelkę potu ze skroni. Upał stawał się coraz bardziej dotkliwy. Ale czy chodziło tylko o pogodę?

– Jestem w stanie zrozumieć Tatianę, ale wciąż nie do końca. Miała różne możliwości, żeby się jakoś zabezpieczyć, tak na wszelki wypadek, przed swoim skokiem w nieznaną, a nie skorzystała z nich. Wciąż wydaje mi się to odrobinę dziwne. I mało rozsądne.

– Taka była.

Pokręciłem głową.

– Wolę jednak używania czasu teraźniejszego: taka jest.

Wiera wyraźnie się zmieszala, spojrzała na mnie smutno i rzuciła:

– Tak tylko mi się powiedziało.

– Wiem, Wiera...

Posmutniała, a ja dotkliwie odczułem jej smutek. Nie myślałem, że jeszcze mogę być tak empatyczny. Nie po tym wszystkim, co lata temu przeszedłem z moją żoną, Marią. Wtedy, lata temu, byłem pewien, że empatia całkiem się we mnie wypaliła. Położyłem dłoń na jej głowie. Chciałem ją pocieszyć, chciałem, żeby poczuła moją bliskość. Przymknęła oczy. Oddychała spokojnie i miarowo. Bezwiednie zacząłem przesuwając pasma jej ciemnoblonde włosów między palcami. Powoli i delikatnie. Czy od gestu pocieszenia przeszedłem do pieszczot? Było trochę tak, jakbym rozdzielił się na dwóch Rowickich. Jeden niewinnie pieścił Wierę, drugi uważnie obserwował rozwój wypadków. Palce ześlizgnęły mi się na jej ramię. Miała delikatną, lekko ciepłą skórę. Uniosłem drugą dłoń, żeby... „Ej, Rowicki...”, ten drugi chciał mnie chyba ostrzec, ale nim wypowiedział zdanie do końca, zobaczyłem, że Wiera odchyliła się powoli, odsuwając się ode mnie.

– Jeśli myślisz o tym, o czym ja myślę, że ty myślisz, to raczej przestań tak myśleć – wymruczała.

Przez dłuższą chwilę przetrawiałem tę frazę. Opuściłem dłoń, którą jeszcze przed momentem pieściłem jej włosy.

– Ja tylko...

– Lepiej nie kończ – ucięła.

Powoli wypuściłem powietrze.

– I lepiej już pójdę – zdecydowała.

Nie oponowałem. Sytuacja wprawdzie, jak sądziłem, była zupełnie niewinna, ale jednak odrobinę dwuznaczna. Tym bardziej że wciąż nie do końca wiedziałem, co do Wiery czuję i czego od niej chcę.

Założyła espadryle i ruszyła do wyjścia. Z ręką na klamce odwróciła się do mnie i spytała:

– Co teraz zrobisz w sprawie Tani?

Lekko wzruszyłem ramionami.

– Nie mam wiele tropów. Poszukam Ukraińca, który przejął Tatianę w Medyce. Mam nadzieję, że gdy go znajdę, odnajdę także ją. Albo chociaż zdobędę jakąkolwiek wskazówkę, gdzie może się podziewać.

– Oby – skomentowała i uśmiechnęła się. – Jakbym była ci do czegoś potrzebna, to wiesz...

Urwała i wybuchnęła śmiechem.

Oślupiałem.

– Do rychłego – pożegnała się i zanim wyszła, powoli przesunęła palcami po moim policzku.

Przez dobrych kilka minut stałem jak wryty i gapiłem się na drzwi. Nie miałem bladego pojęcia, w co grała Wiera. Byłem jednak pewien, że chcę grać w tę grę. Choćbym nawet miał później tego żałować.

Byłem poirytowany. I bardzo chciało mi się palić. Nie ćmiłem w miśku, bo wiadomo – zasady. A nie chciałem wychodzić z auta, żeby ktoś przypadkiem mnie nie przyuważył. Raz już byłem nieostrożny i wiadomo, jak to się skończyło.

Podniosłem lornetkę do oczu. Nic się nie zmieniło. Drzwi do hurtowni były zamknięte, dwa samochody osobowe wciąż stały na niewielkim placu przed budynkiem.

Prawdę mówiąc, nie do końca zdawałem sobie sprawę, na co liczyłem, rozpoczynając obserwację hurtowni leków w Zabierzowie, w której dostałem po łbie. Na pewno nie chodziło o zranione męskie ego ani chęć odpłaty. Nie byłem mściwy głównie dlatego, że zemsta, jeśli miała być skuteczna i bezkarna, wymagała naprawdę wiele starań i czasu. Zwyczajnie nie chciało mi się mścić. Ale nie lubiłem niedomkniętych spraw i bardzo chciałem się dowiedzieć, kim naprawdę jest i przede wszystkim, gdzie teraz znajduje się Kozak. I czy w ogóle jeszcze jest. Zacząłem podejrzewać, że właścicielowi kantoru i innych, mniej lub bardziej poukrywanych biznesów, przytrafiło się coś bardzo nieprzyjemnego. Tacy ludzie nie znikają ot, tak sobie. I na pewno nie z powodu drobnego długu. Tacy ludzie mają zazwyczaj na tyle środków i możliwości, aby nie musieć się ukrywać. A wreszcie, doskonale zdawałem sobie sprawę, że jeżeli chciałem ugłaskać Lewandowskiego, którego bardzo zawiodłem, zresztą nie pierwszy już raz, musiałem mu coś dać. I to coś bardzo konkretnego, dzięki czemu zapunktuje u przełożonego.

Zastanawiałem się, czy Kozak był kolejną osobą, która ostatnio zniknęła? Byłby to naprawdę niesamowity zbieg okoliczności. Na razie miałem zbyt mało danych, aby wyciągnąć ostateczne wnioski, więc starałem się je zdobyć.

Tkwiłem w bocznej uliczce naprzeciwko hurtowni przez dobre dwie godziny. Raz podjechała tam furgonetka, do której facet w roboczym

kombinezonie zapakował paczki z medycznymi oznaczeniami. Poza tym nie działa się absolutnie nic. Jasne, był późny wieczór, prawdopodobnie szczyt ruchu w hurtowni przypadał dużo wcześniej. Coś mi jednak szeptało w tyle głowy, że właściciele hurtowni niespecjalnie przejmowali się wielkością obrotu w swojej firmie.

Przed dwudziestą drzwi hurtowni otworzyły się i wyszedł z nich mężczyzna, który wcześniej załadowywał furgonetkę. Przebrany w zwykłe ciuchy. Wsiadł do zdezelowanego opla i odjechał. Nie minął nawet kwadrans, a na zewnątrz pojawił się bysior, który poprzednim razem wprowadził mnie do hurtowni. Jego facjatę zapamiętałem bardzo dobrze. Typ powoził czarną beemką z przyciemnianymi szybami. Co za niespodzianka! Równie dobrze mógłby sobie umieścić na kufrze naklejkę z napisem: „Uwaga! Jestem gangusem”.

Pojechałem za nim, starając się zachować bezpieczną odległość. Przez chwilę obawiałem się, że może kojarzyć moje auto, tak jednak nie było, bo nie sprawiał wrażenia kogoś, kto chce pozbyć się ogona. Jechał spokojnie i przepisowo. Zaprawdę, porządny gangus!

Dowlokłem się za nim do Rząski, niewielkiej wioski niedaleko Zabierzowa. Zaczął skręcać w boczne uliczki. Zwiększyłem odległość, licząc się z tym, że go zgubię. Musiałem tak zrobić, ponieważ ruch tam był minimalny i mógł mnie zauważyć. Dojechał niemal do obrzeży wioski i skręcił w kolejną boczną uliczkę. Zatrzymałem się przed zakrętem, odczekałem chwilę i pojechałem za nim. Ulica była krótka i ślepa. Po jej prawej znajdował się niezbyt duży, parterowy budynek z kolorowym szyldem, który jasno zapowiadał, że przyjemności znajdą tam raczej mężczyźni niż kobiety.

Naprawdę, klub go-go? Straciłem tyle czasu na marne. Paker pewnie przyjechał zrelaksować się po robocie, walnąć kilka drinków i popatrzeć sobie na panny wijące się na rurze. Wycofałem i zaparkowałem kawałek od skrzyżowania tak, aby mieć je przed sobą. Postanowiłem, że dla spokoju sumienia poczekam tu jeszcze z kwadrans, a później zwinę się do domu.

Naprawdę się zdziwiłem. Bardzo. Nie minęło nawet dziesięć minut, kiedy czarna beemka wyjechała ze ślepej uliczki. Pojechałem za nim. Zastanawiałem się, po co pojechał do tego klubu. Spotkał się z kimś? Miał coś do załatwienia? Czy klub z pannami należał do Kozaka?

W dokumentach, do których dotarłem, nie znalazłem wzmianki o tej imprezowni w Rząsce. Naprawdę robiło się coraz ciekawiej.

Bysior pojechał do Bronowic na wielkie, stare blokowisko. Miał tam chatę? Okazało się, że nie. Powtórzył się rytuał z klubu go-go. Podjeżdżał pod blok, wchodził do klatki i po dziesięciu, góra piętnastu minutach wracał do auta i ruszał dalej. W Bronowicach miał cztery takie przystanki, ale to jeszcze nie był koniec. Przewlokłem się za nim na drugi koniec Krakowa na kolejne ogromne blokowisko, czyli Kurdwanów. Tam zaliczył dwa przystanki, potem ruszył w stronę centrum.

Nie byłem przygotowany na tak długą obserwację. Chciało mi się pić, bardzo chciało mi się palić. Błagając w myślach moje kochane auto o przebaczenie, otworzyłem szybę na oścież i zapaliłem. Długie, głębokie zaciągnięcia. Poczuję się dużo bardziej rześko.

Bysior pojechał na Grzegórzki i zaparkował przed kantorem należącym do Kozaka, w którym obecnie urzędowała jego wredna żonka. Przyznam szczerze, że akurat ten przystanek we wspólnej podróży po Krakowie i okolicach mnie nie zadziwił. Zaparkował na chodniku przed zamkniętym kantorem. Wysiadł i poszedł w stronę otwartej bramy prowadzącej na tyły kamienicy. Musiało być tam drugie wejście do kantoru. Jak mawiała babka Felicja: „od zakrystii”, chociaż akurat ten przybytek niewiele miał wspólnego z sacrum. Stałem kawalek dalej po drugiej stronie ulicy. Cisnąłem niedopałek przez okno. Musiałem szybko podjąć decyzję, co robić. Rozwaga czy ryzyko? Jak często bywało ze mną, postawiłem na drugie, czyli ryzyko doprawione elementem improwizacji. Wyciągnąłem ze schowka bejsbolówkę, nałożyłem, nasuwając daszek jak najgłębiej na twarz. Zaćwierkał uruchomiony zamek auta. Przebiegłem na drugą stronę ulicy, zwolniłem i z pochyloną głową, rozkołysanym krokiem wszedłem w bramę. Liczyłem na to, że na pijaków nikt nie zwraca specjalnej uwagi, że obszczyturom nikt się specjalnie nie przygląda. Miałem nadzieję, że tak będzie i w tym przypadku.

Podwórko było niewielkie, po prawej i lewej zamknięte jednopiętrowymi oficynami, na oko niezamieszkałymi. Na wprost był stary, szczerbaty mur, przy którym stały kosze na śmieci. Był też trzepak. Rozglądając się dyskretnie, poszedłem chwiejnie w stronę śmietników. Po prawej od bramy dwa wyszczerbione schodki prowadziły do uchylonych drzwi. Pewnie było to tylne wejście do kantoru. Przez szparę przenikało

mdłe światło słabej żarówki. Zatrzymałem się pod murem i udawałem, że nieporadnie gmeram przy rozporoku.

– ...i ciśnij ich. Nie może być tak, że będą migać się bez końca.

Nie byłem do końca pewien, bo głos był przytłumiony, ale najprawdopodobniej był to głos żony Kozaka.

– Się wie, szefowo.

Szefowo? Kto właściwie zarządzał biznesami Kozaków. Może on był jedynie figurantem. Zbyt mało jeszcze wiedziałem o tej podejrzanej rodzinie.

Usłyszałem trzaśnięcie drzwi. Kątem oka zauważyłem, że bysior zatrzymał się i patrzył w moją stronę. Robiło się nieciekawie. Byłem więcej niż pewien, że jeśli podejdzie, rozpozna mnie. A wtedy drugi raz zbiorę wpierdol.

– Spierdalaj stąd, menelu jebany! – krzyknął. – Ale już!

Zabełkotałem niewyraźnie, machnąłem ręką, odwróciłem i kiwając się na boki, ruszyłem w stronę bramy, trzymając się nieoświetlonej strony podwórka. Nie podchodź do mnie, tylko nie podchodź, zaklinałem w myślach. Na szczęście tylko stał i patrzył na mnie. Wyszedłem na ulicę, skręciłem w bok i ukryłem się w wejściu do sąsiedniej kamienicy. Po chwili czarna beemka odjechała. Uznałem, że dalsze śledzenie jej nie ma sensu.

Wracając powoli do siebie, na Podgórzu, zastanawiałem się, co właściwie jest grane. Wszystko wskazywało, że bysior jest kimś w rodzaju inkasenta. Klub go-go, mieszkania w blokach – że chodzi o prostytucję, było raczej pewne. Tylko jaką rolę pełnili Kozak ze swoją jakże uroczą żoną? Zajmowali się stręczycielstwem i mieli sieć dyskretnych burdeli czy jedynie ochraniali czyjs biznes? Wiele pytań, mało odpowiedzi.

1 lipca 2016, piątek, Sosnowiec

Komenda Miejska Policji w Sosnowcu mieściła się w starej, zabytkowej kamienicy w samym centrum miasta, na rogu ulic Piłsudskiego i Teatralnej, więc dojazd tam był nieskomplikowany. Za to gorzej było z parkowaniem. Na szczęście tuż obok była stacja benzynowa z kilkoma miejscami do parkowania. Tam aspirant Krzysztof Mateja wyznaczył mi spotkanie.

Nie zdziwiło mnie, że policjant z Katowic nie palił się do pomagania mi po krótkiej, wczorajszej rozmowie telefonicznej. Nie znał mnie, pewnie nawet nigdy o mnie nie słyszał. Nie wiedziałem też, co o mnie nagadał

mu Tyszka. Zdążyłem się już przekonać, że bywał boleśnie szczery. Pomysł, aby wcześniej spotkać się i obwąchać, wydawał mi się do przyjęcia. Zresztą, właściwie nie miałem innego wyjścia.

Po jeździe z Krakowa zachciało mi się palić, więc zamknąłem moje mitsubishi i odszedłem kawałek od stacji. Nim dopaliłem papierosa, na stację zajechało czarne, wypasione audi TT i zaparkowało obok mojego wozu. Pomyślałem, że Tyszka woził się niezłą furą. Ciekawe, jak na nią uzbierał? Raczej nie wystarczyło ograbienie świnki skarbonki.

Cisnąłem peta na chodnik i przydeptałem. Ruszyłem w stronę stacji, ale po chwili przystanąłem. Z audi od strony kierowcy wysiadła szczupła kobieta z burzą rudych, kręconych włosów, ubrana w czarną koszulkę bez rękawów i czarne, obcisłe dżinsy. Daleko było jej do Wiery, ale... Uspokój się, Rowicki, skarciłem się w myślach. Chyba naprawdę za długo byłem sam i z lekka zaczynało mi odbijać na punkcie kobiet. Z drugiej strony auta pojawił się młody mężczyzna ze starannie ułożonymi włosami, ubrany w ciuchy na moje oko bardzo markowe. Adam kiedyś wspominał, że Mateja lubił ładnie wyglądać, więc pewnie był to aspirant, z którym miałem się spotkać. Tylko dlaczego jakaś kobieta prowadziła jego auto?

Stanęli obok siebie i rozglądali się dookoła.

Najwyższa pora, żeby odbębnić powitalne rytuały, pomyślałem.

– Aspirant Mateja? – rzuciłem pytanie, gdy zbliżyłem się do nich na kilka kroków.

– Podkomisarz Rowicki? – odpowiedział pytaniem.

Ciekawe, czy Tyszka powiedział mi, że dosłużyłem się nie za wysokiej szarży podkomisarza, czy sam Mateja mnie przeświecił.

– Już nie służę – wyjaśniłem, choć Mateja pewnie to wiedział.

– Podkomisarz Renata Łukowska – przedstawiła się i wyciągnęła dłoń na powitanie.

Łukowska uścisk miała solidny, męski. W odróżnieniu od Matei.

– Jesteście partnerami? – spytałem.

– W naszym wydziale nie ma stałych partnerów – odpowiedziała Łukowska.

– To pewnie pomysł Mundka – stwierdziłem.

– Znacie się? – Krzysiek sprawiał wrażenie zdziwionego, więc chyba nie przeświecił mnie nazbyt dokładnie.

– Przez jakiś czas pracowaliśmy w jednej komendzie w Krakowie. Stare dzieje.

Więcej nie zamierzałem mówić, bo też nie było o czym. Ja i Edmund Polański, obecnie nadkomisarz w komendzie miejskiej w Katowicach, byliśmy jedynie znajomymi z pracy.

– O co w ogóle chodzi, bo Adaś trochę plątał się w zeznaniach, jakiej pomocy potrzebujesz. Wczoraj przez telefon też nie powiedziałeś za wiele.

Bo nie uznałem za konieczne wprowadzanie cię w szczegóły, pomyślałem, ale nie powiedziałem na głos.

– Potrzebuję informacji na temat firmy pewnego Ukraińca, działającej w Sosnowcu.

– Ale Adaś wspominał coś o zaginionej Ukraince, prostytutce i tak dalej.

Że też Tyszka nie umiał trzymać języka za zębami.

Mateja irytował mnie, chociaż nie do końca wiedziałem z jakiego powodu. Zdawałem sobie sprawę, że policjanci z dystansem i wyższością traktują prywatnych detektywów, ale, do cholery, nie zamierzałem przecież prosić go o nic nielegalnego.

– Rzeczywiście, szukam pewnej Ukrainki, która zaginęła ponad dwa tygodnie temu. Tutejsza firma jest jednym z tropów w tej sprawie.

– Może jakieś szczegóły? – dopytywał aspirant.

– Chłopie, na razie sam za wiele nie wiem. A poza tym po co ci to wiedzieć? Proszę cię tylko o to, żebyś skontaktował mnie tu z kimś, kto może cokolwiek wiedzieć o firmie Odessa. Tylko tyle... – No, nie wiem...

– wycedził. – W sumie cię nie znam i nie wiem, jakie lody chcesz tu kręcić.

Co za typ nieużyty! Fakt, nigdy jakoś specjalnie dobrze nie dogadywałem się z kolegami policjantami, a po odejściu ze służby jako tako jedynie z Tyszką, Koziejem i – czasami – Lewandowskim, ale z tym szczawiem, Mateją, szło mi wyjątkowo opornie. Policzyłem w myślach do dziesięciu, żeby się uspokoić, jednak na nic się to zdało, bo aspirant zaraz podniósł mi ciśnienie, mówiąc:

– Może powiedz otwartym tekstem, po co jesteś w Sosnowcu i co zamierzasz tu robić?

– A co to, kurwa, za przesłuchanie? – nie zdzierżyłem.

– Wyluzuj, staruszkule – Łukowska po raz pierwszy wtrąciła się do rozmowy.

Staruszkule? Wprawdzie skronie miałem posiwiiałe, ale nie wyglądałem jak starzec. Chyba. Zapadła cisza, popatrywałem to na jedno, to na

drugie. Podkomisarz wyciągnęła z kieszeni spodni paczkę fajek i obracała ją w palcach.

– Petarda, jesteś na stacji benzynowej – rzucił Mateja.

Łukowska uśmiechnęła się krzywo i poszła w stronę chodnika.

– Co to za petarda? – zainteresowałem się.

– Ksywa Renatki.

– Ciekawe – skomentowałem.

Wewnętrzny wkurw trochę mi puścił, więc zacząłem spokojnie, jak nie ja:

– Okej, źle zaczęliśmy, więc spróbujmy jeszcze raz. Chcę jasno powiedzieć, że nie zamierzam robić krzywych akcji w Sosnowcu. Chociaż właściwie to nawet nie twój rewir...

– Ale moich kolegów. Nie chcę potem wysłuchiwać narzekań, że ich wsadziłem na minę.

– Chcę zdobyć informacje o firmie Odessa i niejakim Maksymie Szewczuku, który także rozpląnął się jak mgła o poranku – uznałem, że kolejny konkret przekona do mnie Mateję. – Nic więcej nie zamierzam tu robić. Naprawdę nie będę nikomu wchodził w paradę. Dostanę, czego chcę, i znikam stąd na dobre. Nie musisz się niczego obawiać.

Oczywiście, łągałem jak z nut. Zdawałem sobie sprawę, że jeśli zajdzie taka potrzeba, nadepnę na odcisk każdemu. Także policjantom z Sosnowca.

Aspirant wbił we mnie wzrok i przez chwilę przetrawiał to, co mu oznajmiłem. Wreszcie skinął głową i powiedział:

– Dobra, zaprowadzę cię do Jacka. Byliśmy razem na kursach w Pile. Jeśli ktokolwiek może ci pomóc, to on.

Poszliśmy ku przejściu dla pieszych. Mateja zatrzymał się i zawołał Łukowską. Odkrzyknęła, że nie idzie z nami, bo pali. Pasowało mi to, bo ruda też mnie irytowała. Petarda wymownie postukała palcem w nadgarstek.

– Spieszycie się? – zapytałem Mateję.

– Tak jakby – odparł wymijająco.

Doszliśmy do wejścia na komendę. Wiedziałem, że nie powinienem tego robić, ale nie mogłem odmówić sobie wbicia Matei cienkiej szpili:

– W waszym duecie chyba Petarda rządzi, nie? – spytałem niewinnym głosem.

Aspirant otworzył drzwi i je przytrzymał.

– Rowicki, nie przeginaj, bo się jeszcze rozmyślę.

– Nie było pytania – rzuciłem, uśmiechając się pod nosem. – Ale nie jestem przekonany, czy wparowanie tam w mundurze jest najlepszym pomysłem. – Wciąż nie pozbyłem się wątpliwości.

Jacek Kosturkiewicz poklepał mnie po ramieniu.

– Spoko wodza, wiem, co robię.

Nie za bardzo ufałem ludziom, którzy nadużywali słowa „spoko”. Młodszy aspirant Kosturkiewicz, który robił w prewencji miejskiej w Sosnowcu, nie był tak spięty, jak Mateja. I nie miał problemu z tym, żeby dopomóc takiemu łapsowi znikąd jak ja. Miła odmiana po spięciu z Krzyśkiem, który zaraz potem, jak poznał mnie z kumplem i rzucił mu dwa zdania wyjaśnienia, pomknął do swojej partnerki. Trudno było wyrokować po kilkunastu minutach rozmowy, ale wydawało mi się, że Mateja lęka się Łukowskiej. A już na pewno było między nimi bardzo mocne napięcie. Nawet mu się nie dziwiłem, bo na pierwszy rzut oka sprawiała wrażenia twardej babki. A już na pewno twardszej od Matei.

Kosturkiewicz zaparkował radiowóz przed blokiem u wylotu ulicy Struga, ponieważ przed bazarem nie było gdzie postawić gabloty. Milcząc, pokonaliśmy kilkadziesiąt metrów. Na upadłym bazarku było niemal tak samo, jak podczas mojej pierwszej wizyty. Czynne budki z podejrzanym mięsiwem, zero klientów, zapasiony labrador rozłożony w cieniu z językiem na wierzchu, dyszący tak, jakby zaraz miał wyzionąć ducha.

– Tu zawsze tak wygląda? – zainteresowałem się z pustej ciekawości.

– Niby jak?

– Bez życia. Tu w ogóle ktoś cokolwiek kupuje?

– Nie wnikałem, ale chyba tak, skoro utrzymują te biznesiki. No i ja kupuję, i mnie podobni, jak ci już mówiłem – wyjaśnił i roześmiał się szczerze.

Naprawdę, Kosturkiewicz bardzo swobodnie podchodził do obowiązków służbowych i kwestii przestrzegania prawa. Zaczynał mi się coraz bardziej podobać.

Drzwi do Odessy, podobnie jak poprzednio, były uchylone. Wbiliśmy się tam bez pukania. Starsza kobieta w swetrze zapinanym na guziki nieodmiennie tkwiła za biurkiem z ołówkiem kopiowym w palcach, jakby nie rozstawała się z nim nigdy. Zamarła na widok młodszego aspiranta.

– Dzień dobry – Jacek przywitał się radośnie.

– To pan, to pan jest... – kobieta z trudem wypowiadała kolejne słowa, wbijając wzrok w umundurowanego policjanta. – My naprawdę staraliśmy się o pozwolenia, ale... To trudne u was i... I pieniądze kosztuje...

Kosturkiewicz uniósł dłoń. Kobieta zamilkła.

– Pani Nataszo, spokojnie. Właściwie nawet nie jestem tu służbowo. Kolega ma kilka pytań do pani. Zależy mu na szczerych – zaakcentował ostatnie słowo – odpowiedziach. Jeśli pani odpowie na nie i kolega będzie zadowolony, zapomnę o tym, że handlujecie, czym handlujecie.

I puścił do niej oko. Figlarz.

Staruszka wcale nie wyglądała na uspokojoną, ale przestała kurczowo zaciskać palce na ołówku. Młodszy aspirant powiedział, że zostawia nas samych, a na mnie poczeka w radiowozie. Wcale nie musiał tego robić. Doceniałem jego gest i dobrą wolę.

Oprócz krzesła, na którym siedziała starsza kobieta, nie było w Odessie innego siedziska, więc przysiadłem na brzegu biurka. Zaskrzypiało. Miałem nadzieję, że stary mebel wytrzyma mój ciężar.

Kobieta, szurając nogami krzesła po poplamionej wykładzinie, odsunęła się w stronę niewielkiego okna. Wyraźnie się bała.

Czy chodzi tylko i wyłącznie o nielegalny handel?, przemknęła mi myśl.

– Pani Nataszo – zacząłem, starając się nadać głosowi spokojny ton – naprawdę interesuje mnie jedynie Maksym.

– Nie ma go, mówiłam – rzuciła szybko. – I nie wiem, gdzie jest. Klnę się na Najwyższego.

Przeżegnała się szybko kilka razy na prawosławną modłę.

– Dobrze, wiem już o tym. Zacznijmy od początku. Kiedy Maksym ostatni raz pojechał do Medyki? – postanowiłem przetestować jej prawdomówność.

– Skąd pan o tym wie? – była wyraźnie zdziwiona.

– Moja praca polega na tym, że dowiaduję się różnych rzeczy. Proszę więc mówić prawdę. Całą.

– To było dobrze ponad dwa tygodnie temu. Dokładnie nie pamiętam.

– Co tam miał do załatwienia?

– To co zwykle. Miał odebrać na granicy dziewczynę, naszą, z Ukrainy i zawieźć ją do Warszawy.

– Kiedy wyjechał z Sosnowca?

– Jeszcze nocą.
– Kontaktował się potem z panią?
– Zadzwoił z granicy, że nie wie, czy obróci do wieczora. I że bym zamknęła nasz sklepik.

– Sklepik, powiada pani... – zauważyłem, że kobieta się spięła, więc zaraz spytałem: – A pani jest pracownicą Maksa?

– Jestem jego ciotką i pomagam mu w biznesach.

– Jasne. I co było po tym telefonie?

– No, właśnie nic. Więcej do mnie nie dzwonił. Nie pojawił się ani tamtego dnia, ani następnego. I nie odbierał telefonu.

Na biurku stał spodek do szklanki pełen petów, więc zapaliłem bez pytania o zgodę. Nie żeby bardzo chciało mi się palić, ale drażnił mnie wwiercający się w nos zapach stęchlizny unoszący się w niewielkim pomieszczeniu.

– Próbowwała go pani jakoś szukać?

– Na początku nie bardzo. Maksym trunkowy był i czasami szedł w cug, kiedy był przy pieniądzach.

– Dlatego wziął sobie panią do pomocy? Żeby pilnowała pani interesu?
– kobieta skinęła głową.

Z opowieści starszej pani wyłaniał się niepokojący obrazek, bo alkoholik, żeby zdobyć pieniądze na wódę, gotów był robić wielce paskudne rzeczy.

– No, ale po kilku dniach to ja już się o niego bałam. Że coś bardzo złego mu się przytrafiło. Wcześniej nigdy na więcej niż na dwa, trzy dni nie znikał.

– Zgłosiła pani zaginięcie na policję?

Natasza wydeła policzki i prychnęła.

– A co by to dało? Poza tym my i policja, sam pan już chyba wie...

– Ano wiem.

– Ja tylko obdzwoiłam znajomych Maksyma, których znałam. Nikt nic o nim nie wiedział. Nawet do tego Żukowskiego, dla którego do Medyki jeździł, zadzwoniłam. Tylko na mnie nawrzeszczał, że ma, z przeproszeniem pana uszu, dosyć jebanych w pizdę Ukraińców i że zajebe Maksyma, jak go tylko dorwie. Tyle się dowiedziałam.

Zaiste język godny szanowanego, stołecznego restauratora.

– Jak często Maksym odwoził kobiety do Warszawy?

– Raz w miesiącu, czasami dwa. Nie więcej.

– Od jak dawna?

– A będzie pewnie tak pod dwa lata.

Całkiem spory tłumek kobiet. Ciekawe, ile z nich zniknęło tak, jak Tatiana.

– Maksym mówił pani, gdzie odwoził te kobiety?

– Zawsze do jednej z knajp tego Żukowskiego.

– Wiedział, co się później z nimi działo?

– Niby w tych restauracjach miały pracować.

– Niby?

– Wie pan, Maksym nie pytał, a ten cały Żukowski mu nie mówił. Dobrze Maksymowi płacił, więc siostrzeniec wolał nie dopytywać.

Odnosiłem wrażenie, że trafiłem do świątka, w którym nikt niczego nie chce wiedzieć. A jeśli już zdarzy się coś złego, odwraca się wzrok. Co było więcej niż niepokojące. Jak to szło? Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal?

– Wspominał coś jeszcze o Żukowskim? Cokolwiek?

– Maksym nigdy wylewny nie był.

– Proszę się dobrze zastanowić.

Natasza wyjęła z kieszeni swetra paczkę papierosów nieznaney mi marki, pewnie ukraińskich, wyciągnęła jednego, odłamała ustnik i osadziła go w szklanej fifce, zapaliła i wypuściła chmurę dymu. Poczulem się jak żołnierz w okopach pierwszej wojny podczas ataku gazem bojowym.

– Każdy szczegół może mieć znaczenie – zachęciłem kobietę, aby poszperała głębiej w pamięci.

– Kiedyś Maksymowi się wyrwało, że później nigdy tych dziewczyn już nie widział.

– Co to znaczy? Że gdzie nie widział?

– No w tych restauracjach, co to w nich miały pracować. On tam czasem dostawał darmowe jedzenie. No i mówił, że te dziewczyny, co to je woził, nie pracowały jako kelnerki czy kucharki. – Trochę dziwne.

– Stara jestem, mało co mnie dziwi.

– Maksym nie zainteresował się, co się stało z tymi kobietami?

– A niby po co? – zdziwiła się szczerze.

Dowiedziałem się tyle, ile było mi potrzeba. Zostawiłem kobiecie wizytówkę i poprosiłem, żeby dała mi znać, jeśli Maksym jakimś cudem się objawi, chociaż po prawdzie nie liczyłem na to. Zsunąłem się z biurka

i ruszyłem do wyjścia. Nie miałem ochoty na wypowiedanie pożegnalnej formułki. Zawsze mierzili mnie ludzie, którzy odwracają wzrok, żeby tylko zachować błogi spokój sumienia.

– Panie, a czemu pan tak o bratanka wypytuje?

– Zaginęła kobieta, którą wiozł z Medyki. Ma na imię Tatiana.

Natasza cisnęła firkę z niedopałkiem na stół.

– Oj, może i jemu się coś przytrafiło. Będzie pan go szukał?

– A niby po co? – przedrzeźniłem ją i wyszedłem.

Nie było mi jej szkoda ani trochę.

Kosturkiewicz stał przed radiowozem i palił.

– Dostałeś, co chciałeś? – zapytał.

– Mniej więcej.

– No, to mam u ciebie dług – wycelował we mnie palec wskazujący.

– Jeśli tylko będę mógł coś zrobić dla ciebie, zrobię.

– Spoko, żartowałem.

Uśmiechnął się szeroko.

– Ale powiedz mi – zainteresowałem się – wiesz, że oni nielegalnie handlują papierosami bez akcyzy. Czemu ich nie przyskrzynicie?

Jacek pstryknął niedopałkiem w stronę studzienki deszczowej. Nie trafił.

– Wiesz, a co by to dało? – zapytał retorycznie. – Poza tym to nie moja działka. Niech kolesie ze służby celno-skarbowej ich ściągają, jeśli mają czas i ochotę, chociaż z tego, co wiem, taki Maksym to dla nich za mała rybka.

– A do tego mała szkodliwość społeczna – skomentowałem z uśmiechem.

– W ogóle nie ma żadnej. Same plusy, tym bardziej że w Sosnowcu i okolicach jest sporo biednych ludzi, którzy szukają oszczędności, gdzie tylko mogą, więc przymykamy na to oko. Do tego, nawet jeśli zamknęlibyśmy Odesę, zaraz pojawiłby się ktoś inny z trefnymi fajkami. Tak to działa.

– Bo jest popyt, więc pojawia się podaż?

– Coś w ten deseń. Okej, zbieramy się, podrzucę cię do auta.

Ruszył z piskiem opon.

– Jacek, a nie boisz się, że ktoś przyuważy, że kupujesz lewe papierosy? Sygnalistów teraz nie brakuje.

Kosturkiewicz ni to skrzywił się, ni to uśmiechnął.

– Eee, lękliwy nie jestem.

Młodszy aspirant coraz bardziej mi się podobał. Pomyślałem, że mógłbym się z nim zakumplować. Pewnie jednak nie będzie okazji.

– Nie zadzwonisz, nie napiszesz. Chyba już nie masz dla mnie miłości – postarałem się, żeby ostatnie zdanie zabrzmiało smutno jak pieśń na pogrzebie.

Ze słuchawki telefonu dobiegło głębokie westchnienie.

– Daj spokój, nie czas na podśmiejki.

Koziej nigdy przesadnie nie cenił mojego poczucia humoru, które należało do gatunku trudnych. Zresztą technik był ponad miarę poważny, ja nazbyt wesolutki, przynajmniej czasami, a jak wiadomo, przeciwieństwa często się przyciągają.

– Masz coś? – byłem bardzo ciekawy.

– Może...

– Stary, nie mam czasu na budowanie napięcia. Dajesz!

Chrząknął.

– Kojarzysz gang Kolosa.

– Jak przez mgłę.

– Działali krótko kilkanaście lat temu. Mała grupa z podwarszawskich Marek.

– Ni miejska, ni wiejska mafijka podmiejska. No i?

– Kiedy przymykali Kolosa i jego wafli, wypłynęło nazwisko tego twojego Żukowskiego.

– Żaden on mój.

– Dobra. Koniec końców nic mu nie przyklepali, koleś się wywinął, ale ewidentnie miał z nimi kontakty.

Coraz bardziej klarował mi się portret restauratora. W niezbyt pastelowych barwach.

– Teraz ma knajpę w Pruszkowie.

– Gdzie Marki, gdzie Pruszków – Koziej chyba nie był przekonany, że lokalizacja knajpy ma jakiś związek z gangsterskimi powiązaniem.

– Może kręcił nie tylko z Kolosem. Oni się tam swego czasu w tych grupach mocno tasowali, z tego, co wiem.

– Cóż, mogło tak być.

– A pamiętasz może, w czym gangusy z Marek się specjalizowały?

– Głównie chyba wymuszenia i panienki. Zdaje się, że też puszczały prochy na Warszawę, ale dokładnie nie pamiętam. Wygooglaj sobie.

– Taaa, i co jeszcze mam zrobić? Dzięki ci, panie, za takie rady – udało mi się obrażonego. – A na poważnie, teraz wszystko zaczyna mi się spinać. Zaginiona Tatiana, dziwne transfery młodych Ukrainek do Warszawy. Wszystko wskazuje, że Żukowski jest burdeltatą, a może nawet handluje żywym towarem.

– Niewykluczone, Konrad.

Zastanawiałem się ledwie przez chwilę, co dalej robić. Musiałem pogadać z Żukowskim, bo jeśli ktokolwiek wie, co przytrafiło się Tatianie i Maksymowi, to jest to najprawdopodobniej szemrany restaurator.

– Dzięki, Leszku, bardzo mi pomogłeś. Nie wiem, jak...

– ...ci się odpłacę – wszedł mi w zdanie. – Daruj sobie takie teksty, bo raz, pomagam ci bezinteresownie, dwa, nie masz szans mi się wypłacić, nawet jakbyś miał ze trzy życia.

– Miej wiarę w człowieka, synu – przemówiłem do niego niczym ksiądz z ambony.

– Nie błaznuj, z katolikiem gadasz.

– Jasne, nie było poprzedniego zdania.

Przez moment milczeliśmy. Znałem Leszka na tyle dobrze, że wiedziałem, że zbiera się do zadania mi trudnego pytania. Trudnego do wypowiedzenia przez niego.

– I co zamierzasz? – wreszcie wydusił z siebie.

– Porozmawiam sobie od serca z Żukowskim.

– Sam jeden?

– Pracowników się jeszcze nie dorobiłem.

Koziej sapał w słuchawkę. Zdawałem sobie sprawę, że go zdenerwowałem.

– Posłuchaj mnie... – zaczął z lekką niepewnością – do końca nie wiesz, z kim masz do czynienia.

– Trochę już o Żukowskim wiem.

– Człowieku! Nic o nim nie wiesz i nie masz pojęcia, w co się pakujesz!

Ryzykowne zachowania, nie tylko seksualne, były moją specjalnością. Ten komentarz zachowałem dla siebie. Podobnie jak informację, że ledwie kilka dni wcześniej zaryzykowałem i zebrałem po łbie.

– Będę ostrożny, obiecuję – zapewniłem, ale bez przekonania.

– Już ja cię znam – Leszek mi nie uwierzył. – Czasami wydaje mi się, że przez swoją ciągłą frustrację, a do tego permanentną samotność celowo pakujesz się w niebezpieczeństwa.

– Daruj sobie – uciąłem temat. Nie miałem ani energii, ani ochoty na roztrząsanie, dlaczego jestem, jaki jestem. – A tak do twojej wiadomości: mam dla kogo żyć.

– Jakaś nowa kobieta? Na dwa czy trzy miesiące?

Koziej trafił celnie. Trochę zabolalo. Czasami bywał złośliwy, tak samo jak ja, więc mu darowałem.

– Wciąż ta sama.

– Kto taki? Tylko mi nie mów, że wróciłeś do Pauliny.

Leszek zawsze był cięty na moją młodszą o dwadzieścia lat eks.

– Babka Felicja – wyjaśniłem i roześmiałem się w głos.

– Konrad, to wcale nie jest śmieszne.

Koziej westchnął ciężko i rzucił na koniec:

– Trzymaj się, w jednym kawałku – i się rozłączył.

Parny wieczór przechylał się w stronę zmierzchu. Niebo zasnuły ciężkie chmury, dając nadzieję na deszcz, który w Krakowie nie padał od dobrych dwóch tygodni. Trawniki powoli zamieniały się w zbrązowiałe klepiska. Miejskie kwietniki, chociaż podlewane od czasu do czasu, marniały w oczach. Niekończące się upały mocno dawały się wszystkim we znaki. Chyba tylko dziatwa była zadowolona. Wracając z kolejnej obserwacji do domu, zobaczyłem grupkę dzieci w różnym wieku, które baraszkowały w ledwie widocznych strózkach kurtyny wodnej ustawionej na Rynku Podgórskim. Klapnąłem na pobliską ławkę niczym znużony emeryt i przyglądałem się dziatwie, ryzykując, że ktoś weźmie mnie za pedofila. Dlaczego dotąd nie zdecydowałem się na dzieci? Kiedyś bardzo chciałem mieć dziecko. Syna albo córkę, bez różnicy. Z Marią. I skończyło się, jak się skończyło. Potem już nigdy nie przeszło mi przez myśl, żeby przedłużyć mój ród. Czasami Felicja, która bardzo pragnęła wnuka, pytała mnie, dlaczego nie postaram się o dziecko. Postaram się... Dobre sobie, szczególnie w sytuacji, kiedy nie zależało mi na stałych związkach. „Bo nie”, tylko taką miałem dla niej odpowiedź. Moja starowinka była na tyle delikatna, że nigdy nie drążyła tematu.

Po powrocie do Krakowa i telefonie do Kozieja postanowiłem jak najszybciej spotkać się i rozmówić z Żukowskim. Co tu kryć, w tym momencie to był mój jedyny trop w sprawie Tatiany. Miałem przekonanie, niemal graniczące z pewnością, że karczmarz sporo wie na temat jej zniknięcia. Zadzwoiłem, odebrał, ledwo się przedstawiłem i zacząłem wyłuszczać, o co mi chodzi, rozłączył się. Liczyłem się z takim

obrotem sprawy. Byłem spokojny i cierpliwy. Wybierałem numer Żukowskiego raz po raz, aż wreszcie raczył znowu odebrać i ryknął:

– Ty jeba... – urwał w pół słowa.

– Wiem, co się stało z Maksymem – powiedziałem szybko.

Kłamstwo, jasne. Jednak zdarzają się sytuacje, w których prawda nie wyzwala. Nikogo. I od niczego.

– Ciekawe skąd – prychnął, ale rzucona przeze mnie zanęta zatrzymała go przy telefonie.

– Mam swoje sposoby.

– I pewnie chcesz kasę za informacje, co? Pachnie mi to grubym wałkiem. Skąd niby mam wiedzieć, że mnie nie wkręcasz.

Rzuciłem kolejną zanętę, mówiąc:

– Maks odebrał niejaką Tatianę z Medyki.

Więcej nie zamierzałem mu sprzedawać. Słyszałem, jak ciężko dyszy.

– Mów.

– O nie, nie przez telefon.

– Nie będziesz mi tu, smętna kutasino, dupy zawracał spotkaniami.

– Twoja wola – udałem, że sprawa generalnie mało mnie obchodzi. – Nie spotkamy się, więc niczego więcej się ode mnie nie dowiesz.

– Mogę cię znaleźć, jeśli zechcę.

Groźby już na tym etapie? Jeśli w tym stylu negocjowałem z dostawcami mięsa czy warzyw, współczułem im z całego serca.

– Spróbuj – zachęciłem go.

– Dobra, niech będzie po twojemu. Jutro o dziesiątej w mojej knajpie przy Szembeka. I nie spóźnij się. Jestem zajęty człowiekiem – objaśnił i rozłączył się bez pożegnania.

Mały sukces, a cieszy. Miałem jeszcze sporo dnia przed sobą, więc zająłem się najnowszym zleceniem i pochodziłem za Ludwikiem Kozłowskim – tym krawcem męskim podejrzewanym przez zrozpaczoną żonę o zdradę.

Kozłowski musiał nieźle wywijać igłą z nitką, bo jego zakład krawiecki znajdował się na Starym Mieście, przy ulicy Dominikańskiej, w kamienicy vis-à-vis bazyliki. Krawiec miał stronę w internecie, więc wiedziałem, że kończy robotę o osiemnastej. Czekałem na niego oparty o żeliwną balustradę przed wejściem do bazyliki. Popatrywałem na witrynę zakładu. Żadnej pełnej nazwy, jedynie nazwisko krawca złożone z nie nazbyt dużych liter. Pewnie miał stałą, pewną klientelę i nie zależało mu

na nachalnej reklamie. W witrynie stał bezgłowy manekin odziany w granatowy, trzyczęściowy garnitur i białą koszulę. Bez krawata. Obok spora roślina doniczkowa, jakiej nigdy wcześniej nie widziałem. Kiedy przechodziłem obok witryny, przyjrzałem się ciuchom. Na pierwszy rzut oka – garniak jak garniak, ale co ja tam wiedziałem o modzie męskiej.

Kilka minut po osiemnastej Kozłowski zamknął zakład i powoli ruszył w stronę Rynku. Chyba niespecjalnie spieszyło mu się do domu. Szedłem blisko za nim, bo nie musiałem się specjalnie tajniaczyć. Krawiec niczego się nie spodziewał, niczego się nie obawiał. Zwyczajnie nie miał pojęcia, że został wzięty na celownik. Podobnie jak wielu innych smętnych facecików, których namierzałem i którym wydawało się, że są cwani, bo przez pewien czas udawało im się utrzymywać romanse w tajemnicy. Do czasu. Prędzej czy później i tak ktoś ich przyłapywał. Na gorącym uczynku. Chociażby ktoś taki, jak ja.

Przecieliśmy Rynek i weszliśmy w ulicę św. Jana. I gdzie cię niesie, zuczku zdradliwy?, zastanawiałem się. Nie spodziewałem się, że przy pierwszej okazji mogę trafić na dowód zdrady Kozłowskiego. Na razie robiłem wstępne rozpoznanie, poznawałem jego zwyczaje. Krawiec zakotwiczył w barze kawowym Rio, starej, niewielkiej kawiarence, która w pewnych kręgach miała status kultowej. Wystrój wnętrza wciąż wyglądał jak za czasów PRL-u. Często przesiadywali tu ludzie o artystycznych ambicjach. Czy Kozłowski również uważał się za kogoś w rodzaju artysty? Niewykluczone. Wszedłem za nim. Średnia wieku klientów sprawiła, że poczułem się jak młodzieniaszek. Wziąłem kawę, bo zawsze mieli tu dobrą, i usiadłem przy małym stoliku ustawionym obok okna. Krawiec zaś z filiżanką w ręku wyszedł na zewnątrz i dosiadł się do dwóch mężczyzn – starszego o długich, siwych włosach spiętych w cienki kucyk i młodszego o rysach tak delikatnych, że niemal kobiecych. Cała trójka sprawiała wrażenie dobrych znajomych. Przez otwarte na oścież drzwi baru dolatywały do mnie strzępy ich rozmowy. Mówili o weekendowej imprezie, na której ktoś się porzygał, a ktoś inny obraził na wszystkich. O wystawie, na którą koniecznie trzeba iść, bo wszyscy o niej mówią. Oplotkowywali znajomych. Ot, ludzieńkowie udający boheme, której od dawna w Krakowie nie ma.

Kozłowski dopił kawę, przybił piątkę z siwowłosym, a młodzieniaszka cmoknął gdzieś w okolice policzka. Nieco dziwny sposób pożegnania jak

na mężczyznę, ale co ja tam wiedziałem o obyczajach krawców i ich znajomych.

Ze św. Jana krawiec skręcił w lewo, w św. Tomasza. Zapaliłem papierosa i spacerowym tempem szedłem za nim aż do placu Szczepańskiego. Okazało się, że ma tam zaparkowane auto, wypasionego mercedesa klasy S. Ogromna szkoda, że nie miałem w ręku takiego fachu jak Kozłowski. Umiałem jedynie chwycić zbójów i wkurzać porządnych ludzi, a z takimi kwalifikacjami nie zanosilo się, że kiedykolwiek będę bogaty. Trudno, pogodziłem się z tym już dawno temu.

Kozłowski odjechał, a ja tkwiłem na chodniku przy placu Szczepańskim i zastanawiałem się, ile czasu zajmie mi przyłapanie krawca. Nie był ostrożny, więc jeśli faktycznie miał stałą kochankę, zbieranie dokumentacji powinno pójść gładko i szybko. A może chodziło o kochankę? Miałem niejasne przeczucie, że czeka mnie jedna z bardziej nietypowych rozwodówek w mojej nie tak znowu długiej karierze prywatnego detektywa.

Wróciłem do mojej dziupli na Podgórzu i spakowałem niewielką torbę, ot tak, na wszelki wypadek. Nie wiedziałem, ile mi zejdzie nazajutrz w Warszawie i czy nie będę musiał jechać ze stolicy gdzieś dalej w trasę, w poszukiwaniu Tatiany albo chociaż jej śladów. Zakładałem, że Żukowski wie coś o tajemniczym zniknięciu Ukrainki.

Zmierzch powoli chylił się ku nocy. Stałem przed otwartym na oścież oknem. Wciąż było nieznośnie parno. Zagrzmiało. Nadchodziła burza. Z zakamarków pamięci wychynął mi fragment wiersza Marcina Świetlickiego: Nad horyzontem błyska się i słychać szcęk żelaza / Nigdy nie będzie takiego lata. Coś jakby przepowiednia?

2 lipca 2016, sobota, Warszawa

Suchy, niemal pustynny wiatr hulał po ulicach Warszawy. Miałem dojmujące wrażenie, że w którąkolwiek stronę bym skręcił, zawsze wieje mi w twarz. Pewnie złudne. Cóż, nie lubiłem stolicy. Raczej z wzajemnością.

Czułem się jednocześnie rozkojarzony i poirytowany. Nad Krakowem całą noc krążyły burze, błyskawice i grzmoty wybudzały mnie co jakiś czas. Około trzeciej nad ranem poddałem się i ruszyłem w drogę do Warszawy. Mimo trzech kaw wypitych na stacjach benzynowych pod powiekami czułem piasek. Zapewne pustynny.

Dotarłem na miejsce grubo przed godziną spotkania wyznaczoną mi przez Żukowskiego, miałem więc czas, by choć trochę posprawdzać restauratora. Jasne, trochę o nim wiedziałem, ale spora część mojej wiedzy opierała się na wiadomościach z drugiej ręki, niesprawdzonych poszlakach i hipotezach. I przecuciach, nie zapominajmy o nich. Zamierzałem sprawdzić jedno z mieszkań należących do niego. Znajdowało się na Gocławiu, niedaleko placu Szembeka, więc wiele drogi nie nadkładałem.

Podjechałem pod czteropiętrowy blok wybudowany z wielkiej płyty. Klasyka budownictwa późnego PRL-u. Przy wejściu do klatki schodowej był domofon, ale drzwi się nie domykały, więc nie miałem problemu z wejściem. Doczłapałem na drugie piętro. Zadyszka przypomniała mi, że miałem rzucić fajki. Kiedyś. Zapukałem do drzwi po lewej. Bez odzewu. Zapukałem głośniej. Szczęknął zamek i w otwartych drzwiach stanęła rozespana blondynka w kusej koszulce nocnej.

– Dzień dobry, ja do Teresy – wypaliłem bez namysłu.

Kobieta zmarszczyła brwi i przez dobrą chwilę przetrawiała informację.

– Tu żadna Teresa nie mieszka – odparła z wyraźnym wschodnim akcentem.

– No, jak to nie – rznąłem głupa. – Przecież sama podała mi ten adres. O, zaraz sprawdzę – wyjąłem z kieszeni spodni notes, przewróciłem kilka kartek i machnąłem nim blondynce przed twarzą. – Tu stoi jak byk.

– O jakiego byka rozchodzi się?

Zdawała się całkowicie zdezorientowana.

– Chodzi o to, że chciałbym porozmawiać z Teresą. Mam pilną sprawę.

W przedpokoju pojawiła się kolejna blondwłosa dziewczyna, odziana w fikuśny szlafrok, który więcej odkrywał, niż zakrywał.

– Przecież mówię, żadnej Teresy tu nie ma.

Ta, która otworzyła drzwi, starała się zatrzaskać mi je przed nosem. Udało mi się wepchnąć but między próg a drzwi. Stary, sprawdzony sposób.

– Nie, nie – rzuciłem. – Muszę porozmawiać z Teresą. Kim wy w ogóle jesteście? I czemu mieszkacie u Teresy?

– My tu nie mieszkamy – wyrwało się blondynie.

Z drzwi znajdujących się po lewej stronie przedpokoju wychyliła się, dla odmiany, brunetka w krótkim, nieokrywającym brzuch topie i koronkowych czerwonych majtkach. I zaraz zniknęła.

Dom niezbyt skromnie odzianych kobiet. Równie dobrze mogłoby to być mieszkanie, które wynajmowały Ukrainki sprzątające po domach lub pracujące w sklepach, jak i mały, zakamuflowany burdel. Co do tego nie miałem jeszcze jasności.

– Pan już pójdzie, bo kłopoty będą – odzwierciadlała była coraz bardziej zdenerwowana.

– Jakie kłopoty? Przecież tylko chcę porozmawiać z Teresą.

Ukrainka westchnęła ciężko.

– No, toż tłumaczę, że tu takiej nie ma.

– A mogę wejść i sprawdzić?

– Neeee.

Czułem, że narasta w niej panika, że zaraz wybuchnie albo zrobi coś bardzo głupiego, jednak nie odpuszczałem.

– Proszę – zrobiłem zbolalą minę. – Pokłóciłem się z Teresą. Nie odbiera telefonów ode mnie. A ja koniecznie muszę się z nią zobaczyć i pomówić.

Blondyna tylko kręciła głową. Bez słowa.

A wtedy usłyszałem dźwięk, na który czekałem. Trzaśnięcie drzwi na klatkę schodową i tupot szybkich kroków na schodach. Zerknąłem w dół. Na półpiętrze pojawił się niewysoki, ale barczysty gość. Zatrzymał się. Mierzyliśmy się wzrokiem. Miał wyraźne blizny na łukach brwiowych i kościach policzkowych. Były bokser?

Powoli pokonał ostatnie schodki i stanął obok mnie. Blisko. Takie numery od dawna nie robiły na mnie wrażenia.

– Jakiś problem? – spytałem.

– Pomyliłeś, koleś, adresy – bokser spokojnie objaśnił.

– Wcale nie, to mieszkanie Teresy.

– Żadnej Teresy. Tu mieszkają moje koleżanki. I tylko one.

Koleżanki, dobre sobie, pomyślałem.

Zrobiłem pół kroku, odwracając się w jego stronę. Blondyna wykorzystała moment, kiedy zabrałem stopę z progu, i zatrzęsła drzwi. Właściwie dowiedziałem się tego, czego chciałem, więc mógłbym już sobie pójść. Zdarzało mi się jednak być upierdliwym i przekornym, i dlatego stałem teraz przed domniemanym bokserem i gapiałem się na niego. Żeby go trochę podrażnić. A także dlatego, że najlepszym sposobem na odgonienie senności było zafundowanie sobie solidnego wyrzutu adrenaliny.

Koleś szybko stracił cierpliwość i powiedział zmęczonym głosem:

– Naprawdę nie chce mi się ciebie łać, więc spływaj.

Do pewnego stopnia cenilem zbójów, którzy zaczynają od negocjacji, a nie od mordobicia.

Uniosłem otwarte dłonie, wyminąłem go i zacząłem schodzić. Myślałem, że będzie mnie eskortował do wyjścia, jednak nie ruszył się spod mieszkania rozneglizowanych pańienek. Może zwyczajnie mu się nie chciało.

Byłem już piętro niżej, kiedy do moich uszu dobiegła przestroga:

– I żebym cię więcej tu nie oglądał.

Wiedziałem, że nie zatęsknię za jego widokiem.

Krążyłem po bocznych uliczkach w okolicach placu Szembeka, szukając miejsca do zaparkowania. Nie było łatwo. Miałem przynajmniej czas, aby obmyślić jako taką strategię rozmowy z restauratorem, który okazał się, jak podejrzewałem wcześniej, także burdeltatą. Mieszkanie w nierzucającej się w oczy lokalizacji, zainstalowane tam kobiety – najpewniej – z zagranicy, ochroniarz w pobliżu i w stałej gotowości do akcji, którego jedna z nich wydzwoniła – sytuacja była bardziej niż jasna.

Wreszcie udało mi się wcisnąć na chodnik między pordzewiałego dostawczaka a betonowy kosz na śmieci, mimo że musiałem się nieźle nakręcić kierownicą. Zamknąłem auto i spojrzałem na nie z niepokojem. Wprawdzie Praga przez ostatnich kilkanaście lat zmieniła się na lepsze, ale akurat w tej okolicy wciąż nie było zbyt bezpiecznie. Miałem cichą nadzieję, że przez najbliższe kilkadziesiąt minut nikt nie zainteresuje się samochodem na obcych blachach. Oby.

Restauracja, a właściwie restauracyjka Żukowskiego mieściła się na parterze dwupiętrowej obskurnej kamienicy, nieopodal Kościoła Najczystszego Serca Maryi. Może i Matka Boska miała czyste serce, jeśli w ogóle istniała, za to z pewnością otoczenie kościoła do najczystszych nie należało. Stałem przed knajpą i cmoknąłem z zachwytu. Żukowski musiał mieć poczucie humoru, skoro nazwał swój lokal Don Soprano. Przed wejściem stał stojak reklamowy w kształcie stereotypowo wyglądającego włoskiego mafiosa. Z obowiązkowym, cienkim wąsikiem. Tyle tylko że ten zamiast gnata trzymał w dłoni kartkę z wypisanym menu na dzisiaj. Dominowała pizza, jakżeby inaczej.

W środku mieściło się ledwie kilka okrągłych stolików okrytych lnianymi obrusami w biało-niebieskie pasy. Na wprost wejścia był bar i spory piec do pieczenia pizzy. Wciśnięte w kąt szczapy drewna

sugerowały, że opalali go jak trzeba, może więc i pizza nie była tu najgorsza. Nie zamierzałem tego sprawdzać. Na moje powitanie barman albo kelner – kto go tam wiedział – w białej jak śnieg koszuli zareagował ledwie dostrzegalnym skinieniem głowy. Nim podszedłem do baru i się przedstawiłem, z zaplecza wytoczył się niewysoki mężczyzna, nie bez trudu targający przed sobą solidne brzuszysko.

– Nożesz jebał cię w pizdę pies – warknął.

Zdarzały mi się miłsze powitania.

– Dzień dobry, panie Żukowski – ani trochę nie wytrącił mnie z równowagi, nie tacy próbowali i im się to nie udawało. – Przypomnę tylko, że mogę z panem pogadać, ale wcale nie muszę – zablefowałem. – To jak będzie? Porozmawiamy jak człowiek z człowiekiem czy się pożegnamy?

Restaurator popatrzył na mnie spod byka, pewnie zrobił błyskawiczny bilans możliwych zysków i strat, po chwili machnął ręką w stronę najbliższego stolika i wycedził przez zęby:

– Siadaj pan.

Darowałem sobie podziękowanie za tak kulturalne zaproszenie.

– Wacek, whisky z colą – rzucił w stronę barmana.

Kultowy drink rodem z lat dziewięćdziesiątych, których Żukowski najpewniej tak do końca nigdy nie opuścił.

– Dla ciebie też? – raczył zapytać.

– Prowadzę – odparłem i wzruszyłem ramionami.

– A to jakiś problem?

– Dla mnie tak.

– Się mi trafiła piczka zasadniczka – skomentował pod nosem i usiadł naprzeciwko mnie.

Barman o wdzięcznym imieniu Wacław postawił przed szefem kryształową szklanicę z podwójną, a na moje oko chyba nawet potrójną whisky. Na pewno doskonale znał przyzwyczajenia szefa. Żukowski pociągnął solidny łyk, odstawił szklankę na stół, ale zaraz zafundował sobie powtórkę. No cóż, w Warszawie było równie gorąco jak w Krakowie, więc pewnie chłopina był spragniony.

– Czemu się wpierdalasz w nie swoje sprawy? – spytał i wycelował we mnie gruby paluch.

– A o co dokładnie chodzi?

– Nie rznij głupa! Chciałeś dzisiaj wleźć do mojego mieszkania.

– Aaa, to. Powiedzmy, że lubię wiedzieć raczej więcej niż mniej.

– A wiesz, kutasino, że to czasami szkodzi zdrowiu?

Nie skomentowałem.

– Też popytałem, kim jesteś. Wywalili cię z psiarni i teraz latasz jako prywatny. Przy bardzo drobnych sprawach. Żaden z ciebie detektyw Rutkowski.

– Nim to bym akurat nie chciał być. Jestem przywiązany do swojej fryzury – przeczesalem zbyt długie już włosy. – A z psiarni sam zwiąłem, bo nie za bardzo mi się podobało, kto trzymał moją smycz.

– Hardy jesteś – skomentował, chyba nie bez odrobiny podziwu.

Bez pytania wyciągnąłem fajki i zapaliłem. Waclaw zaraz pojawił się przy stoliku z popielniczką. Zaiste dobrze wytresowany.

– Dobra, możemy się teraz przekomarzać, ale podobno nie masz czasu – wydmuchałem chmurę dymu ku sufitowi. – Ty mi coś dasz, ja ci coś dam, obaj będziemy zadowoleni.

– Kurwa, chcę odwrotnie. Ty pierwszy – zarządził.

Nie miałem z tym problemu, bo i tak wszystko, co miałem mu do powiedzenia, było jedną wielką ściemą.

– Maksyma nie ma od ponad dwóch tygodni.

– Nie wkurwiał mnie. Powiedz mi coś, czego nie wiem – zachnął się Żukowski.

– Moim zdaniem Maksyma w ogóle nie ma już na tym łożu padole. Prawdopodobnie jego ciała nie znajdę, ale mogę spróbować namierzyć jego samochód. I dowiedzieć się, co złego mu się przytrafiło i dlaczego. Wciąż mam znajomych w policji. Także w Sosnowcu.

Gdyby moje przechwałki usłyszał młodszy aspirant Kosturkiewicz, zapewne nie byłby przesadnie uradowany. O Matei nawet nie wspominając.

– Sosnowiec powiadasz. Ciekawe...

– Nie inaczej. A dlaczego niby takie ciekawe?

Restaurator znowu solidnie popił whisky.

– Dojdziemy do tego, ale najpierw powiedz mi, dlaczego zainteresowałeś się Maksymem.

– On mi zwisa ciężkim kalafiorem. Szukam Tatiany.

– Kogo? – raczej nie udawał zdziwienia.

– Ukrainki, którą sobie tutaj chciałeś sprowadzić przez znajomego studentkę ze Lwowa. I którą miał ci przywieźć Maksym.

– Skąd ty to wiesz?

– Wiem, kogo i jak pytać. Po prostu znam się na swojej robocie – zastosowałem w praktyce jedną z maksym babki Felicji: „Jak się sam nie pochwalisz, nikt cię nie pochwali”.

– Kurwa, ludzie nigdy nie nauczą się trzymać języka za zębami – Żukowski się zirytował.

Normalna sprawa – im więcej osób zaangażowanych jest w interes, tym większa szansa, że tajemnica się wyda. Ktoś taki jak Żukowski powinien o tym wiedzieć.

Restaurator w milczeniu gapił się w ścianę. Zgasiłm peta, postukałem palcami o stół. Zaczynałem mieć coraz większe wątpliwości, czy Żukowski sprzeda mi cokolwiek, co będzie mi pomocne w poszukiwaniach Tatiany.

– I co z tym Sosnowcem? – zapytałem, mając już dosyć ciszy.

– W sumie, kutasie zbolały, mnie oszukałeś – co ciekawe, nie wyczuwałem w jego słowach wściekłości. Postanowiłem dać mu się wyzalić i wygadać, bo tłumaczyć się nie zamierzałem. – Niewiele wiesz o Maksymie, ale trudno.

– Nie był moim priorytetem. Mogę się jednak dowiedzieć, specjalnie dla ciebie. I nawet nie wezmę od ciebie ani grosza, jeśli mi podrzucisz coś, co pozwoli mi namierzyć Tatianę. Albo chociaż skierujesz na jakikolwiek nowy trop.

Żukowski pacnął otwartą dłońią w stół i zaniósł się śmiechem.

– Kurwa, dobre. Nie chcesz ode mnie kasy. No, do chuja niebieskiego, śmieszny jesteś jak klaun z ruskiego cyrku.

Różni ludzie porównywali mnie już do gorszych typów, więc się nie przejąłem. „Jak się śmieją z ciebie, śmieję się z nich”. To też ze skarbnicy mądrości mojej starowinki.

– Dobra, będzie tego – Żukowski w sekundzie zgasił uśmiech na twarzy.

– Wiesz, kutasino, chciałem cię wypierdolić stąd na ryj, ale chyba możesz mi się przydać.

Wreszcie dochodziliśmy do konkretów. Może jednak nie przejechałem się do stolicy na darmo.

– Mam poszukać Maksyma?

– Chuj z Maksymem. Nie będzie jego, będzie inny.

W tej kwestii zgadzałem się z Żukowskim. Nie raz, nie dwa przekonałem się, że nie ma ludzi niezastąpionych.

– Jak już się dowiedziałeś, niuchając nie tam, gdzie trzeba – zrobił krótką pauzę – zatrudniam sporo kobiet. A część z nich przyjeżdża z zagranicy.

– I pracują jako... – nie dokończyłem.

– I pracują w moich knajpach na zmywaku. To oficjalna wersja i tego się trzymaj – wbił we mnie wzrok. – Jeśli będziesz drażył, co z tymi różnymi Tatianami się dzieje, zrobi się nieprzyjemnie. Dla ciebie.

Żukowski chyba zwyczajnie lubił grozić ludziom.

– Nie zamierzam, obiecuję. Absolutnie nie interesuje mnie, jakie lody kręcisz. Mam tylko namierzyć Tatianę, nic więcej.

Zwykle tego rodzaju obietnic nie dotrzymywałem, ale Don Żukowski nie musiał o tym wiedzieć.

– No i w pytę – podsumował w swoim stylu. – I teraz dochodzimy do tematu, w którym możesz mi pomóc. Przez długi czas dziewczyny spokojnie pracowały u mnie na zmywaku. Kasa płynęła, wszyscy byli zadowoleni – ciekawe, czy te trzy kobiety, które widziałem dzisiaj w mieszkaniu na Gocławiu, zgodziłyby się z Żukowskim. – Niestety, ostatnio sytuacja się zmieniła i ni chuja mi się to nie podoba.

– Co się stało? Podwyżka cen wody?

– Ty nie bądź taki hop do przodu – Żukowski paskudnie wykrzywił twarz. – W twojej okolicy działa taki gość, który, podobnie jak ja, zatrudnia sporo kobiet na zmywaku. Do tej pory trzymał się południa kraju i wszystkim właścicielom... restauracji to pasowało. Ale jemu i jego kumplowi przyszło do pustych łbów, żeby zacząć rozpychać się w Warszawie. Bardzo, kurwa, niedelikatnie. Do tej pory nie tykał moich biznesów, ale zdaje się, że zaczął. I zrobiło się naprawdę chujowo.

– I nie radzisz sobie z nim?

– Nie interesuj się, bo kociej mordy dostaniesz – dokończył drinka i gestem poprosił o dolewkę. Pomyślałem, że jeśli będzie tankował w takim tempie, nie doczeka w przytomności obiadu. Chociaż wyglądał na zaprawionego w bojach. – Robię, co muszę. Napatoczyłeś się przypadkowo i wydaje mi się, że możesz mi się przydać. Jeśli faktycznie ciągle masz kontakty w psiarni.

Nie zamierzałem mu przedstawiać referencji ani listy moich przydatnych kontaktów, więc jedynie skinąłem głową.

– A jeśli odmówię? – wolałem się upewnić co do zamiarów Żukowskiego.

– Zachęcę cię. Albo zmuszę.

I znowu groźba. To było już nieco nudne.

– Dobra – zgodziłem się, wstępnie, bo chciałem wyciągnąć od niego, ile się tylko da. – Opowiedz mi o tym... właścicielu restauracji z południa, a ja zastanowię się, czy mogę ci pomóc.

– Do chuja pana, wszedłeś na moją ścieżkę, więc nie masz możliwości, żeby zawrócić.

Nie skomentowałem.

Żukowski odchrząknął i kontynuował:

– Ten zwyrol obstawia zmywaki w Małopolsce i na Śląsku. Z tego, co wiem, sporo zmywaków zarówno ekskluzywnych, jak i takich w barach przydrożnych. Główną siedzibę ma w Sosnowcu, dlatego, jak mi się wydaje, możesz mi się przydać.

– A konkretniej do czego?

– Koleś jest z tych bardziej cichociemnych, mało o nim wiem. Podobnie jak inni. Długo trzymał się swojego terenu i ukrywał w cieniu, więc nikt z Warszawy się nim nie interesował. Masz zebrać na jego temat wszystko, co tylko się da. Jakie kręci biznesy, gdzie i z kim. Ilu ma ludzi pod ręką i jakie możliwości. A jak się da, znajdź też jego słabe punkty. Chwaliłeś się, że to potrafisz – dorzucił z przekąsem.

– Da się zrobić – złożyłem kolejną obietnicę bez pokrycia. – Tylko najpierw powiedz mi wszystko, co wiesz o Tatianie.

– Kurwa, jego pierdolona mać, żeś się zawiesił na tej Tatianie – Żukowski się zezłościł. – Miała przyjechać kolejna Ukrainka na zmywak, ale nie dotarli ani ona, ani Maksym. Podobne rzeczy ostatnio przydarzały się moim kumplom ze stolicy i okolic. I podejrzewamy, że stoi za tym koleś z Sosnowca, chociaż to nie jest na sto procent potwierdzone. Pokręcisz się wokół niego, może ją namierzysz. Chociaż to nic pewnego.

– Jasne – przytaknąłem, chociaż nie byłem pewien, czy jest to najpewniejszy i najprostszy sposób dotarcia do Tatiany. Albo chociażby do informacji o tym, co mogło się z nią stać. – Co wiesz o typie z Sosnowca?

Żukowski kolejny raz solidnie pociągnął z kryształowej szklancy.

– Nazywa się Kazimierz Latawiec. Kurwa, jakbym się tak nazywał, to bym se nazwisko zmienił. Ma ponoć wypasioną willę w Sosnowcu. Namierzysz ją. Ponoć masz wafli w psiarni – zdaje się, że Żukowski nie do końca kupił moją autoprezentację. – Dowiesz się wszystkiego o jego

biznesach. Co kręci i z kim. Ilu ma pod sobą ludzi. Dlaczego zaczął się rozpychać w Warszawie. I przede wszystkim znajdź jego słabe punkty.

Skinąłem głową.

– Coś jeszcze o nim wiesz? Bo trochę pachnie malizną – powiedziałem.

– Latawiec ma już swoje lata. Tak mi się poetycko powiedziało – dorzucił i zarechotał. – Aha, był ubekiem i to ponoć wcale nie takim szeregowym.

Czemu mnie to nie dziwiło? Przy sprawach różnych lokalnych mafii, prostytutce albo szemranych kantorów często natrafiało się na byłych uboli. Zawsze mieli kontakty ze zbrojami i po transformacji ustrojowej często z nich korzystali, żeby rozkręcać mniej lub bardziej nielegalne interesy.

– Ma ksywę Badylarz – dodał.

– Ciekawostka.

– Nie za bardzo. Szklarnie z kwiatami kiedyś miał.

– Aha.

– Ale wołają na niego też Różyczka.

– Nietypowe pseudo.

– Mówią, że ma wytatuowaną na przedramieniu pnącą różę. Nie dość, że ubol, pewnie jeszcze i pedał.

Żukowski splunął na podłogę. A ja na chwilę zamarłem. Z zakamarka pamięci wyskoczyły mi słowa Zatorskiego, zdemenciałego ubeka, z którym rozmawiałem półtora roku temu: „Róże, szukaj róż”.

Czy właśnie o te róże chodziło?

Zeszyt w płóciennej okładce IV

Rok 1981

Pojawia się nagle. Wychodzi z cienia, z mroku niczym duch. Daje mi znać, że jest blisko. Bardzo, w zasięgu wzroku. Niby wiem, że stosuje prymitywną strategię zastraszania. Niby to wszystko rozumiem, ale i tak się boję. Z dnia na dzień coraz bardziej. Dzisiaj znowu pojawił się przed moją pracą. Czekał na mnie. Stał spory kawałek od wejścia, jednak w takim miejscu, że nie sposób go było nie zauważyć. Stał i patrzył na mnie. Przez chwilę mierzyliśmy się wzrokiem, ale nie mogłam długo wytrzymać konfrontacji. Odwróciłam głowę i poszłam w stronę domu. Nie chciałam się oglądać, nie chciałam sprawdzać, czy za mną idzie, bo byłam pewna, że tak jest. Bardzo mi zależało, żeby nie dać mu poznać, że się boję. Permanentnie. Nie dałam rady. Rzuciłam jedno spojrzenie, potem drugie za siebie. Szedł, trzymał dystans, ale był za mną. Starając się nie przyspieszać, nie biec, dotarłam do naszej kamienicy. Tak trzęsły mi się dłonie, że z trudem trafiłam kluczem w zamek bramy. Weszłam do mrocznej, śmierdzącej moczem i grzybem sieni, zatrzasnęłam drzwi i oparłam się o nie ciężko. Uspokajałam oddech i serce trzepoczące w klatce jak przestraszony ptaszek. Z mieszkania na parterze wyjrzała sąsiadka, pewnie zaciekawiona głośnym trzaśnięciem bramy. Zresztą, zawsze bardzo interesowała się tym, co dzieje się w naszej kamienicy. Aż za bardzo. Donosiła? Może tak, może nie. Wprawdzie czasami narzekała na komuchów, ale może była to tylko zasłona dymna albo podpucha. Ostatnio złapałam się na tym, że stałam się niezwykle podejrzliwa. Wydaje mi się, że wszyscy wokół mnie są konfidentami i czyhają tylko, żeby mnie sprzedać. Mnie i moją rodzinę. Zniszczyć nas, dlatego że nie podobają nam się władze. Czy to już obsesja, czy tylko efekt zaszczucia? Sąsiadka spytała z wyraźną troską, czy dobrze się czuję. Odpowiedziałam, że tak, tylko jestem zmęczona. „Wszyscy są”, skomentowała i wróciła do siebie.

Nie tyle jestem zmęczona, ile wyczerpana. Na granicy wytrzymałości. Napięcie psychiczne mnie wykańcza. Najgorsze, że Konradek wyczuwa

moje rozchwianie. Stał się niezwykle drażliwy, niecierpliwy. Bywa, że na przemian płacze i się złości, a ja nie potrafię go uspokoić. Dręczące uczucie dla matki. Mam już coraz mniej siły.

Mój ubek... Boże, co ja wypisuję?! Czy to już coś w rodzaju syndromu sztokholmskiego? Ubek od jakiegoś czasu nie szuka okazji do rozmowy ze mną. Daje mi jednak znać, że mi nie odpuścił. Wprawdzie nie co dnia, ale jednak regularnie natykam się na niego w różnych miejscach. Najczęściej wyczekuje na mnie przed liceum, ale widuję go też w sklepie, w którym zwykle robię zakupy, albo mignie mi gdzieś na ulicy. I raczej nie są to przypadkowe spotkania. Nie wpadamy na siebie. Wszystko jest zaplanowane, zaaranżowane.

Kiedyś siedziałam z dwiema koleżankami z pracy w ogródku kawiarni Antycznej w Rynku. Był piękny, ciepły wrześnieowy wieczór. Piłyśmy kawę, rozmawiałyśmy o pierdołach. Zwykłe, przyjemne spotkanie, jakiego mi brakowało, bo przez to, że sama opiekowałam się Konradkiem, nie miałam czasu na życie towarzyskie. W tamtej chwili było we mnie tyle spokoju... I pojawił się on. Usiadł przy stoliku obok, ugniatał w palcach papierosa i gapił się na mnie. Niby nic więcej, ale wystarczyło, żeby zaczęły trząść mi się ręce. Rozlałam kawę. Koleżanki dopytywały się, co mi jest. Niby co miałam im powiedzieć? Że nachodzi mnie, śledzi, obserwuje ubek, którego panicznie się boję, mimo że nie robi mi fizycznej krzywdy? W ogóle nie mogłam się przyznać, że przyszedł do mnie raz i drugi, bo jakby to wyglądało? Ma spotkania z ubecją, więc pewnie kabluje, a na pewno jest podejrzana. Tak by pomyśleli nawet ci nieliczni przyjaciele i znajomi, z którymi jeszcze utrzymywałam jaki taki kontakt. Stałabym się niczym trędowata, którą wszyscy omijają szerokim łukiem. Nie mogłam nikomu o tym opowiedzieć. Zostałam z tym sama. I miałam coraz mniej siły, by samotnie zмагаć się z tajemnicą. I ubekiem, który był niczym cień ukrywający się w głębokim mroku.

Oczywiście, rozmawiałam o ubeku z Włodkiem. O Hubercie Czai – tak właśnie ubek się przedstawił. Nie miałam pojęcia, czy posługuje się prawdziwym nazwiskiem. Skontaktowałam się z Włodkiem zaraz po pierwszej wizycie Czai w naszym mieszkaniu. Mąż na początku bardzo się przejął. Do tego stopnia, że przyjechał. (Ostatnio łapię się na tym, że często w myślach nazywam go mężem, a nie Włodkiem czy Włodziem. Sygnał narastającego dystansu?) Bardzo cieszyłam się na spotkanie z nim, tym bardziej że nie widzieliśmy się dobre półtora miesiąca. Chciałam się

w niego wtulić, wyzalić, opowiedzieć, jak mi jest czasami ciężko – samej z Konradkiem. Zwyczajnie potrzebowałam wsparcia. Chciałam, żeby ktoś mi bliski był blisko mnie. I znowu spotkał mnie zawód! Mąż nie przyjechał do mnie sam, tylko z Marianem. „Zwracaj się do niego Marian i tyle, więcej ani musisz, ani potrzebujesz wiedzieć”, z miejsca zapowiedział Włodek. Marian miał mnie przeskolić, powiedzieć, jak powinnam się zachowywać w obecności ubeka, jak z nim rozmawiać, aby nie narobić problemów Włodkowi i sobie samej. Męża chyba nieprzypadkowo wymienił na pierwszym miejscu.

Na początku tłumaczyłam Marianowi, że dawno temu wycofałam się z działalności opozycyjnej, to raz. Dwa, że Włodek nic mi nie mówi o tym, co robi dla Solidarności albo kogokolwiek. Po prostu nic na ten temat nie wiem, więc choćby nawet Czaja mnie torturował, nic mu nie powiem, bo o niczym nie mam pojęcia. Mówiłam mu, że nasze mieszkanie już lata temu zostało dokładnie wyczyszczone z jakichkolwiek ulotek, gazetek czy książek wydanych w drugim obiegu. Powtarzałam, że mieszkanie jest czyste, ale Mariana moje deklaracje nie obchodziły. Miał mnie przeskolić, więc szkolił. Napominał, żeby w rozmowach z ubekami mówić tak mało, jak tylko się da, ale nie kłamać, bo oni i tak pewnie obserwują wszystkich z naszego, Włodka i mojego, otoczenia, więc łatwo przyłapią mnie na kłamstwie. Żeby konsekwentnie trzymać się wersji, że absolutnie nic nie wiem o pracy Włodka w tygodniku i strukturach związkowych. Powiedziałam wtedy z wyrzutem, że to żadna wersja, a jedynie zwyczajna prawda. Zaraz przeprosiłam Mariana, bo przecież wcale nie był winny tego, że mąż mnie zaniedbywał i że właściwie niczego nie wiedziałam o jego obecnym życiu. Uczulał mnie, żebym pod żadnym pozorem nie podpisywała niczego, co by mi podsuwał ubek. Choćby nawet miał to być najbardziej niewinny z pozoru kwitek.

A wreszcie zaczął mówić o takich rzeczach, że poczułam się upokorzona i zbrukana. Ostrzegał, że powinnam niezwykle uważać, z kim się spotykam, zadaję. Powiedziałam, że prawie z nikim, od czasu do czasu jedynie z koleżankami z pracy. Napominał mnie, że powinnam unikać kontaktów z mężczyznami. W pierwszej chwili nie rozumiałam, co ma na myśli. Wyjaśnił bez emocji, że ubecja może próbować mnie uwikłać w skandal obyczajowy, w jakiś romans, podstawić mi jakiegoś atrakcyjnego faceta, żeby mieć na mnie haka i zmusić mnie do tego, bym szpiegowała własnego męża, donosiła na niego. Zaniemówiłam.

Najzwyczajniej w świecie odebrało mi mowę. Jak on śmiał? Jak on mógł pomyśleć, że mogę zdradzić męża tylko dlatego, że przez jego pracę i działalność nasze kontakty się trochę rozluźniły? Jak można z takim spokojem wypowiadać tak podłe słowa? Słowa, które ranią do krwi. Zapowiedziałam, że to koniec szkolenia, że odmawiam dalszego w nim uczestnictwa. Marian, a potem i Włodek uspokajali mnie, ale ich nie słuchałam, słowa do mnie nie docierały. Zamknęłam się w łazience i łkałam bezgłośnie, gapiąc się na zgniłozieloną lamperię.

Włodek został na noc, ale zapowiedział, że wcześniej rano musi wracać do Warszawy. Sprawy, jasne, ciągle tylko kolejne sprawy do załatwienia. A ja nie byłam sprawą, byłam tylko żoną. Mogłam poczekać. Przed snem położyłam głowę na piersi Włodka. Głaskał mnie po włosach i próbował uspokajać. Zawsze lubiłam, kiedy dotykał moich włosów. Wtedy na chwilę zamierałam, byłam jedynie czuciem. Teraz jednak dotyk Włodka wydawał mi się jakiś taki... mechaniczny. Może jednak byłam uprzedzona albo zwyczajnie się od głaskania odzwyczaiłam? Nasze gesty stawały się gestami ludzi obcych.

Włodek mówił, że tak naprawdę tajniacy chcą dopaść jego. Chodzą za nim, uprzykrzają mu życie, na przemian kuszą i grożą. I że mnie i Konradkowi nic złego w gruncie rzeczy nie grozi. Że tylko mnie straszą i na groźbach poprzestaną, więc nie mam się czym martwić, czego lękać. Łatwo powiedzieć.

Kochaliśmy się pierwszy raz od... nie pamiętałam, ile miesięcy minęło od ostatniego razu. Dziwny, cichy seks z przygryzaniem dłoni. Bo za jedną ścianą Konradek, za drugą – Marian. Męża szybkie spełnienie. Zadbał o mnie, jak zwykle, dopieszczając mnie palcami. Potem oparł się o wezłowie i zapalił. Nie miałam ochoty na papierosa. Leżałam z zamkniętymi oczami i wsłuchiwałam się w siebie. Czy coś czułam? Coś tak. Czy było mi dobrze? Przez ulotny moment, który rozplynął się szybko jak dym z jego papierosa. Czy będę odliczała dni do kolejnego spotkania z Włodkiem i seksu z nim? Niekoniecznie.

Szara jesień, szare myśli. Czasami odnoszę dojmujące wrażenie, że coś wysssało wszystkie kolory ze świata.

Żyję siłą rozpędu. Wydobywam z siebie, nawet nie wiem skąd, resztki energii, chociaż najchętniej zwinęłabym się w kłębek, okryła kocem po czubek głowy i zapadła się w siebie na długo. Wiem, wiem, nie mogę tego

zrobić. Mam Konradka. Tylko on sprawia, że po długiej walce udaje mi się rankiem zwlec z pustego, zimnego łóżka.

Do tego dobija mnie niestabilna sytuacja w naszym nieszczęsnym kraju. Po święcie Solidarności, po nadziejach z nim związanych wiele nie zostało. Przynajmniej tak mi się wydaje. Kolejne podwyżki, ostatnio podrożały jajka i papierosy. Kolejne strajki... Czy to się nigdy nie skończy. Niby toczą się jakieś rozmowy, niby ma być lepiej. Ma być... Kiedyś, ale nie wiadomo dokładnie kiedy.

Coraz bardziej obawiam się o nasz byt. Konradka i mój. Mam pensję, jednak mizerną, Włodek coś tam przysyła, ale jedynie od czasu do czasu, nieregularnie i różne sumy. Oszczędzam, jak i gdzie mogę. Dzięki znajomej koleżance z pracy kupuję taniej papierosy. Ma dojścia w fabryce papierosów i kombinuje nam odrzuty z taśmy produkcyjnej. Długie na metr albo nawet więcej, niepocięte papierosy, tnę i osadzam w szklanej lufce. Czasami ubieram świąteczną sukienkę, otulam szyję jedwabnym szalem, który kiedyś podarowała mi matka, stoję przed dużym lustrem, palę i wyobrażam sobie, że jestem beztroską kobietą z międzywojnia. Próbuję się uśmiechać, ale kiepsko mi to wychodzi. Dostyc załosne.

Lech Wałęsa został przewodniczącym Solidarności. Dowiedziałam się o tym zawczasu od Włodka. Zadzwoił do mnie rozentuzjasmowany. Mówił, że to właściwy człowiek na właściwym miejscu, że na pewno pociągnie za sobą cały naród. Prawdę mówiąc, nie bardzo mnie to obeszło. Brakuje mi serca do tych spraw. Od dawna. Zdecydowanie bardziej zależało mi, żeby ktoś pomógł mi ciągnąć wózek codziennego, znojnego życia. Ale chyba nie mogę na to liczyć. A już na pewno nie na męża. Ledwie raczył rzucić zwyczajowe pytanie: „Jak tam Konradek w szkole?”. Jednak odniosłam wrażenie, że niespecjalnie wsłuchiwał się w moją odpowiedź.

Włodek, tylko Włodek, dla Włodka, o Włodku. Nasze rodzinne życie kręciło się wokół odległego, ledwie widocznego słońca, które wcale nie ogrzewało nas swymi promieniami. Gdzie w tym wszystkim było miejsce dla mnie? I dla mojego syna. Od jakiegoś czasu tak właśnie myślałam o Konradku. Mój syn. Nie nasz.

Coraz częściej zastanawiam się, czy dobrze zrobiłam, wracając z Konradkiem do Krakowa. Zwykle rozterki przychodzą po telefonach od matki. Wiem, rozumiem, martwi się o nas. O nasz byt. Nie powiem jednak, że pogaduszki z nią sprawiają, że robi mi się lżej na sercu.

I tak jestem ciągle zmęczona, a dodatkową udręką są codzienne zmagania o jako taki poziom życia. Że można żyć godnie – o tym już chyba zapomniałam. Drożyzna, puste półki w sklepach, stanie w kolejkach. Opryskliwe ekspedientki, warczący na siebie ludzie. Bo ktoś kupił czegoś więcej. Bo dla kogoś nie starczyło. Bo „pani tu nie stała”. Bo „dała sobie brzuch zrobić i myśli, że wszystko bez kolejki się należy”. Okropne! Wszechobecna wściekłość, wynikająca z bezradności, bezsiły. Czy można na niej zbudować coś pozytywnego? Mam coraz więcej wątpliwości.

Może więc powinnam znowu przenieść się do Ciechanowa? Na Włodka i tak nie mam co liczyć. I tak będę tylko z Konradkiem, więc w sumie obojętne, czy w Krakowie, czy u matki. Tam przynajmniej nie musiałabym martwić się o zaopatrzenie, nowe buty czy spodnie dla Konradka. Matka, dzięki rozbudowanej siatce znajomości, jest w stanie skombinować wszystko. Za jaką cenę? Ona mi się nie spowiada, ja nie dopytuję. Poza tym przenosząc się do Ciechanowa, urwałabym się Czai. Jasne, byłaby to ucieczka, ale czy jest w tym coś złego? Podobno w mocno konfliktowej sytuacji człowiek ma do wyboru jedynie dwie możliwości – walkę albo ucieczkę. Kwestia atawizmu. Oczywiście, to jedynie spekulacje albo moje pobożne życzenia. Pewnie nie jest łatwo zerwać im się ze smyczy. Nie będzie Czai w Krakowie, pojawi się jakiś inny, ciechanowski ubek. Sytuacja bez wyjścia?

Mam już tego dosyć! Tego nieustannego napięcia, ciągłego strachu! Wypalają mnie lęk i niepewność. Jeszcze trochę, a zostanie ze mnie zwęglony wiór.

Tym razem Czaja przyszedł wcześniej rano. Łomotanie do drzwi o mała nie przyprawiło mnie o zawał. Myślałam, że szykuje się kolejna bezsensowna rewizja, ale ubek był sam. I znowu w koło Macieju! Że on już traci cierpliwość i przestanie być przyjemny. Jakby w ogóle kiedykolwiek był. Że jeśli nie będę współpracowała, nie będę przekazywała informacji o Włodku, spotkają mnie poważne problemy. Mnie i syna. Groźby kierowane wobec Konradka zawsze mnie rozwalały. Czaja wiedział, gdzie uderzyć, żeby mnie zabolalo. Nie wiem, w jaki sposób udało mi się opanować. Nie wybuchnąć płaczem. Powtarzałam znaną na pamięć mantrę, że Włodek z nami praktycznie nie mieszka, że nie mam pojęcia, co i z kim robi Włodek. I że nie mam jak się takich rzeczy dowiedzieć.

Czaja, jak zwykle nieludzko spokojny, pokręcił tylko głową. Zgasił papierosa w wystygłej jajecznicy, która czekała na Konradka, i powiedział, że popamiętam. Że już jest źle, a będzie jeszcze gorzej.

Na długiej przerwie przyszła do mojej klasy sekretarka i powiedziała, że dyrektorka chce mnie widzieć po lekcjach. Zdziwiłam się trochę, bo zwykle dyrektorka, jeśli miała jakąś sprawę, sama mi o tym mówiła. Wprawdzie nie przyjaźniłyśmy się, ale – jak mi się zdawało – miałyśmy dobry kontakt. Rozumiałyśmy się i dogadywałyśmy.

Nie mogłam się skupić na prowadzeniu dwóch ostatnich lekcji. Niepokoiłam się.

Dyrektorka nie dawała, na pierwszy rzut oka, nic po sobie poznać. Poprosiła, bym usiadła. Przycupnęłam na samym brzegu krzesła stojącego naprzeciwko jej biurka. Bez wstępów powiedziała, że mamy problem. I że właściwie ja mam większy, dodała po chwili. Wyjęła z leżącej przed nią teczki zapisane kartki w kratkę i zaczęła wyjaśniać, o co chodzi.

W sekundę spłynęłam zimnym potem.

CZEŚĆ II

„Jaka róża, taki cierń”

Rozdział piąty

Dmuchawce, latawce, słowa na wiatr

2 lipca 2016, sobota, gdzieś koło Radomia, Mysłowice, Kraków

Miałem gdzieś, że uwiecznią mnie fotoradary. Cisnąłem, ile się tylko dało, na mocno zatłoczonej krajowej siódemce. Maksymalnie skupiłem się na prowadzeniu miśka, żeby uwolnić się od dręczącej gonitwy myśli, która wystartowała z przytupem zaraz po tym, jak opuściłem restauracyjkę Żukowskiego. Czułem się fatalnie, jeszcze gorzej niż za najmroczniejszych czasów z Marią. I co już w ogóle było beznadziejne, nie miałem pojęcia, dlaczego jedna informacja, która na dodatek mogła się okazać nic nieznaczącą bzdurą, tak mocno mną szarpnęła. Z wiekiem stawałem się zbyt miękki i rozchwiany emocjonalnie? Nawet nie chciałem o tym myśleć. Nie teraz i na pewno nie w najbliższych dniach.

Jako tako uspokoiłem się, doszedłem do ładu ze sobą i własnymi myślami dopiero gdzieś przed Radomiem. Zjechałem do pierwszego przydrożnego zajazdu. Kawa, papieros, mineralna. W tej właśnie kolejności. Po trzecim papierosie byłem spokojny niczym polski piłkarz przed meczem z Anglikami, którego nie było szansy wygrać.

Półtora roku wcześniej obiecałem sobie, że definitywnie kończę z pogonią za duchami. Czy raczej – demonami z przeszłości. Niedawno tę obietnicę powtórzyłem Felicji. Z jednej strony trochę mnie bolało, a przynajmniej uwierało, że nie odkryłem prawdy o śmierci rodziców. Prawdy? Właśnie... Półtora roku wcześniej uznałem, że nie kryje się za nią żadna tajemnica, a prawda jest, jaka jest. Wmówiłem to sobie, wytłumaczyłem. Wypadek i tyle. A teraz wystarczyła wzmianka o tatuażu z różą, którą zestawiłem z bredzeniem zdemenciałego ubeka, aby wszystko zaczęło się od nowa. Czy znowu chciałem brnąć w mrok? Nie byłem tego pewien, ale zagadki, które w nim się kryły, przyzywały mnie jak syreni śpiew. Z drugiej strony dlaczego sprawa moich rodziców tak mocno mną szarpała, odbierała spokój i wątplą równowagę? Najprawdopodobniej nie tyle obawiałem się tego, co mogłem odkryć, ile tego, jak zareaguję. Co wtedy zrobię i jak bardzo zrujnuje mi to życie,

które i teraz nie było usłane różami. Cholera, ciągle te róże... Pewnie miałem obsesję. Nie było mi z tym najlepiej.

Drugi „ja” klarował, że mam się natychmiast odwalić od sprawy moich rodziców i skupić na poszukiwaniach Tatiany oraz innych rozgrzebanych kejsach. Latawiec był moim kolejnym tropem. Jeśli tylko Żukowski nie łągał, wykorzystując mój zapał i entuzjazm do tego, by napuścić mnie na konkurencję, mogło być coś na rzeczy. Tym bardziej że przy okazji poszukiwań Tatiany bardzo często wypływał Sosnowiec. Raczej nieprzypadkowo.

Wiedziałem, że na razie mogę zrobić tylko jedno – dowiedzieć się, kim naprawdę jest Latawiec i co robi. Wtedy może natrafię na ślad Tatiany. Albo i nie. Co do tego nie miałem pewności, a jedynie wątplę nadzieje.

Z moją pokręconą psychiką nie byłem zdolny do długiego, dokładnego roztrząsania problemów. Wolałem działać. Co miało swoje plusy i minusy. Bo przez skłonność do pochopnych, nieprzemyślanych działań często zbierałem po łbie. Trudno, znosiłem ciosy, bo czerep miałem twardy jak kokos.

Będiesz tego żałował, skomentował drugi „ja” i zniknął. Wiedziałem, że jedynie na jakiś czas. Ludzki gość.

A potem wykonałem kilka telefonów.

Liczyłem na to, że Adam Tyszka, który jeszcze do poniedziałku cieszył się urlopem, znajdzie dla mnie czas. I się nie przeliczyłem. Nie do końca byłem pewien, czy katowicki policjant jest zwyczajnie skory do pomocy, czy po prostu moje pokręcone przygody dostarczają mu rozrywki. Specyficznej. Mniejsza o większość, najważniejsze, że chciał się ze mną spotkać.

Wszystko wróciło do normy i Tyszka miejsce spotkania wyznaczył mi w knajpie, tym razem na Rynku w Mysłowicach. Gdy tylko tam dotarłem, zrozumiałem, że był to concept z gatunku mocno średnich. Spory Rynek, w kształcie wydłużonego prostokąta, wyłożony kamiennymi płytami, w palącym słońcu zamienił się w patelnię, na której spokojnie można by usmażyć jajka. Wcale nie było lepiej pod knajpianym parasolem z logo wszechobecnego Tyskiego. Ale Adamowi żar zdawał się ani trochę nie przeszkadzać.

Odhaczyliśmy rytuał: pijesz?, autem jestem, weź nie pitol, synek, dobra. Wziąłem małe piwo. Oczywiście Tyskie. Zapaliliśmy. Papieros w tym upale smakował, jakby był zrobiony z trocin zmiecionych

w zakładzie stolarskim. Cóż było robić, piwo z fajką to nieodłączny zestaw. Podobnie jak z kawą. Do tego papieros po posiłku... Dobrze, uznałem, że starczy tej wyliczanki człowieka słabej woli. Gdzieś na horyzoncie majaczyły chmury. Mogłem je obserwować, bo mysłowicki rynek nie był szczelnie otoczony kamienicami. Gdzieniedzie ustawiono coś na kształt stelażu z metalowych rur, wyglądającego jak atrapa budynków.

– Co to takiego? – spytałem.

Adam jednym długim łykiem rozprawił się z połową pokala piwa, po czym odpowiedział:

– Pamiątka po komunistach, którzy chcieli upiększyć miasto.

– Myślałem, że to wojenne zniszczenia.

– Gdzie tam! W latach siedemdziesiątych wpadli na pomysł burzenia całej pierzei ponadstuletnich budynków, a w osiemdziesiątych to zrobili. Mieli pobudować nowe, lepsze, inne, ale kasy starczyło na jedną tylko kamienicę.

– A myślałem, że gdzie jak gdzie, ale na Śląsku kasy wtedy raczej nie brakowało.

– Co wy tam gorole wiecie o naszym hajmacie – Tyszka lekko się skrzywił.

Faktycznie, było nie udawać zorientowanego.

Adam szybko zmienił temat:

– Dobra, synek, śpieszę się, więc zeznawaj, z czym przybywasz i dlaczego mam ci wyświadczyć kolejną przysługę.

Nie mogłem się nie roześmiać.

– A coś ty taki zarobiony przy weekendzie? – spytałem.

– Ślubna mojego staruszka ma masę wnuków. Co i raz są jakieś fety, pierona, skaranie z tym. Ze starszym muszę za prezentem pojeździć.

– Ale to chyba dobrze, że twój ojciec ma się czym zająć. I w dobrej formie jest, jak ostatnio widziałem.

– Weź mi nie mów! Ta jego miłość tak na niego podziałała, że mnie jeszcze przeżyje.

Nie miałem pojęcia, czy Adam żartuje, bo nigdy nie wyczuwałem jego poczucia humoru i ironii.

– Dowiedziałeś się już o tych największych alfonsach z okolicy? – przeszedłem do rzeczy.

– No ja – rzucił krótko. – Wiedziałem, że będziesz o to pytał, więc się przygotowałem, żeby nie mlecć ozorem po próżnicy.

Tyszka, kiedy tylko chciał, był bardzo konkretny i zorganizowany. Bardzo to w nim ceniłem. Podał mi złożoną na cztery kartkę.

– Nazwiska, pseudona, adresy, najważniejsze lokale – objaśnił, zanim zdążyłem rzucić na nią okiem.

– Nie wiem, jak ci się...

– Ale ja wiem – wszedł mi w zdanie. – Przyjeżdżając do mnie bez żadnego interesu, ino z halbą jaką. Albo i dwiema – doprecyzował i puścił do mnie oko.

Spojrzałem na notatki, było tam kilkanaście nazwisk, całkiem sporo jak na jeden region. Jak Tyszka nazwał Śląsk, stolicą burdelnictwa? Tak naprawdę szukałem tylko jednego nazwiska i znalazłem je.

Odłożyłem kartę na stolik, puknąłem w nią palcem i zapytałem:

– Kojarzysz Latawca Kazimierza?

Tyszka zaś popukał w pusty pokal. Co było robić, poszedłem do baru. Śledztwo w sprawie Tatiany naprawdę wymagało ode mnie sporych inwestycji, a kolejny przelew ledwie majaczył na rozedrganym od upału horyzoncie. Finansowa fatamorgana.

Tym razem Adam ledwie umoczył usta w kolejnym piwie. Najpewniej zbliżał się już powoli do wyznaczonej sobie granicy procentów we krwi, z którymi jeszcze mógł prowadzić auto. Nie zamierzałem oceniać jego podejścia do przepisów i reguł, więc zachęciłem:

– Dajesz.

– Ano kojarzę, synek, ale o tyle o ile. Nigdy na niego nie trafiliśmy w sprawach przestępstw przeciwko życiu i zdrowiu. Ma sporo biznesów, ale wszystko na legalu, z pozwolenia i po cichutku. Jest ostrożny, jebaniutki. To jakiś mafijny dinozaur nie do zajechania. I ponoć ma mocne plecy. Coś tam słyszałem, że niby w ubecji kiedyś robił.

– Też mi się to obiło o uszy.

– Ooo, widzę, że nie tracisz czasu.

– Wiesz przecież, że jestem dobry.

– Powiedzmy, synek.

– Jego nazwisko wypłynęło przy poszukiwaniach Tatiany. Podobnie jak i Sosnowiec – objaśniłem.

Tyszka splunął nie nazbyt dyskretnie i skomentował:

– Gorolskie pomietła z Zagłębia, z nimi zaś haja.

– A wy ciągle macie z nimi kosę?

– Ty się, gorolu, między nóż a ranę nie pchaj, bo to niezdrowo.

Nie miałem zamiaru wyklócać się z komisarzem o byle co.

– Znając ciebie, będziesz teraz zawracał rzyć Krystynie – Adam szybko zmienił temat.

– Jakiej Krystynie? – nie miałem pojęcia, o kogo może mu chodzić.

– Na Mateję tak wołamy, bo lubi fryzury na żel jak Cristiano Ronaldo.

– Dobrze, naprawdę – pochwaliłem z lekka złośliwie, czyli w moim stylu, pseudo. – Ale nie. Mateja mi raczej nie pomoże. Jak dla mnie jest za bardzo spięty. Poznał mnie z takim jednym z miejskiej z Sosnowca, Kosturkiewiczem, z którym złapałem lepszy kontakt. Może kojarzysz gościa.

– Myślisz, że znam wszystkich gliniarzy z okolicy?! – zachnął się Adam.

– On mi może pomoże.

– A może i nie – dorzucił i wyszczerzył poźółkłe od fajek zęby.

– Dobra, nie mam czasu na przekomarzanie.

Wstałem, zgodnie z rytuałem podziękowałem za pomoc, Adam jak zwykle rzucił, że mu się nigdy nie wypłacę, przybiliśmy piątki i się rozstaliśmy. Zanim jednak ruszyłem w stronę parkingu, nie wiedząc czemu, zapytałem:

– Ty, a co jest między Mateją a jak jej tam... Tą rudą w sensie?

– Ooo, miałeś wielkie szczęście poznać naszą niezrównaną, niepowtarzalną i niezwykle wybuchową Petardę.

– Właśnie o nią mi chodzi.

– Kiedyś byli ze sobą, ale Renatka go w pierony rzuciła. Zdaje mi się, że Krzyś do końca jeszcze tego nie przetrwał. I że wciąż liczy na wielki powrót.

– To się raczej nigdy nie udaje.

– Ja tam, do ciula, nie znam się na tych sercowych sprawach. Prosty chop jestem i tyła.

Skinąłem mu głową i już się odwracałem, by pójść w swoją stronę, kiedy osadził mnie głos Tyszki:

– Ty, Konrad!

Stanąłem, spojrzałem przez ramię i rzuciłem:

– No?

– Na twoim miejscu bym się za bardzo nie interesował Petardą.

– Bo?

– Przeżuje cię i wypluje.

Wracając do miśka, zastanawiałem się, czy zależało mi na aż tak bliskich relacjach z podkomisarz Renatą Łukowską.

– Myśl, pacanie, o Wierze – skarciłem się na głos.

Zanim wyruszyłem w drogę, bez większych nadziei wybrałem numer Kosturkiewicza. Ku mojemu zdziwieniu – bo byłem prawdziwym mistrzem w przewidywaniu niepowodzeń – gliniarz z Sosnowca odebrał, jednak nie miał dla mnie nawet pięciu minut, bo właśnie był przed interwencją w domu faceta tak naspidowanego, że nie odróżniał sąsiada od nosorożca. Wyraziłem szczere współczucie. Ale zaproponował spotkanie, jeśli do niego podjadę wieczorem. Ot, następny po Tyszce, który do znudzenia powtarza refren: „Przyjedź, wtedy pogadamy”. Poważnie zacząłem rozważać wykupienie niedrogiego abonamentu na przejazdy autostradą A4.

Zastanawiałem się, co robić. Wrócić na dwie, trzy godziny do Krakowa, by dalej ogarniać sprawę krawca męskiego? Czy zostać w Mysłowicach, wyluzować trochę i zjeść porządny obiad? Na przykład roladę z modrą kapustą i kluskami śląskimi – ta prosta i sycąca potrawa kiedyś nawet mi posmakowała. Nie rozwiązałem dylematu, bo zabuczała komórka. Odebrałem i z narastającym napięciem wysłuchałem chaotycznej relacji. Wskoczyłem do samochodu i ruszyłem z piskiem opon w stronę Krakowa.

– Skąd miałam wiedzieć? – spytała Wiera z miną małej, biednej dziewczynki.

Nawet tę jej dziewczynkowatość bym kupił, gdyby nie ta zwiewna, biała bluzka koszulowa z dekoltem, który odsłaniał wszystko. Prawie. Położyłem dłoń na jej ramieniu w geście, który miał dodawać otuchy. W założeniu.

– Już dobrze, poradzimy sobie, coś wymyślimy – uspokajałem.

– Nie mogłam jej uspokoić. Cała była rozedrgana.

– Naprawdę, już dobrze.

Przez telefon niewiele dowiedziałem się od Wiery. Spanikowana Oksana dała jej znać, że niespodziewanie odezwała się do niej Tatiana, co było bardzo dobrą wiadomością, bo oznaczało, że Ukrainka żyje. Wcześniej nie byłem tego pewny. Gorzej, że gdy tylko Tatiana zdążyła wspomnieć o porwaniach, połączenie zostało zerwane.

O porwaniach? Ilu i kogo?, zastanawiałem się.

Pędziłem do Krakowa, ile fabryka dała. Kolejny raz tego dnia, zaklinając w myślach, bym nie dostał zbyt wiele pięknych zdjęć z fotoradarów. Kiedy dotarłem na ulicę Księdza Turka, o którym za cholere nie wiedziałem, kim był i czym się zasłużył, gdzie Oksana wynajmowała mikroskopijną kawalerkę w trzypiętrowym bloku, okazało się, że Wiera naćpała przyjaciółkę mieszanką leków przeciwlękowych oraz nasennych i nie było z nią specjalnego kontaktu. Nie wnikałem, która z nich je miała i dlaczego, chociaż może popełniłem błąd. Uznałem, że na ustalenie tego przyjdzie jeszcze czas.

Na podstawie mało zbornej relacji Wiery trudno mi było się zorientować, co właściwie Oksana usłyszała od Tatiany. Może Ukrainka potrzebowała pilnej pomocy. Może udało jej się podrzucić jakąkolwiek wskazówkę, pozwalającą w sposób choćby przybliżony ustalić, gdzie się znajduje. I kto ją porwał. Nie zważając na protesty Wiery, zacząłem procedurę doprowadzania Oksany do przytomności. Niezbyt delikatną. Budzenie, zimny prysznic, gar mocnej kawy.

Oksana w różowym ręczniku owiniętym wokół głowy siedziała na krześle w małej, kiszkowatej kuchni, paliła kolejnego papierosa i małymi łykami popijała gorącą kawę.

– Ale przecież już ja o tym mówiła – powiedziała z ciężkim westchnięciem.

– Powtórz raz jeszcze – poprosiłem z niezwykłą, jak na mnie, cierpliwością. Musiałem się dowiedzieć, czy wciąż półprzytomna Oksana z lekka nie bredziła.

– Jeszcze w pracy byłem. I to nieznany numer był, nie odebrałam. Ale znowu dzwonił, aż pani się zirytowała, więc odebrałam jednak. I to była... – Oksana zawiesiła się na dłuższą chwilę, wpatrując w stożek popiołu na końcu papierosa. – No, Tania. Ja dech i głos straciła. Tak całkiem. Ona tak jakoś dziwnie mówiła, jakby szeptem, jakby trochę nie ona...

– Ale to na pewno była Tatiana? – upewniłem się po raz drugi.

– Tak. Nie inaczej, bo jak szybciej i głośniej mówiła, to już że to ona wiedziałam. Tylko że ona takie rzeczy mówiła... No dziwne to było. Bardzo było.

– Przypomnisz sobie dokładnie jej słowa?

– Nie, może, ale tak raczej mniej więcej. W głowie mi ciągle huczy i serce kołacze.

Wyjąłem z jej palców niedopałek, o którym zapomniała, i zgasilem. Ująłem jej dłoń i poprosiłem.

– Proszę, to ważne.

– Że ją źli ludzie porwali, że im uciekła. Potem coś o psie, ale nie zrozumiałam. I że znowu ją porwali. A może złapali. Nie pamiętam dokładnie. Że nie wie, gdzie jest, ale są tam też inne dziewczyny. A potem, potem...

Oksana łkała bezgłośnie.

– Dobrze, spokojnie – uspokajałem ją, jak mogłem. – Świetnie ci idzie, jeszcze trochę.

– A potem był krzyk, taki straszny krzyk. I huk, jakby coś spadło na podłogę.

– To Tatiana krzyczała?

– Nie wiem, ja już nic nie wiem – wyszeptała i opuściła głowę.

Wiera, która podczas ich rozmowy stała w drzwiach kuchni, oparta ramieniem o framugę, podeszła do Oksany i ją objęła.

– Starczy – syknęła.

Nie musiała mi o tym mówić. Wiedziałem, że niczego więcej z Oksany już nie wydobędę.

Nastał wieczór pomysłów Wiery, które akceptowałem, bo bardzo mi odpowiadały. Zarządziła, że powinniśmy się nałoić. Chciała odreagować stres ostatnich godzin, histerię jednej przyjaciółki, niepewność o los drugiej. Rozumiałem ją doskonale. Uznałem, że mnie też kilka piw czy nawet głębszych nie zaszkodzi po dniu pełnym atrakcji, za którymi bynajmniej nie tęskniłem. A czy w czymkolwiek pomoże – zobaczy się. Miałem tylko trochę wątpliwości, czy pozostawianie Oksany samej jest dobrym pomysłem. Wydawało mi się, że kobieta wciąż jeszcze nie doszła do siebie, nie poradziła sobie z szarpiącymi ją emocjami. Jednak ona powiedziała zdecydowanym głosem, że chce zostać w mieszkaniu sama. Chce schować się przed złym, pokręconym światem pod kocem i spać, bardzo długo spać.

Wiera wyprowadziła mnie z mieszkania Oksany, uspokajając, że dobrze zna przyjaciółkę i wie, że nie robi nic głupiego. Głupiego, dobre sobie, pomyślałem. Nie mogłem pojąć, dlaczego tak wielu ludzi ma ogromne problemy z nazywaniem rzeczy po imieniu, samobójstwa samobójstwem. Od czasu sprawy nastolatek z Ciechanowa, które targały się na swoje życie, byłem przekonany, że właściwe słowa wypowiedane we

właściwym momencie działają skuteczniej niż półsłówka pełne delikatności – mniejsza, czy prawdziwej, czy udawanej. Tak czy siak, Wiera na pewno lepiej niż ja znała Oksanę, więc zdałem się na jej opinię.

Odstawiłem samochód pod swoją kamienicę i przez kładkę nad Wisłą poszliśmy na Kazimierz. Ta dzielnica wciąż jest najlepsza na weekendowe popijanie, bo nadmiar ludzi i hałasu szybko przestaje przeszkadzać. Wybrałem lokal Piękny Pies, który od jakiegoś czasu miał siedzibę przy placu Wolnica. Tu przychodziło się w jednym konkretnym celu – po prostu pić.

Weszliśmy i rozejrzeliśmy się po sali. Przy stoliku koło dużego okna siedział poeta Marcin Świetlicki otoczony wianuszkami ludzi, więc dziś zdecydowanie nie był w nastroju „nieprzysiadalnym”, jak to nazwał w jednym z wierszy. Teksty Świetlickiego znałem dobrze, szczególnie trylogię kryminalną, jego samego jedynie z widzenia. Natykałem się na niego nie raz, nie dwa, kiedy jeszcze regularnie zdarzało mi się robić wieczorne i nocne rajdy po krakowskich pubach. Znaleźliśmy z Wierą mały stolik wciśnięty w kąt Pięknego Psa. Piliśmy najpierw piwo, potem becherovkę z sokiem z limonki. Więcej milczeliśmy, niż rozmawialiśmy, jakby każde z nas po swojemu i na własną rękę przetrawiało wydarzenia ostatnich godzin. Moje myśli nieustannie krążyły wokół telefonu od Tatiany. Co z niego wynikało? Jak powinienem zinterpretować szczątkową i nie do końca wiarygodną relację Oksany? Dla mnie pewne było jedno: Tania jest przetrzymywana przez jakąś grupę handlującą kobietami albo już jest w jakimś domu publicznym, gdzie ją – długo szukałem w głowie odpowiedniego słowa – zmiękczają, niezbyt delikatnie, zmieniając w posłuszną, prawdopodobnie naćpaną prostytutkę. Straszne. Nienawidziłem facetów, którzy dla pieniędzy robili kobietom potworne rzeczy, traktując je gorzej niż zwierzęta. Gardziłem nimi do tego stopnia, że bez mrugnienia okiem tępiłbym ich jak karaluchy. Tyle tylko że wciąż nie miałem pojęcia, gdzie jest Tatiana. Mogłem jedynie mieć cichą nadzieję, że ciągle znajduje się w Polsce, i jeszcze cichszą, że gdzieś w okolicach Sosnowca. Dobrze, że się odezwała, choć doskonale zdawałem sobie sprawę, że to zapowiadało dla niej kłopoty. Z rozmowy z Oksaną wynikało, że próbowała uciec, ale jej się to nie udało. Jak potem zdobyła telefon, by zadzwonić? No i to bardzo gwałtowne zakończenie rozmowy. Ten krzyk. Wiedziałem, że zbóje nie patyczkują się z kobietami, które są nieposłuszne. Biją je, okaleczają,

a nawet zabijają. Przypomniałem sobie dwie nieszczęsne kobiety, których zwłoki znaleziono w parku w Sosnowcu. Wciąż miałem mnóstwo pytań i bardzo mało odpowiedzi.

– ...to jak? – dotarła do mnie końcówka zdania wypowiedzianego przez Wierę, a chwilę później zobaczyłem, jak macha mi tuż przed nosem rozcapierzonymi palcami. – Panie detektywie, jest pan tu?

– Jestem, cały czas.

Uśmiechała się, więc chyba nie była zła, że jej nie słuchałem.

– Przepraszam, zamyśliłem się.

– Co ty nie powiesz? Wybaczam. W drodze wyjątku.

– O co pytałaś?

– Idziemy do ciebie? – wypaliła prosto z mostu.

Zdębiałem, ale tylko na mgnienie oka.

– Oczywiście, zapraszam – w te dwa słowa udało mi się włożyć wystarczająco dużo entuzjazmu.

Zostawiliśmy niedopite drinki i poetę Świetlickiego z jego alkoholową karmą. Wyszliśmy w półmrok, w lepkawe powietrze, w którym wciąż, mimo delikatnego wiatru od Wisły, tliły się iskry całodziennego żaru. Było nam gorąco. Co jakiś czas przystawaliśmy, by się całować. Miałem gdzieś, czy ktoś na nas patrzy. Zresztą na Kazimierzu przed północą mało kto zwracał uwagę na bliźnich. Pełne narastającego podniecenia przystanki były czymś w rodzaju przedłużonej gry wstępnej, rozkosznym odraczaniem spełnienia.

Weszliśmy do mieszkania. Ująłem ją za rękę, by pociągnąć do sypialni. Ani drgnęła. Powoli odwróciła się do mnie plecami i oparła rękę o drewniane, masywne drzwi.

– Weź mnie powoli, ale zdecydowanie – powiedziała leniwym głosem, nie odwracając się do mnie.

Całowałem kark Wierę, czując pod językiem unoszące się włoski. Mruczała z cicha. Rozpiąłem jej kuse szorty i pozwoliłem, by opadły na stopy. Ukląłem i dotknąłem jej czarnych majtek, które były kombinacją sznureczków i skąpych kawałków materiału. Właściwie nawet nie musiałem ich zdejmować, wystarczyło zsunąć na bok, ale chciałem popatrzeć, jak się zsuwają po szczupłych udach i łydkach, by wylądować na szortach. Wiera nie odkopnęła ubrania i bielizny, jedynie lekko rozsunęła nogi. Podnosiłem się z kolan, muskając wargami tył jej ud, lekkie wgłębienie u nasady pośladków, kolejne, wyraźnie zarysowane

koraliki kręgow kręgosłupa. Wiera drżała tak jak i ja. Rozpiąłem rozporek, z którego wyskoczył członek. Byłem gotowy, Wiera także, bo wyszeptała:

– Zapraszam.

Czyż mogłem odmówić? Wchodziłem w nią milimetr po milimetrze, czując, jakbym z upalnego Krakowa przenosił się w sam środek afrykańskich tropików. Gorących i wilgotnych.

3 lipca 2016, niedziela, Kraków i Sosnowiec

Nie spodziewałem się, że po wieczorze i nocy niespodziewanych, trafionych, zwyczajnie pięknych pomysłów Wiery, które przyjmowałem z radością, nastanie poranek, będący, koniec końców, jednym wielkim rozczarowaniem. Chociaż niedziela zaczęła się iście świątecznie.

Obudziłem się z nieokreślonym poczuciem błogości, jakbym jeszcze nie do końca opuścił świat niezwykle przyjemnego, kipiącego od kolorów snu. Uniosłem powieki. Nagi leżałem na wznak na skotłowanej pościeli, a Wiera siedziała mi na nogach i pochylona delikatnie ssała czubek członka. Westchnąłem głęboko. Spojrzała na mnie z figlarnym błyskiem w oczach, puściła mnie i rzuciła:

– Jestem głodna.

– Ale...

– Ale nie tego, co myślisz – dokończyła za mnie i stanęła obok łóżka.

Była piękna i bezwstydnie naga. Obnosiła swoją nagość niczym strój od najlepszego projektanta mody, doskonale świadoma, że leży na niej wybornie.

A ja byłem senny, rozkosznie rozleniwiony i skołowany. Wszystko naraz.

Zwlokłem się z łóżka, rozejrzałem w poszukiwaniu ubrań, ale niczego nie miałem pod ręką. Wciągając brzuch, chciałem przemknąć do łazienki po ręcznik, bo szlafroka nigdy nie miałem. Wiera zagroziła mi drogę, wspięła się na palcach, pocałowała, a potem wyszeptała mi prosto do ucha:

– Nie masz się czego wstydzić. Nieźle wyglądasz – czy ona czytała w moich myślach? Ale po chwili mnie dobiła: – Jak na swoje lata.

Ze śmiechem pomknęła do kuchni, wołając:

– Czekam, coraz bardziej głodna.

Naprawdę, nie miałem pojęcia, co ta kobieta ze mną wyczyniała i do czego jeszcze była zdolna. Owinąłem się wyciągniętym z szafki świeżym

ręcznikiem i poszedłem za nią, zastanawiając się, czy mam cokolwiek w lodówce, co było jeszcze choćby w dopuszczalny sposób przeterminowane i zjadliwe. Znalazłem jajka, odetchnąłem z ulgą. O jajkach zawsze przypominała mi babka Felicja, mówiąc: „Możesz nie mieć miłości w domu, ale zawsze miej jajka w lodówce”. Prawdę powiedziawszy, nigdy nie zrozumiałem, co jedno z drugim ma wspólnego.

Wiera jadła jajecznicę tak, jak się kochała – zachłannie, pomrukując i wzdychając. Podobało mi się to. Bardzo.

Przygotowałem kawę z ekspresu, przyniosłem sobie papierosy, chociaż nie byłem pewien, czy chciałem palić. Wciąż gdzieś na czubku języka czułem obłądny smak Wiery, który dym papierosowy mógłby wytłumić. Ona zapaliła, wypuszczając smużkę dymu ku sufitowi. Podciągnęła kolana do góry i oparła stopy o siedzisko krzesła. Co tu kryć, mój wzrok od razu powędrował ku ciemnej kępcie kędzierzawych włosów. Nie było mi z tym źle, tym bardziej że podejrzewałem, wczuwając się powoli w jej gierki, że właśnie o to jej chodziło. Wbiła wzrok w moje oczy i rzuciła:

– Muszę ci o czymś powiedzieć.

Miałem nadzieję, że chodzi jedynie o to, że tradycyjnie przesoliłem jajecznicę.

– Taaak?

– Bo wiesz, lubię jasne sytuacje.

Właściwie już byłem pewien, że to, co miała mi do powiedzenia, na pewno mi się nie spodoba.

– Ja też – potwierdziłem, bo akurat była to szczerą prawdą. Od zawsze nie lubiłem gierki, podchodów i niedopowiedzeń.

– Jestem bi.

Oświadczenie Wiery przesadnie mną nie wstrząsnęło, bo zdarzyło mi się już raz być z kobietą, która sypiała także z kobietami. Inna sprawa, że ten związek nie trwał przesadnie długo, chociaż dostarczył nam obojgu sporo przyjemności. Przynajmniej tak chciałem myśleć.

– Wiera, to dla mnie nie problem, bo...

– Ale posłuchaj... – kolejny raz wcięła mi się w zdanie. Zdaje się, że tak po prostu miała. – Mogę z tobą sypiać, bo wczoraj było całkiem miło.

„Całkiem miło” nie brzmiało jak wysoce pozytywna recenzja moich starań.

– Nie do końca rozumiem, Wiera, do czego zmierzasz.

– Ach, faceci, tacy niedomyślni. Mogę z tobą sypiać od czasu do czasu, ale nigdy z tobą nie będę. Wiążę się tylko z kobietami. Tak mam.

Szach i mat w kilku prostych ruchach.

Tym razem darowałem sobie śmiganie A4 i pojechałem do Sosnowca drogą 94 przez Olkusz. Potrzebowałem odmiany, ale równie istotne było, żeby nie bulić za autostradę. Ruch w niedzielę był niewielki, prowadziłem miśka płynnie i spokojnie, analizując po drodze to, co usłyszałem od Wierzy rano. Po raz kolejny.

Wiera po śniadaniu i szybkim prysznicu ubrała się, a potem rzucając mi krótkie „pa”, zostawiła mnie samego. Może nie osłupiałego, jednak mocno skołowanego. Albo lubiła gry i gierki z innymi, albo zwyczajnie miała swobodne podejście do ludzi i życia. „Swobodne podejście” – nie najlepsze określenie, ale na bardziej adekwatne na razie nie wpadłem. Jasno oświadczyła, że nie mam co liczyć na związek z nią. Prawie jej nie znałem, nie miałem pojęcia, czy faktycznie jest biseksualna, czy jedynie wciąga mnie w jakąś nie do końca jasną rozgrywkę, bawi się mną. Tylko w jakim celu? No właśnie, może jedynie for fun i po to, żeby poczuć dreszcz emocji? Inna sprawa, że sam nie do końca wiedziałem, czego od Wierzy chcę. Zadałem więc sobie proste pytania. Czy byłem zauroczony Wierą? Bez wątplenia. Czy chciałem się z nią spotykać? Ależ oczywiście. Czy seks z nią był udany? Mało powiedziane. Czy chociaż przez moment myślałem o związaniu się z Wierą na stałe? W tym przypadku miałem problem z szybką i jasną odpowiedzią. Wiedziałem z doświadczenia, że od zauroczenia do myślenia o związku droga długa. Przynajmniej u mnie. Ale tak, myślałem, lecz w sposób nie do końca sprecyzowany. Nie, właściwie nie myślałem, chociaż może przez jedną ulotną chwilę myślałem? Nie byłem pewien. A w cholere z tym...

„Się zobaczy”, zagadał drugi „ja”. Bez wątplenia była to moja ulubiona strategia rozwiązywania problemów.

Wyjechałem z Dąbrowy Górniczej, trochę przyspieszyłem, bo do spotkania z młodszym aspirantem Jackiem Kosturkiewiczem nie pozostało mi wiele czasu, a nie chciałem się spóźnić. Wyświadczał mi przysługę, już drugą, nie zamierzałem mu podpadać.

Po tym, jak Wiera wyprysnęła z mojego mieszkania, uruchomiłem padły telefon. Miałem cztery nieodebrane połączenia, od Kosturkiewicza właśnie. Wreszcie nagrał się z informacją, że jak chcę z nim pogadać, wchodzi w grę jedynie ta niedziela, bo w tygodniu będzie zarobiony jak

kucyk w kieracie. Rozbawił mnie. Mieliśmy podobne poczucie humoru, więc była spora szansa, że będziemy się dogadywali. Uznałem, że wedle starego powiedzenia: Na kaca – także emocjonalnego – najlepsza praca, nie będę zachodzić w głowę, o co chodziło Wierze, tylko zajmę się Latawcem, skoro młodszy aspirant aż pali się do pomocy. Oddzwoniłem do niego, umówiliśmy się na drugą po południu.

Tocząc się po wąskich ulicach, zapchanych zaparkowanymi, gdzie się tylko dało, autami, dotarłem do centrum Sosnowca. Kosturkiewicz mieszkał przy ulicy Małachowskiego w starej, z lekka obdrapanej kamienicy, w której znajdowała się Ambasada Wódki i Śledzia. Zaiste wyborna lokalizacja – mieć taką knajpę pod bokiem. Kiedy stanąłem przed oficyną kamienicy, w której tak naprawdę mieszkał młodszy aspirant, przeleciało mi przez myśl, że przydałaby się tabliczka z napisem: „Uwaga! Budynek uszkodzony. Grozi zawaleniem”. Nic więc dziwnego, że po drewnianych, skrzypiących schodach wchodziłem na piętro z pewną taką nieśmiałością. Z jeszcze większym onieśmieleniem rozglądałem się po dwupokojowym mieszkaniu Jacka.

– Gdzie twoja żona? – nie mogłem powstrzymać się od pytania.

– Jestem zdeklarowanym singlem. I mieszkam sam.

– To szacun.

– Niby za co? – wydawał się zdziwiony.

– Żadne z moich mieszkań nigdy tak dobrze nie wyglądało. Nawet nie wiem, jak zrobić, by mieć taki porządek – powiodłem dłonią dookoła.

Kosturkiewicz parsknął śmiechem.

– Zanim zostałem gliniarzem, byłem na kontrakcie w woju. A tam czego, jak czego, ale porządku uczył. I to mi akurat zostało.

Byłem bardzo ciekawy, czy wszystkie ubrania w szafkach ma poskładane w schludną kostkę. Pytanie o to byłoby jednak nadmiernie wścibskie.

Jacek zaskoczył mnie kolejny raz, bo okazało się, że nie tylko świetnie ogarnia sprzątanie, ale i wybornie gotuje. Nakarmił mnie pyszną tortillą hiszpańską z ziemniakami, papryką, cebulą i hiszpańską szynką. Gdybym nie był zdeklarowanym hetero, z miejsca bym się z nim ożenił. Gdyby tylko mnie zechciał.

Po obiedzie wyszliśmy na niewielką, przeszkloną werandę z klasycznym zestawem w dłoniach – mocna kawa i papierosy. Byłem nieco rozleniwiony po obfitym jedzeniu, ale wiedziałem, że nie mogę

popadać w błogostan. Do czego miałem skłonności jak mało kto. Robota czekała. Opowiedziałem mu pokrótce, w jaki sposób dowiedziałem się o Latawcu i moich podejrzeniach, że ten typ ma związek ze zniknięciem Tatiany.

Jacek zgasił papierosa i przez chwilę pocierał palcami brodę pokrytą kilkudniowym zarostem.

– Latawiec, powiadasz... – wreszcie się odezwał. – Trudny temat.

– Już gdzieś coś podobnego słyszałem, ale mnie trudno zniechęcić.

– Tak mi się też zdawało – wymamrotał pod nosem.

Nie wnikałem, co dokładnie miał na myśli, tylko od razu spytałem:

– Co o nim wiesz?

– Dużo, a tak naprawdę nic.

– Stary, naprawdę jest za gorąco na rozwiązywanie skomplikowanych zagadek logicznych.

– W Sosno jest znanym gościem. Biznesmen, ma sklepy, hurtownie, knajpy i kluby. Uprzedzę twoje pytanie, wszystko legalne. I ponoć nawet na podatkach nie robi wałków. Do tego jest hojny i nie szczypie się z kasą. A to na remont przedszkola da, to jakiś nowy skwer czy fontannę ufunduje, co by Sosnowiec rósł w siłę i ludziom żyło się dostatniej – zaśmiał się. Przyznam, że nawiązanie do sloganu Edwarda Gierka zrobiło na mnie wrażenie. – Biznes, filantropia, takie sprawy.

Upiłem łyk kawy. Na jej parzeniu młodszy aspirant też się znał. Byłem coraz bardziej ciekawy, jakie jeszcze ma talenty.

– Czyli prawdziwy wzór cnót obywatelskich – skomentowałem i zdusiłem niedopałek. – Wprost nie mogę się doczekać, aby go poznać.

– A z tym akurat mogą być ciężary.

– Bo?

– On nie z tych, którzy lubią bywać i oglądać swoją twarz w lokalnych wiadomościach. Prawie w ogóle nie pokazuje się publicznie. Jego interesy prowadzą jacyś dyrektorowie czy menedżerowie, oni sprzedają swoje twarze, ale i tak wszyscy wiedzą, że stary Latawiec wszystkim zarządza twardą ręką.

– Ponoć to były esbek – bardziej stwierdziłem, niż zapytałem.

– Nie ponoć, tylko na pewno.

– Czyli na audiencję raczej nie mam co liczyć.

– Chyba że masz dobre plecy.

– Nie bardzo.

– To i lepiej – poklepał mnie po ramieniu. – Bo wygląda, że prawy z ciebie łaps.

– I sprawiedliwy.

– Weź mi nie przypominaj o tych kutafonach z PiS-u.

– W ogóle nie myślałem o polityce.

Naprawdę, byłem pod wrażeniem. Bardzo szybko zaczęliśmy nadawać z Kosturkiewiczem na tych samych falach, co zdarzało mi się od wielkiego dzwonu.

– Wspomniałem o prawości – zaczął Jacek – bo w przypadku Latawca za fasadą dobrego biznesmena i filantropa kryje się konkretny mrok. Handel ludźmi, nie tylko kobietami, czerpanie zysków z prostytucji, lichwa na ogromną skalę, jakieś przestępstwa gospodarcze. Jedynie w narkobiznes nie wchodzi, bo ponoć padre Latawiec tego nie lubi. Wiesz, takie trochę skrzyżowanie gangusów w stylu lat dziewięćdziesiątych z mafią białych kołnierzyków. Tylko nikt nie potrafi mu niczego przybić, chociaż wielu próbowało. Taki ostrożny i śliski typ.

– Teraz ja go prześwietlę i, uwierz mi, na pewno do czegoś się dokopię. Sam byłem zdziwiony pewnością siebie.

Jacek tylko pokręcił głową z wyraźnym niedowierzaniem i powiedział:

– Konrad, pożyczmy, zobaczymy. Bez urazy.

– Jasne. W sumie prawie mnie nie znasz, więc trudno, żebyś tak od razu kupował wszystkie moje teksty – upiłem kolejny łyk kawy. – I wiesz, chciałbym, żebyś mi pomógł w obserwacji Latawca.

– Człowieku, teraz jestem tak zarobiony, że czasami nie wiem, gdzie mam przód, a gdzie tył.

– Jasne, przecież nie chodzi o to, żebyś został moim partnerem. Bardziej zależałoby mi na wsparciu, kiedy zajdzie taka potrzeba.

Kosturkiewicz wstał i przeszedł się w tę i z powrotem po niewielkiej werandzie.

– Okej, wchodzę w tę akcję – postanowił. – Pomogę ci, na ile tylko będę mógł.

Chciałem, aby układ między mną a Jackiem był całkowicie klarowny, więc zadałem pytanie, które od pewnego czasu kołatało mi się po głowie:

– Powiedz, tylko szczerze, dlaczego mi pomagasz? Raczej nie chodzi o mój urok osobisty.

– Wątpliwy, chłopaku, wątpliwy – rzucił z udawaną powagą.

Nie wiedział, bo i skąd, że kwestionowanie mojego uroku akurat tego dnia nieco mnie uwierało.

– Ale powiem ci – kontynuował – w sumie to żadna tajemnica. Mam osobistą kosę z Latawcem.

– Coś ci zrobił?

– Mnie nie, ale mojemu kumplowi, Darkowi. Trzymaliśmy się razem od szkoły średniej.

Usiadł na ogrodowym fotelu i wbił wzrok w zaniedbane podwórko. Czekałem cierpliwie. Każda poważniejsza opowieść ma swój czas.

– I tak, tak to było – zaczął. – Darek miał firmę budowlaną. Na początku biznes mu się kręcił jak ta lala na wybiegu. Ale sam wiesz, jak to jest w tej branży...

Nie miałem zielonego pojęcia, ale skinąłem głową.

– ...zleceniodawca jeden z drugim mu nie zapłacił, a on umoczył kasę w materiały i robociznę. Zrobiło się krótko, pożyczki, odsetki, w końcu banki się na niego wypięły, panu już dziękujemy, pan nie ma zdolności kredytowej. Chciał za wszelką cenę uratować firmę, chociaż mu tłumaczyłem, że bankructwa też są dla ludzi. Polazł do szemranej firmy pożyczkowej, zapożyczył się po kokardę. A dalej... Łatwo się domyślić.

– Szybkie i ogromne odsetki, potem odsetki od odsetek...

– I nie ma, że boli. Darek pracował i kombinował, jak tylko mógł, ale błyskawicznie wpadł w jeszcze większy dół finansowy. Nawet go specjalnie nie straszyla, chociaż mówił mi, że jakieś zbroje kręciły mu się pod chatą. Po prostu jedno po drugim zabrali mu wszystko, co miał. Został goły i wesoły, do tego sam, bo żona nie wytrzymała ciśnienia. Zabrała córkę i zostawiła Darka. To go chyba ostatecznie dobiło. Najpierw popijał, ale przestał i stał się taki... spokojny. Myślałem, że się ogarnął. Mówił, że ma plan. Kiedyś przyszedł do mnie i pożyczył tysiąka. Dałem mu, bo jak kumpla w potrzebie nie wspomóc. Finał był taki, że pojechał do Paryża, bo zawsze chciał tam jechać, wynajął pokój w hotelu i się w nim powiesił. Po chuja ja mu tę kasę dawałem.

Jacek wyglądał na mocno poruszonego. Najpewniej jeszcze nie przepracował traumy po śmierci przyjaciela. Nie zamierzałem go pocieszać, mówić, że w tej tragicznej sytuacji nie było choćby cienia jego winy. I że bardzo trudno wyczuć, że ktoś jest tak zdesperowany, że podjął decyzję o samobójstwie. Ale też doskonale wiedziałem, że bliscy samobójców szukają winy w sobie. Prawie zawsze. Sam się z tym

mierzyłem przez długie lata. Mimo że śmierć mojej żony już mniej mnie bolała niż lata temu, nadal od czasu do czasu powracało do mnie dręczące pytanie: „Dlaczego Maria nie przyjęła ode mnie pomocnej dłoni?”. I wciąż nie miałem na nie dobrej odpowiedzi. Jakiegokolwiek odpowiedzi.

Kosturkiewicz wyrwał się z letargu, klepnął dłońmi w uda i rzucił:

– Będzie tych smętów. Chodź, przejedziemy się.

– A gdzie ty mnie ciągniesz w ten skwar?

– Zobaczysz.

– I on naprawdę tu mieszka? – nie do końca mieściło mi się to w głowie.

– No przecież, że nie w M3 w bloku – odpowiedział Kosturkiewicz.

– Chodzi mi, że okolica taka trochę... zwyczajna i niewyjściowa.

– Mówiłem ci, koleś jest cichociemny. Ukrywa się w cieniu, robi swoje i nie kłuje w oczy bogactwem. I dobrze na tym wychodzi. Zawistników nie brakuje. Taki zazdrośnik jakoś z trudem zniesie, że ktoś mu dupczy żonę, ale już niekoniecznie na spokojnie przełknie, że sąsiad ma lepszą furę czy basen w ogrodzie. I wtedy go chętnie podpierdoli, gdzie trzeba.

Nie byłem przekonany, czy faktycznie Jacek ma rację, jeśli chodzi o zdradę, ale generalnie jego teoria nie była od czapy.

Zawiózł mnie swoją lekko zdezelowaną kią na południe Sosnowca. Jechaliśmy ulicą Długą, której nazwa była jak najbardziej trafna. Przy niezbyt szerokiej, lekko wijącej się drodze znajdowały się dość duże prywatne posesje, na których stały przedwojenne budynki obok przasných, peerelowskich klocków, po liftingu albo i nie, a także kilka nowoczesnych willi. Prawdziwy architektoniczny miszmasz.

Jacek zwolnił tak, że auto ledwo się toczyło, i wskazał głową na prawo.

– To włości Latawca – oznajmił, żeby wszystko było jasne jak pałace słońce.

Mogłem się im dokładnie przyjrzeć, bo nic nie przesłaniało ich od ulicy, choćby nawet marny rząd tui. Proste, ale gustowne i pewnie drogie jak cholera ogrodzenie z kutego żelaza, zadbane trawnik z rozrzuconymi tu i tam stanowiskami ozdobnych krzewów i kwiatów, podjazd wysypany drobnymi kamyczkami, parterowy, ciekawie zaprojektowany dom z dużymi oknami. Prostota i funkcjonalność, które pewnie kosztowały małą fortunę, ale niespecjalnie kłuły w oczy. Na pierwszy rzut oka dom i posesja Latawca nie wyglądały podejrzanie. Jednak w mózg wwiercała mi się uporczywa myśl, że to, co widzę, jest na pokaz, stanowi coś

w rodzaju dekoracji. Biznesmen zbój tak do mnie przemawiał poprzez swoją siedzibę: „Nie mam nic do ukrycia, więc patrzcie sobie do woli. I nikogo się nie boję, bo możecie mi skoczyć na pukiel”.

– Frontem do klienta – wyrwał mi się na głos komentarz.

– Że niby co?

– Nic takiego. Widać, że Latawiec nie bardzo kryje się przed światem.

– Bo i nie musi.

Ulica Długa kończyła się ślepo bramą jakiejś niewielkiej firmy i pętlą autobusową. Jacek zatrzymał się, wyszliśmy zapalić, bo podobnie jak ja nie palił w aucie. Podejrzenie wiele nas łączyło.

– Masz jakiś pomysł, jak się zająć Latawcem? – przeszedł do konkretów.

– O tyle, o ile. Zacznę od obserwacji typu, a później się zobaczy.

– W pytę misterny plan.

Jacek nie mógł powstrzymać się od śmiechu. Nie dziwiłem mu się ani trochę, bo rzeczywiście nie miałem jeszcze pomysłu, jak się dobrać do sosnowieckiego zbrojaka. A czas mijał. Nie chciałem mu się też przyznawać, że działam jak zwykle na wariata. Miałem za to kolejne pytanie:

– Wiesz coś więcej na temat esbeckiej przeszłości Latawca?

– Stare dzieje... Na co ci to?

– Mam swoje powody. I na razie nie chcę o tym mówić, bo sprawa nawet dla mnie samego jest mglista.

Jacek skrzywił się nieco.

– Ale nie pakujesz mnie na minę? – wolał się upewnić. – Ostatnie, czego mi tu trzeba, to wendetta jakichś esbeckich zombie.

– Chodzi o prywatną sprawę. O nic więcej. Jak przyjdzie odpowiedni czas, wszystko ci opowiem. Słowo.

– Obyś dotrzymał.

Uścisnęliśmy sobie dłonie na potwierdzenie umowy.

– To jak, wiesz coś o przeszłości Latawca?

Lekko pokręcił głową i powiedział.

– Nie bardzo, bo mnie nie interesowała, ale znam kogoś, kto ci o niej opowie.

– Dasz mi namiar na człowieka?

– A pewnie, chociaż tak do końca nie wiem, czy dobrze robię...

Nie skomentowałem. Jacek sam podejmował decyzję.

Do Krakowa wróciłem wczesnym wieczorem, więc miałem trochę czasu, żeby zająć się innymi zleceniami. Sprawdzić, co porabia podejrzewany

o zdradę męski krawiec, albo pokręcić się wokół podejrzanym firm właściciela kantoru, który zniknął. Tym bardziej że upał nagle i niespodziewanie odpuścił i zrobiło się całkiem znośnie. Wiał przyjemny wiatr, po niebie błąkały się niewielkie chmury, nieśmiały zwiastun deszczu. Tyle tylko że... najzwyczajniej w świecie mi się nie chciało. Stwierdziłem, że nawet łapsowi na dorobku należy się chwila oddechu po dniach pełnych krzątaniny. I nieoczekiwanych emocji.

Przez chwilę rozważałem, czy nie zadzwonić do Wiery, ale uznałem, że nie mam pojęcia, co miałbym jej powiedzieć. Ani nawet jak z nią rozmawiać. Przedstawiła swoją wizję naszych relacji i wyszła. Nie domagała się ode mnie żadnych deklaracji. Podejrzałem, że nawet ich nie potrzebowała. Może wczoraj było jej smutno, może chciała się tylko zabawić. Szanowałem takie podejście i do pewnego stopnia akceptowałem. A czego ja od niej oczekiwałem? W przebłyskach fascynacji, zauroczenia Wierą widziałem ją stojącą przy mnie ręka w rękę. Przynajmniej przez jakiś czas. Wyobrażałem sobie, że jestem zdolny obsypywać ją tysiącami ciętych róż. Szkarłatnych. Fantazjowałem, że jesteśmy w stanie wymościć sobie razem bardzo wygodne życie. Jednocześnie zdawałem sobie sprawę, że moje zauroczenia często mijają tak szybko jak wiosenna burza. Dużo błysków, mało deszczu. Czego więc chciałem od Wiery? Problem nie był pilny. Tak uznałem. I oczywiście zrobiłem kolejny w moim życiu unik.

Żeby wyrzucić Wierę ze łba, pewnie jedynie na krótki czas, zadzwoniłem do Oksany, by sprawdzić, jak się ma, i spytać, czy przypadkiem znowu nie odezwała się Tatiana – na co, prawdę powiedziawszy, nie liczyłem. Moja zleceniodawczyni zapewniała mnie, że ma się lepiej. Zdecydowanie. I tak brzmiała. A Tatiana nie dzwoniła. Żadna niespodzianka.

Postanowiłem więc, że kończę niedzielną dniówkę. I zaczęło mnie nosić. Picie w knajpach dzień po dniu byłoby lekką przesadą, nawet jak na mnie. Nic nie stało jednak na przeszkodzie, bym jak kulturalny pan w średnim wieku kupił sobie butelkę wina w pobliskiej Żabce i delektował się nim, słuchając starego, dobrego jazzu. Miałem ochotę na nostalgiczną, może nawet z lekka dołującą muzykę. Chet Baker, trębacz o najsmutniejszym głosie świata, do tego samobójca? Czemu nie.

Rowicki, ja cię pięknie proszę, weź tylko jedną butelkę, zaklinałem się w myślach, kiedy zbliżałem się do sklepu. Oczywiście, kupiłem dwie, bo

lubiłem się droczyć sam ze sobą. I testować własne granice. Tym razem wybrałem wytrawne wino hiszpańskie. Kupowanie win pochodzących z różnych stron świata stanowiło dla mnie namiastkę wojażowania. Bo podróże jako takie nigdy mnie nie pociągały, zwyczajnie nie lubiłem wyjeżdżać z kraju. Wmawiałem więc sobie, że smakując wino z jakiegoś regionu, poznaję ducha danego kraju, danego miejsca. Cokolwiek to znaczyło. Czasami potrafiłem być przekonujący.

Po wysłuchaniu jednej płyty Bakera i wypiciu trzech kieliszków wina, niegorszego, zadzwoniłem do mojej starowinki, chociaż pewnie akurat w tym momencie nie powinienem. Ponarzekałem trochę, że sprawa zaginionej Ukrainki, jak i inne, posuwa się do przodu w tempie pełzającego ślimaka. Jojczyłem jak nie ja, aż Felicja spytała:

– Piłeś?

– Nie jedź! – rzuciłem odzew.

W słuchawce rozległ się poszum westchnienia.

– Nie wykręcisz się, chłopczyku, żarcikami. Nie zamierzam ci liczyć kieliszków, ale wiem, że jeśli popijasz sam i do tego marudzisz, na pewno dzieje się coś niepokojącego.

Przed moją starowinką nic nie dało się ukryć, a ja nie zamierzałem jej oszukiwać, więc się wypowiedziałem. Tyle że nie do końca.

– Trafiłem na trop esbeka, który może coś wiedzieć.

– Chłopczyku, parę dni temu obiecywałeś mi, że z tym kończysz.

Milczałem, pewnie za długo. Było nie składać obietnic bez pokrycia. Z drugiej strony naprawdę byłem wtedy więcej niż pewien, że definitywnie skończyłem ze ściganiem duchów przeszłości.

– To wypłynęło przy sprawie Ukrainki. Zupełnie przypadkiem.

– Jakoś nie wierzę.

– Naprawdę – zapewniłem szczerze, jedynie tyle mogłem.

– Powtarzam ci już któryś raz, że jeśli będziesz dalej grzebał w przeszłości, jedynie się pokaleczysz.

– Nie mogę odpuścić, bo inaczej stracę szansę na odnalezienie Tatiany.

– Szukasz usprawiedliwień i wymówek.

– Nie, uwierz mi. A w ogóle obito ci się o uszy takie nietypowe nazwisko jak Latawiec?

– Nie. I nie mam już siły o tym rozmawiać. Dobranoc.

Było mi przykro, niezmiernie, że sprawiłem przykrość mojej starowince.

4 lipca 2016, poniedziałek, Kraków

Wieczorna zapowiedź deszczu i ochłody się nie ziściła. O siódmej rano żar lał się z nieba podobnie jak w poprzednie dni. Obudziłem się w miarę rześki, błogosławiąc siebie w duchu, że oparłem się pokusie otwarcia drugiej butelki wina. Prysznic, jajecznicą, kawa, papieros, papieros, kawa, papieros. Byłem gotowy na nowy dzień i pełen animuszu. Naprawdę jak nie ja.

Wybrałem numer do ojca Kosturkiewicza, Ryszarda, bo to właśnie on miał sporo wiedzieć o esbeckiej przeszłości Latawca. Kosturkiewicz senior nie był zaskoczony moim telefonem, powiedział, że zna temat, bo syn do niego dzwonił i uprzedził, że jakiś cienias z Krakowa będzie szukał informacji. Zgodził się też łaskawie ze mną pogadać, jeśli podjadę do niego na działkę. Ogródki działkowe nie kojarzyły mi się najlepiej, ponieważ lata temu Felicja goniła mnie do pracy w ogrodzie, a ja nienawidziłem grzebać się w ziemi. W upalny dzień działka jednak zapewniała przyjemny cień. „Szukaj plusów, a znajdziesz szczęście”, jak mawiała moja starowinka.

Przebijając się przez poranne korki w stronę Rodzinnego Ogrodu Działkowego Zakole Wisły, przypominałem sobie, co Jacek mówił o swoim starym. Ryszard Kosturkiewicz robił w SB w Krakowie, rozszedł się z matką Jacka, kiedy ten nie miał nawet dziesięciu lat. Rozwody, czyli zwyczajna zhora pracowników wszystkich służb mundurowych w każdym czasie. Ryszard został w Krakowie, Jacek z matką przeniósł się do Sosnowca i długo nie chciał znać starego. Dopiero po latach porzucił żalę i zbliżył się do ojca. Chyba teraz dobrze się dogadywali, skoro mnie do niego wysłał. Czy zadzwonił do ojca, by go uprzedzić, że będzie się z nim kontaktował człowiek z lekka nieobliczalny? Nie wnikałem. Najważniejsze, że Ryszard nie wzbraniał się przed rozmową ze mną.

Zakole Wisły było zadbane i dobrze oznakowane, więc bez trudu znalazłem działkowy raj Kosturkiewicza seniora. Działeczka była wycacana aż do przesady, a na jej środku stała... nie jakaś altanka, tylko niewielki, murowany domek, wyglądający trochę jak z dawnych ilustracji bajek – czerwone dachówki, komin, z którego snuje się nitka dymu, niebieskie otwarte okiennice. Przez moment zachodziłem w głowę, kto mu pozwolił wybudować w tym miejscu coś takiego. Przypominałem sobie, że działkowcy nie pękali przed nikim, nawet przed bezwzględny

deweloperami, łasymi na ich tereny, więc co im mógł zrobić zwykły nadzór budowlany.

Ryszard był czerstwym, ogorzałym od słońca, łysym jak kolano staruszkiem. Sposób bycia miał – przyszło mi na myśl stare, rzadko już używane słowo – jowialny. zaproponował mi kawę, nie odmówiłem. Poczęstowałem go fajką, przyjął z wdzięcznością. Po krótkich pogaduszkach o pogodzie przeszedł do rzeczy:

– Wiesz, nie za bardzo bawią mnie wspominki. Było, minęło, ale nie mam nic do ukrycia, więc pytaj.

Nie byłem przekonany, czy mówi prawdę, ale przecież nie on mnie interesował.

– Pewnie już pan wie od Jacka – wolałem w tej rozmowie trzymać się formy grzecznościowej – że nie o pana przeszłość mi chodzi.

– Coś wspominał. Co byś chciał wiedzieć?

– Wszystko, co tylko pan wie na temat Kazimierza Latawca.

– Żeby on się Latawiec nazywał!

– A jak?

– Chcesz posłuchać?

– Po to tu jestem.

Zeszyt w płóciennej okładce V

Rok 1981

Nie wierzyłam w to, co się działo. Nie mieściło mi się w głowie, jak można tak postępować z człowiekiem. Kiedy jako tako ochłonęłam, doszłam do wniosku, że przecież mogłam się czegoś podobnego spodziewać. Pewnie esbek nakręcił całą tę aferę, w końcu ostatnio mnie straszyl poważnymi konsekwencjami. A co to dla niego zaaranżować taką akcję – jak splunąć. Prosto mi w twarz.

Ciągle wracałam myślą do rozmowy z dyrektorką liceum. Machnęła mi zapisanymi kartkami przed nosem, rzuciła, że są na mnie skargi. Ledwie wydukałam pytanie: „Na co i od kogo?”. A ona: „Od rodziców zaniepokojonych, czy ich dzieciom nie dzieje się krzywda”. „Których?”, spytałam. Powiedziała, że listy nie były podpisane. Anonimy, no jasne. Dyrektorka odchrząknęła i wycedziła, że z listów wynika, że nie realizuję w pełni programu nauczania i niesprawiedliwie oceniam uczniów, a na dodatek ich biję. Zamurowało mnie na amen. Nieskładnie broniłam się, mówiąc, że mam same pozytywne opinie z kolejnych wizytacji, a na żadnego ucznia nigdy nie podniosłam ręki, bo jest to poniżej moich standardów zawodowych i godności. Zdawała się mnie nie słuchać. Oznajmiła, że zarzuty są poważne, więc musi się nimi zająć rada pedagogiczna. A pewnie i Podstawowa Organizacja Partyjna. Wprawdzie do partii nigdy nie należałam, w odróżnieniu od Włodka, który zaliczył spory staż partyjny, nim rzucił legitymacją, ale byłam pewna, że wcale im to nie przeszkodzi w ocenianiu mnie. W zrobieniu pokazówki. Zawsze się znajdzie jakiś kruczek formalny. Odjęło mi mowę, wiedziałam, że na dobrą sprawę niewiele ode mnie zależało, a praktycznie nic. Skinęłam tylko głową i poprosiłam o możliwość przeczytania anonimów. Anonimowych donosów – jak o nich już myślałam. Odparła, że przyjdzie na to odpowiednia pora.

Anonimowe donosy... Jak się bronić przed złym, oszczerczym słowem? Przed kłamstwem, które jest niczym sztylet powoli wbijany w plecy. Bolesnie.

Nie jestem w stanie dojść do ładu ze sobą. Co chwila łkam, wszystko leci mi z rąk. Nie miałam ani siły, ani głowy, by robić obiad. Dałam Konradkowi makaron z ketchupem. Krzywił się, ale zjadł, pewnie był głodny. Do czego oni wszyscy mnie doprowadzili? Nawet nie jestem w stanie zadbać, jak trzeba, o mojego synka.

Siedziałam w kuchni, paliłam papierosa za papierosem i gapiłam się w poszarzałą ścianę. Dojmujący, bezkresny żal zalewał mnie niczym morska fala. Po głowę. Jak ktoś mógł napisać, że biję uczniów? Nieludzka podłość. Przemoc nauczycieli wobec uczniów w szkołach, tak podstawowych, jak i średnich, wciąż się zdarzała. I było na nią ciche przyzwolenie zwierzchników, o ile nie dochodziło do poważniejszych incydentów i uszkodzeń ciała. Wykręcanie uszu? Pewnie dzieciak sobie zasłużył. Bicie długą linijką po dłoniach? Uczeń mógł nie lekceważyć poleceń nauczyciela, więc to w sumie wina dzieciaka. W moim liceum też bywało, że nauczyciele bili swoich podopiecznych. Jedna z matematyczek, starsza, dystygowana pani, która nie chciała odejść na emeryturę, lubiła karcić krnąbrnych dużym drewnianym kątomierzem. Wuefista ciskał w dzieciaki kluczami, do których przypięty był ciężki brelok. Ale ja? Nie stosowałam żadnej przemocy, bo zwyczajnie się nią brzydziłam. Nawet starałam się nie podnosić głosu na uczniów. Zresztą jaka by była ze mnie nauczycielka historii, humanistka, gdyby moje słowa potępienia wszelkich form agresji nie szły w parze z czynami.

Nie przejmowałam się, przynajmniej nie aż tak bardzo, zarzutami o błędy w sztuce nauczania. Były przecież protokoły z wizytacji, opinie okresowe na mój temat. Były konkretne dokumenty, które każda władza tak bardzo lubi, opatrzone stosownymi pieczęciami. Jednak w sprawie stosowania przemocy było słowo przeciw słowu. Nawet gdyby odpytano uczniów, mogło być różnie. Bywałam wymagająca, nie wszyscy uczniowie za mną przepadali.

Nie mogłam zasnąć. Wieczorem próbowałam złapać pod telefonem męża, ale znowu mi się nie udało. Przekazałam prośbę, żeby oddzwonił. Tyle mogłam. Znowu byłam z tym wszystkim sama. Traciłam nadzieję, tym bardziej że znikąd nie dostrzegałam pomocy. Dopadło mnie zwątpienie. Może w ogóle nie ma znaczenia, co będę robiła i jak się broniła? Może wyrok na mnie już zapadł, a wydał go Czaja?

Trwam w stanie zawieszenia. Nie zapadła jeszcze decyzja, kiedy odbędzie się rada pedagogiczna, na której stanie moja sprawa. Dobija

mnie ta sytuacja, niepewność odbiera siły. Żyję jakby na pół gwizdka, z trudem radząc sobie z codziennymi obowiązkami. Wszystko jest na mojej głowie. Czuję się wykończona fizycznie, a przede wszystkim psychicznie.

Jak długo wytrzymam w takim stanie, w takiej udręce?!

Włodek wreszcie raczył się odezwać. Zdaje się, że niespecjalnie przejął się donosami na mnie. Nikt mnie nie rozumie, nikt nie ma pojęcia, przez co przechodzę! Mówił, żebym się nie martwiła – dobre sobie! – bo jakoś to będzie. Jakoś... I że mam dokładnie stosować się do zaleceń Mariana, nic nie mówić, niczego nie podpisywać. Gdy zapytałam, jak sobie poradzę, kiedy mnie wyrzucą z pracy, zamilkł na długo. Myślałam, że połączenie zostało zerwane, tak czasem bywało podczas rozmów międzymiastowych. W końcu odparł, że będzie dobrze, że w razie większych problemów wszystkim się zajmie.

Zdawałam sobie sprawę, że nie może za wiele mówić przez telefon, który zapewne był na podsłuchu. Wiedziałam, że powinnam mieć większą wiarę w człowieka. W mojego męża. Już mu nie ufałam, bo zbyt wiele razy mnie zawiódł, składał obietnice bez pokrycia. Prawdopodobnie zostanę z piętrzącymi się problemami sama. Coraz bardziej skłaniam się ku temu, żeby zostawić moje obecne życie. Zostawić Włodka, odciąć się od niego i jego bardzo ważnych oraz poważnych spraw. Na pewno ważniejszych ode mnie i naszego syna. Mojego. Uciec, zaszyć się gdzieś. Zejść wszystkim z oczu.

Czy jeszcze znajdę w sobie dość siły, by podjąć taką decyzję i wprowadzić ją w życie? Czy skoczę w nieznane z zamkniętymi oczami? I co będzie z Konradkiem?

Esbek czekał na mnie przed szkołą, nic nowego, ale tym razem podszedł do mnie. „Przejdziemy się”, rozkazał i wziął mnie pod rękę. Byłam jak sparaliżowana. Sączył jad, te potworne kłamstwa pomieszane z groźbami i obietnicami, które tak mocno mnie dotykały. Że wie o moich kłopotach, że wszystko jeszcze da się odkręcić, trzeba tylko odrobinę dobrej woli, bo jak ktoś dobrze żyje z Czają, Czaja jest dobry i dla niego. Że wystarczy, abym od czasu do czasu powiedziała mu, co i z kim knuje mój mąż. Knuje? Może i knuł, ale przecież nic na ten temat nie wiedziałam. Powtarzałam w myślach, że nie mogę wdawać się z nim w dyskusję. Na wszystkie pytania odpowiadałam: „Nie, nie wiem, nie mam pojęcia”.

Czaja po raz pierwszy stracił panowanie nad sobą. Puścił moje ramię i mnie pchnął. Niezbyt mocno, ale się zatoczyłam. Przechodzący chodnikiem ludzie odwracali od nas wzrok i przyspieszali kroku. Przecież nikt nie pomoże kobiecie, którą publicznie poniewiera facet wyglądający na esbeka. Bo wyglądał, oni zawsze wyglądają tak, że nie można ich pomylić z nikim innym. „Miło, kurwa, było, ale się skończyło”, wycedził całkiem już spokojnym głosem. I zostawił mnie samą.

Sama. Zawsze już tylko sama.

Na coś takiego trudno się przygotować, ale jednak robiłam wszystko, co tylko mogłam, by zachować spokój. Wciąż miałam napady lęku, nieustannie się bałam. Wyrok przyjąłam z rezygnacją, ale i swego rodzaju ulgą. Niepewność, ten stan zawieszenia mnie dobijał.

Zawsze starałam się zrozumieć ludzi, przeanalizować, dlaczego zachowują się tak, a nie inaczej. Pewnie to błąd. Taka skaza na psychice. Powinnam zdusić w sobie empatię, wyciszyć emocje. Mniej czuć. Nie potrafiłam, nie umiałam się zmienić. Teraz też tłumaczyłam ludzi, których uważałam może nie za przyjaciół, ale w miarę dobrych kolegów. Ludzie pragną spokoju, szczególnie w tych niespokojnych czasach. (A kiedy było w tym nieszczęsnym kraju spokojnie?) Raz, nie chcieli problemów, bo i kto chce? Dwa, esbecy wzięli mnie na cel, więc stałam się zgniłym jajem, którego najlepiej się pozbyć. Najprostsze rozwiązanie. Rozumiałam to, jednak nie zmieniało to faktu, że po wszystkim, choć spodziewanym, czułam potworny ból. Niemal nie do zniesienia. Bolały mnie nawet cebulki włosów, chociaż myślałam, że jest to niemożliwe.

Najbardziej dotknęło mnie i w pewnym stopniu upokorzyło, że nawet nie dano mi szansy na jakąkolwiek obronę. Nie miałam wstępu na radę pedagogiczną, na której omawiano mój „przypadek”. A chciałam przedstawić swoją wersję, własne racje, mimo że doskonale zdawałam sobie sprawę, że moje słowa, zapewnienia nie zmienią wyroku. Prawdę powiedziawszy, nie zależało mi nawet na beznadziejnej obronie, jedynie chciałam stanąć przed ludźmi, którzy mienili się moimi kolegami, spojrzeć im w oczy i zobaczyć, jak odwracają wzrok. Chciałam zobaczyć i poczuć ich wstyd. Nie dano mi takiej możliwości.

Dyrektorka, oczywiście, nie miała nawet chwili, żeby się ze mną spotkać. Wypowiedzenie na piśmie wręczyła mi sekretarka, szepcząc: „Przepraszam”, tak cicho, żeby nie usłyszała jej szefowa. Nie musiałam już świadczyć pracy. Wprawdzie nie dostałam wilczego biletu, ale byłam

bardziej niż pewna, że po szkołach pójdzie fama, że jestem podpadnięta. Bardzo. Czyli koniec pracy w szkolnictwie. I gdzie mnie teraz zatrudnią?

Jagoda Rowicka, była nauczycielka. Zgniłe jajo. Zgniłego jaja się nie dotyka, od zgniłego jaja trzyma się z daleka.

Tym razem mój mąż nawet zdobył się na kilka słów pocieszenia. Pomogło jak umarłemu kadzidło. Tyle że ja wciąż żyłam i żyć musiałam dla mojego synka. Mówił, żebym nie martwiła się o pieniądze, bo związkowcy mają specjalne fundusze dla osób w takiej sytuacji jak ja. Prześladowanych, wyrzuconych z pracy. Obiecywał, że sam będzie mi regularnie przysyłał pieniądze. Obietnice, kolejny pakiet obietnic.

Nie spałam przez kilka nocy z rzędu. Nie tylko przez nerwy, które wprowadzały mnie w niemal fizyczne drżenie. Dobijała mnie pogoda. Późną jesienią Kraków staje się trudny do zniesienia. Deszcze, które nie ustają przez kilka dni, paskudne, zimne wiatry, które przeganiają po wyszczerbionych chodnikach zwłoki ostatnich opadłych liści. Szara, dołująca aura opatulająca szczelnym, lepkiem kokonem ludzi w szarych jesionkach. Spędzałam ciągnące się w nieskończoność noce, siedząc w fotelu przy oknie, paląc i gapiąc się na spływające po szybie krople deszczu. Zastanawiałam się, co robić dalej z moim pogruchotanym życiem. Naszym, synka i moim. Rozważałam możliwe scenariusze. Najsensowniejszym i pewnie najłatwiejszym rozwiązaniem byłby powrót do Ciechanowa, do matki. Ale to niczym wywieszenie białej flagi: „Oto Jagoda Rowicka się poddaje”. Myślę, że matka nie czyniłaby mi wyrzutów, chociaż nie byłam tego pewna. Wystarczyłoby, żeby spojrzała na mnie w ten swój specyficzny sposób. Nie umiałam nazwać spojrzenia matki, ale wiedziałam, co mi robiło – dotykało do głębi, sprawiało, że dusza ścisnęła mi się w piąstkę. Poza tym była jeszcze sprawa szkoły Konradka. Nie chciałam, żeby co kilka miesięcy zmieniał otoczenie i szkołę. Dziecku to nie służy. Delikatnie wysondowałam synka, czy chciałby pojechać do babci. Powiedział, że bardzo chce, ale na ferie. Więcej nie drążyłam tematu.

Czwartej czy piątej nocy bez snu, już straciłam ich rachubę, podjęłam decyzję. Zostaję z Konradkiem w Krakowie i zrobię wszystko, żeby utrzymać nas na powierzchni życia. Nawet jeśli bym miała nocami wyć ze zmęczenia, z bólu i poczucia beznadziei. Znajdę w sobie resztki sił. Nie mam innego wyjścia, bo mam synka.

Nastał świt – właściwie jego namiastka. Ciemność przełamwała się w głęboką szarość. Znikąd promyka nadziei.

Od kilkunastu dni pracuję w barze mlecznym Pod Filarkami, akurat potrzebowali pomocy kuchennej, a mnie było wszystko jedno. Musiałam zarabiać, choćby nawet grosze. Musiałam pracować, bo w tym chorym kraju wszyscy muszą mieć pracę, chociażby nawet nie mieli w niej nic do roboty. Władze nie lubiły „pasożytów społecznych”. Do tego Czaja miałby na mnie kolejnego haka. Wprawdzie zniknął mi z oczu na pewien czas, ale nie łudziłam się – z pewnością wróci, by dalej mnie gnębić.

Umiem gotować, ale to, co dzieje się w barze, trudno nazwać gotowaniem. Przygotowujemy kiepskie, tanie żarcie dla biednych ludzi, którzy muszą jakoś zapchać żołądki. Wszystko ma zapach brudnej ściery. Przynoszę go do mieszkania, a później długo zmywam pod ledwie ciepłym prysznicem.

Mój mąż przysłał mi więcej pieniędzy niż przed zwolnieniem mnie z liceum, ale to wciąż kropla w morzu potrzeb. Dzwoni z rzadka. Może to i dobrze, bo ostatnim telefonem bardzo mnie zirytował. Kiedyś jego zachowanie mnie smuciło, teraz wyzwala coraz większą złość i agresję. Co oznacza zmiana w emocjach? Początek końca?

Dokładnie pamiętam tamtą rozmowę z końca listopada. Tego wieczoru byłam wyjątkowo zmęczona i zniechęcona. Mój mąż raczył zadzwonić, ale zamiast zainteresować się, co dzieje się u mnie i syna – zresztą, mniejsza o mnie – zaczął nawijać, że milicja zrobiła nalot na mieszkanie Jacka Kuronia pod jakimś bzdurnym pretekstem. Że teraz się doigrali, że dopiero się zaczną i oni zobaczą, że z opozycją nie ma żartów. Nie mogłam i nie chciałam tego wysłuchiwać. Odłożyłam słuchawkę.

Pokonuję kolejne szare dni, przedzierając się przez szarą mgłę. Trwam bez celu. Jestem w mocnym uścisku rozpacz. Jednak mam cel – chronić Konradka.

Coraz mniej we mnie sił i energii. Przed snem biorę zeszyt i długopis, by zapisać uciekające ze zmęczenia myśli. Zwykle nie zapisuję ani słowa.

Przyszła zima, śnieg przełamał wszechobecną szarość. Marna pociecha.

Pierwszego grudnia władze zafundowały ludowi potężną podwyżkę cen napojów alkoholowych. Wieczorem dzwonił telefon. Pewnie mój mąż chciał mi oznajmić, że teraz to już się lud wkurwi nie na żarty i pogoni czerwonych, bo wszystkiego może w tym nieszczęsnym kraju zabraknąć, tylko nie wody. Nie odebrałam.

Mój Boże!!! Konradek usiadł mi na kolanach, płakaliśmy oboje. Próbowałam go uspokoić. Trzynastego grudnia zamiast „Teleranka” pojawił się na ekranie telewizora generał Jaruzelski i ogłosił wojnę. Polacy znowu stanęli przeciw Polakom.

Rozdział szósty

Pomocna dłoń

4 lipca 2016, poniedziałek, Kraków, Sosnowiec i Gliwice

Od czegoś musiałem zacząć, więc zacząłem od najoczywistszego i najprostszego działania – od obserwacji.

Po spotkaniu z Kosturkiewiczem seniorem pojechałem do mojego biura, sprawdziłem pocztę. Były dwa zapytania o cenę zleceń, odpisałem, zaznaczając, że w najbliższym czasie jestem bardzo zajęty. Wiem, nie powinienem tak robić, bo zleceń nigdy dość, ale naprawdę sporo miałem na głowie. Tylko jednej – mojej. Liczyłem się też z tym, że poszukiwania Tatiany przyspieszą, jeśli tylko uda mi się głębiej wejść w światek interesów Latawca, ukrytych w bardzo szarej strefie. Zdawałem sobie sprawę, że polegam na swojej intuicji, dokonując bardzo optymistycznych założeń. Szemrany biznesmen z Sosnowca równie dobrze mógł mieć coś wspólnego z zaginięciem Ukrainki, jak i nie. Chociaż w tym przypadku chodziło nie tylko o Tatianę. Znowu – jak mi się tylko wydawało.

Spakowałem cały zestaw sprzętu potrzebnego do inwigilacji. Przez chwilę stałem przed sejfem, zastanawiając się, czy zabrać ze sobą broń. Mój kumpel z Ciechanowa, Leszek Koziej, zawsze wytykał mi, że często działam nierozważnie i nie dość dbam o własne bezpieczeństwo. A przy okazji też innych. Pewnie miał rację. Tyle tylko że byłem zdania, że klamka u pasa nie zawsze się przydaje, a w razie zagrożenia skłania do pochopnej eskalacji działań, co zwykle kończy się źle. Rzecz ujmując najprościej, machanie bronią nie było w moim stylu, pewnie o to głównie chodziło. Nie miałem jednak do końca pojęcia, z kim tak naprawdę będę miał do czynienia. Ze słów obu Kosturkiewiczów wynikało, że ludzie Latawca są niebezpieczni i nieunikający przemocy. Tacy, którzy w razie potrzeby nie patyczkują się i – jak to się mawiało – rozwiązują problemy w sposób siłowy. I raczej ostateczny. Potwierdzały to ciała dwóch kobiet w parku w Sosnowcu. O ile faktycznie była to robota ludzi Latawca. Koniec końców przypiąłem do paska kaburę z moim starym glockiem i żeby nie widać było gnata, założyłem zieloną lnianą marynarkę. Miałem

nadzieję, że nie upiekę się w upale, w którym każdy krok przywodził na myśl wędrówkę przez niekończącą się pustynię.

W Sosnowcu od razu pojechałem na ulicę Długą. Przed domem Latawca zwolniłem i jeszcze raz dokładnie zlustrowałem i samą chałupę, i jej okolice. Obserwacja od strony drogi nie wchodziła w grę. Niezbyt szeroka ulica, niewiele zaparkowanych przy niej samochodów. Gdybym na dłużej zatrzymał się niedaleko posesji Latawca, na pewno ktoś zwróciłby na mnie uwagę. Tym bardziej że zauważyłem kamerę przy bramie wjazdowej, a najprawdopodobniej gdzieś poukrywane były kolejne. Może i podejrzany biznesmen chciał, żeby ludzie odnieśli wrażenie, że nie ma nic do ukrycia przed wścibskimi oczami, ale jednak zadbał o własne bezpieczeństwo. Nie dziwiłem się, sam bym tak zrobił, gdybym miał coś na sumieniu. A ten typ miał wiele, z tego co już o nim usłyszałem.

Dojechałem do pętli autobusowej i zaparkowałem miśka na parkingu wyłożonym starymi, betonowymi płytami z odzysku, w cieniu starego krzaku bzu, więc istniała szansa, że wewnątrz auta szybko nie zamieni się w piekarnik. A ja w pieczeń drugiej świeżości. Napiłem się wody, otworzyłem drzwi, chcąc wysiąść i zapalić, ale z nieba lał się taki żar, że zrezygnowałem z dostarczenia sobie porcji nikotyny. Będę zdrowszy. W smartfonie odpaliłem mapę okolicy. Dzielnica nazywała się Bór, czyli obiecująco dla kogoś, kto chciał z ukrycia poobserwować bliźniego. Z mapy wynikało, że za rezydencją Latawca powinien znajdować się las.

Zawiesiłem sobie na szyi niewielki aparat, wziąłem w rękę butelkę wody i ruszyłem na rekonesans. Po kilkudziesięciu metrach odchodząca od pętli drożyna doprowadziła mnie do linii drzew. Na oko faktycznie był to spory las poprzecinany rozchodzącymi się w różne strony, utwardzonymi ścieżkami. Obawiałem się, że będzie się tam kręciło zbyt wiele osób. Od biedy mogłem uchodzić za zabłąkanego turystę, który szuka innych atrakcji niż wszyscy, ale wolałem, żeby jak najmniej osób mnie tam widziało. Na szczęście upał sprawiał, że mało kto decydował się na opuszczenie mieszkania. W oddali mignęła mi tylko biegaczka, ubrana w profesjonalne, sportowe ciuszki, truchtająca razem z kundlowatym psem, który mnie oszczeakał. Nigdy nie byłem fanem biegania, a uprawianie tego sportu w upale wydawało mi się wręcz czymś nieludzkim. Co ja tam jednak wiedziałem o zdrowym trybie życia i nawykach ludzi, którzy wymyślili sobie, że umrą zdrowsi niż inni.

Skręciłem w las, wysuszona ściółka nieprzyjemnie chrzęściła pod butami. Mogłem zapomnieć o paleniu podczas obserwacji, jeśli nie chciałem puścić z dymem tego lasu i domu Latawca na dokładkę. Las kończył się mniej więcej sto metrów za posesją byłego esbeka. Typ nie musiał oszczędzać, więc tego nie robił, bo od tyłu ogrodzenie było takie samo jak od frontu – z kutych elementów, żadna tam zwykła siatka po tanioci. Pas ziemi między nim a laskiem porastała łączka, która wyglądała na regularnie koszoną. Ktoś zadbał, żeby nie rosły tam krzaki czy inne chaszczce ograniczające widok. Na rogach ogrodzenia zauważyłem dyskretnie umieszczone kamery. Latawiec albo jego ludzie pomyśleli o każdym szczególe. Potwierdzały się słowa Jacka, że biznesmen jest nadzwyczaj ostrożny.

Usiadłem, opierając się o pień brzozy, ukryty za sporym krzakiem jeżyny. Nie było szans, żeby ktoś mnie zauważył, jeśli nie wiedział, gdzie się wpatrywać. Na tyłach domu znajdował się rozległy taras, na którym stały meble ogrodowe z egzotycznego drewna i ogromne donice z różnym kwieciami. Poza tym było podobnie jak od frontu – dobrze utrzymany trawnik i sporo rabat z kwiatami. Przypomniało mi się, że Żukowski wspominał, że Latawiec miał pseudo Badylarz. Prawdopodobnie kochał kwiaty. Wyobraziłem sobie, jak zaraz po zleceniu morderstwa wychodzi przed dom, zakłada rękawiczki ogrodnicze, bierze mały sekator, by cierpliwie pielęgnować ukochane rośliny. Wymyślałem bzdury.

Na posesji Latawca nie działo się zbyt wiele, ale tego właśnie na początku się spodziewałem. Raz tylko na taras wyszedł mężczyzna w średnim wieku, krótko ostrzyżony, nienapakowany, ale nawet gołym okiem było widać, że dbał o mięśnie. Ubrany był na czarno. W taki upał? Przyzwyczajenie z jakichś służb specjalnych? Zrobiłem mu zdjęcie. Wypalił szluga i zniknął we wnętrzu domu.

Żeby nie tracić czasu, zacząłem realizować swój plan. Co tu kryć, nie był ani zbyt szczegółowy, ani dopracowany. Zależało mi, by w jak najkrótszym czasie dowiedzieć się jak najwięcej o Latawcu. Wszelkimi sposobami, również tymi niespecjalnie legalnymi. Wyciągnąłem z kieszeni marynarki telefon i zacząłem dzwonić. W duchu podśmiewałem się z siebie, bo uświadomiłem sobie, ile razy, oglądając współczesne seriale kryminalne, zżymałem się, że ukazywane w nich śledztwa polegają przede wszystkim na tym, że bohaterowie odbierają telefony

albo do kogoś dzwonią. Trochę nudne, fabularnie miałkie, ale cóż, teraz tak w dużym stopniu wyglądało prowadzenie spraw.

Wiedziałem już trochę o samym Latawcu, ale prawie nic o ludziach, którzy dla niego pracują. A jeśli miałem dotrzeć do bossa, najłatwiej było docisnąć jego przydupasów. Przynajmniej tak mi się wydawało. Miałem nadzieję, że Jacek albo jego kumple z komendy, którzy chodzili za byłym esbekiem, będą coś na ten temat wiedzieli. Kosturkiewicz od razu odrzucił moje połączenie. Bywa, poza tym przypomniałem sobie, że uprzedzał, iż w najbliższych dniach będzie bardzo zajęty. Chciałem też domknąć wątek zaginionego, a najpewniej już martwego Ukraińca z Sosnowca. On sam zniknął, ale przecież gdzieś powinien być jego samochód. Oczywiście o ile dawno nie został rozebrany na części albo zutylizowany na złomowisku. Wydzwoniłem Leszka Kozieja. Stary kumpel powitał mnie radośnie, ale zaczął marudzić, kiedy tylko poprosiłem go, żeby posprawdzał, jaki Maksym Szewczuk miał samochód i czy gdzieś przypadkiem to auto nie wypłynęło przy jakiejś sprawie. I żeby w ogóle wrzucił Szewczuka na bęben. Jak zwykle narzekał, że nie ma czasu. Z tego, co docierało do mnie przez telefon, jasno wynikało, że Leszek siedzi w królestwie techników i najpewniej podjada dietetyczne sałatki z fikuśnych warzyw, które zwykła mu przyrządzać do pracy kochająca żona. Przeczekałem w milczeniu ciąg utyskiwań na zły los i jeszcze gorszego kumpla. Wreszcie wymamrotał, że spróbuje się czegoś dowiedzieć. Więcej mi nie było trzeba.

Minęła kolejna godzina, a na posesji Latawca nie zadziało się absolutnie nic. Ścierpłem od siedzenia w jednej pozycji, więc wstałem i przez chwilę spacerowałem w głębi lasu, zastanawiając się, co jeszcze jestem w stanie zrobić tego poniedziałku. Niewiele przychodziło mi do głowy, jeżeli już – były to pomysły z gatunku może nie szalonych, ale bez wątplenia ryzykownych. Powinienem doczekać zmroku i z bliska przyjrzeć się zabezpieczeniom rezydencji bossa z Sosnowca. Bo tak, oczywiście, chodził mi po głowie plan włamania się do niego: wejść po cichu, rozejrzeć się, a nuż coś tam znajdę, wyjść. Tyle że nie miałem choćby cienia pewności, że Latawiec trzyma cokolwiek trefnego w swoim prywatnym domu. Mógł poukrywać dokumenty w innych nieruchomościach, których zapewne miał sporo. Nawet nie wiedziałem ile. Jasne, dokumenty... Interesowały mnie przede wszystkim stare esbeckie teczki, które mógł mieć albo i nie. Zdawałem sobie sprawę, że

zbyt wiele w przypadku Latawca opierało się na przypuszczeniach i założeniach. Zamierzałem zmienić ten stan rzeczy, jeśli tylko będę miał okazję.

Wracałem już na punkt obserwacyjny, kiedy go zobaczyłem. Wiedziałem, jak wygląda, z nielicznych zdjęć w internecie. Podbiegłem i kucnąłem za jeżynami, zrobiłem zdjęcia. Latawiec wyszedł na taras z filizanką w dłoni. Był niewysoki i szczupły, chyba nawet chudy, ale trudno mi było to określić, bo miał na sobie luźną białą koszulę i także spodnie. Na czubku jego głowy lśniła łysina okolona wianuszkami siwych, niemal białych włosów. Pociągła twarz Latawca przywodziła na myśl głowę drapieżnego ptaka, chociaż może z mojej strony była to licha projekcja. Upił kawę, wyciągnął telefon i zaczął z kimś rozmawiać. Wiele bym dał, żeby się dowiedzieć, z kim i na jaki temat. Niestety, nie dorobiłem się jeszcze mikrofonu kierunkowego do podsłuchu. Skończył rozmawiać, otworzył stojące na ławie pudełko, wyjął z niego cygaro i odprawivszy wszystkie rytuały, zapalił, wypuszczając regularne kółka dymu. Przez chwilę miałem wrażenie, że znalazłem się na planie komedii kryminalnej, ukazującej w krzywym zwierciadle światek polskiej gangsterki.

– Toż przecież, że nazywał się Kazimierz Koziół – powiedział z pełnym przekonaniem Kosturkiewicz.

Przypominałem sobie rozmowę z ojcem Jacka sprzed kilku godzin, kiedy ukryty w lesie patrzyłem na Koziół vel Latawca.

– Właściwie po co zmienił nazwisko? – byłem ciekaw.

– Też mnie to zdziwiło, bo nie każdy z naszej służby, choćby nawet był podpadnięty u nowej władzy, tak się tajniaczył. Wydało mi się to pozbawione sensu, bo jak ktoś by chciał, mógł przecież dokopać się do tego, że Latawiec nie był zawsze Latawcem.

– Może chciał w ten sposób odkreślić swoją przeszłość grubą kreską. Takie symboliczne działanie, niby że nowe życie, nowe nazwisko – pozwoliłem sobie na tanią psychologię.

– Nie mam pojęcia. Nie wnikałem, bo on mnie nie interesował – Kosturkiewicz wstał bez słowa, poszedł do domku i przyniósł z niego głęboki talerz pełen dorodnych czereśni. – Częstuj się, trochę mi szpaki jeszcze zostawiły, więc się podzielę. A co do Koziół, gdybyś nie pojawił się ty, w ogóle bym o nim nie myślał.

Wziąłem jeden owoc. Słodycz rozlała się po języku.

– Dobrze pan go znał?

– O tyle, o ile. Spotykaliśmy się od czasu do czasu, zdarzyło nam się parę razy pić wódkę. Znajomość z pracy. Nic więcej. Do tego pracowaliśmy w innych jednostkach. Latawiec robił w Departamencie III, ja w innym. Pewnie nie wiesz, czym on się tam zajmował?

Przy okazji mojej prywatnej pogoni za duchami przeszłości podszkoliłem się na tyle, na ile było mi to niezbędne, w strukturze organizacyjnej oraz historii Służby Bezpieczeństwa. Sporo dowiedziałem się też z przeglądanych akt dostępnych w IPN-ie. Chciałem jednak, żeby starszek się rozgadał, więc odpowiedziałem mało konkretnie:

– Śledzeniem opozycji?

– Żeby tylko o inwigilowanie chodziło... Szczególnie kiedy narodziła się Solidarność, wprost mówiło się w firmie, że chodzi o walkę z wszelką działalnością antypaństwową w kraju. No to się walczyło, jak kazali.

Tak, pewnie, zawsze takie samo tłumaczenie: ktoś coś komuś kazał, ktoś tylko wykonywał rozkazy, koniec i kropka. Miałem na czubku języka pytanie, czym starszy Kosturkiewicz się zajmował, służąc w SB, ale się powstrzymałem. Chyba mnie wyczuł, musiał być więc kiedyś dobry, bo rzucił jakby od niechcienia:

– Wiem, co ci chodzi po głowie. Mogę ci powiedzieć, nie mam z tym problemu. W ogóle przeszłość mnie nie gnębi i nie odbiera snu. Pracowałem w Departamencie I, czyli w wywiadzie.

Jak na zawołanie z pamięci wyskoczyła mi melodia piosenki Lecha Janerki: Wszyscy inteligentni mężczyźni idą do wywiadu. Czy aby na pewno? Kosturkiewicz bez wątpienia sprawiał wrażenie mężczyzny o sporej inteligencji oraz wciąż, mimo wieku, żywym i jasnym umyśle.

– Jak mówiłem, interesuje mnie tylko i wyłącznie Latawiec – powtórzyłem wcześniejszą deklarację. – Wie pan może coś więcej na temat jego działalności w służbach? Interesują mnie głównie historie z lat osiemdziesiątych.

– Trochę wiem, ale nie za wiele. Sam Latawiec nigdy mi się... – starszek parsknął śmiechem – nie spowiadał. Nie byliśmy aż tak zakumpłowani. Ale jak to w robocie, plotkowało się, gadało przy wódeczce. W tamtej dekadzie powstawały w ramach firmy różne, jak je nazywano, Samodzielne Grupy. Oznaczało je literowo, ale nie pamiętam, jak to było w przypadku tej, do której trafił Latawiec.

– Co to były za formacje?

– Jak by ci tu w skrócie powiedzieć, żebyś miał pojęcie... W sumie działali na rozkaz, ale w razie wpadki spokojnie można ich było poświęcić i zrobić z nich kozły ofiarne. Pewnie kojarzysz sprawę śmierci księdza Jerzego Popiełuszki?

Skinąłem głową.

– Latawiec w czymś takim robił. Dociskali krnąbrnych opozycjonistów z Krakowa i okolic. I czasami naprawdę działali ostro. Jasne, w większości nie oni osobiście. Jakby to się teraz określiło, wynajmowali sobie podwykonawców.

Nie do końca byłem pewien, czy staruszek ironizował, czy po prostu kiedyś z kolegami ze służby tak określali własne działania.

– Czyli bandziorów? – chciałem się upewnić.

– Różnych, takich, którzy byli użyteczni i nie przeszkadzało im brudzenie sobie rąk. Robili to dla kasy albo dlatego, że nie mieli innego wyjścia.

– Haki?

– Nie inaczej.

– Latawiec miał coś wspólnego ze śmiercią Stanisława Pyjasa? – zwyczajnie byłem ciekaw.

– Nic mi na ten temat nie wiadomo.

Kosturkiewicz zabrzmiał mi trochę, jakby wypowiadał wyuczoną formułkę. Migał się przed wyznaniem prawdy? Do tej pory wciąż w sposób jasny i jednoznaczny nie ustalono, czy aktywnie działający w opozycji student w 1977 roku po pijaku spadł ze schodów kamienicy, czy ktoś go pobił i spaść pomógł. Były esbek, jeśli nawet znał tajemnicę śmierci Pyjasa, nie musiał jej ujawniać, więc tego nie zrobił. Tyle w temacie.

– Czyli Latawiec od dawna miał kontakty ze zbrojami?

– Dopytujesz o rzeczy oczywiste. Uliczna bandyterka, cinkciarze, złodzieje, każdy mógł się wtedy do czegoś przydać. I nie tylko Kozioł miał z takimi kontakty.

– Tylko nie każdy wykorzystywał je po roku 1989 do kręcenia lewych biznesów.

– Byś się zdziwił, ilu z takich możliwości skorzystało. A co do Latawca, na długo zniknął mi z radaru, ale też za bardzo nie interesowałem się losami znajomków z firmy. Zwyczajnie chciałem o tamtych czasach zapomnieć.

Nie ty jeden, robaczku podgniły, nie ty jeden, pomyślałem.

– Ale coś o jego późniejszych losach pan wie, tak?

– Trochę. Kozioł oczywiście nie przeszedł weryfikacji. Jak brzmiała formułka komisji kwalifikacyjnych? – Kosturkiewicz albo zwyczajnie jej nie pamiętał, albo grał przede mną. – Aaa, już mam: „Nie posiada kwalifikacji do dalszej służby z przyczyn moralnych”. Moralnych, paradne. W sumie i tak powinien się cieszyć, że jakichś zarzutów mu nie przybili. Mówiło się po korytarzach, że jego grupa starannie posprzątała dokumenty. Pewnie jednak miał wielu wrogów, bo szybko wyniósł się z Krakowa. Najpierw usłyszałem, że osiadł na Śląsku, potem dowiedziałem się gdzieś od kogoś, nie pamiętam od kogo, że ułożył sobie wygodne życie w Sosnowcu.

– Nie nazbyt zgodnie z prawem...

Ojciec Jacka zjadł czereśnię i wypluł pestkę wprost na trawnik.

– Ani mnie to obchodziło, ani to była moja sprawa.

– A wie pan, że on handluje ludźmi, głównie kobietami?

Staruszek powoli wypuścił powietrze.

– Nie miałem pojęcia. A gdybym nawet coś wiedział, co twoim zdaniem miałbym zrobić? – uznałem, że zadał pytanie retoryczne. – Spójrz na mnie, jestem za stary, żeby walczyć o lepszy, sprawiedliwszy świat. Chcę tylko tutaj – powiódł ręką dookoła – spokojnie dożyć swoich dni.

W sumie bardzo wygodne podejście – to, co było złe kiedyś, należy zapomnieć, a na zło terazniejsze przymknąć oko.

Czułem, że moja wizyta i zadawane pytania zaczynają Kosturkiewicza irytować, więc nie zamierzałem jej przedłużać. Miałem do ustalenia jeszcze ostatnią rzecz, więc zapytałem:

– Czy Kozioł może wciąż mieć jakieś teczki, dokumenty dotyczące – przez chwilę szukałem odpowiedniego słowa – jego operacji z lat osiemdziesiątych?

– Wiesz, kiedy zaczęło się palić pod dupami, każdy zabezpieczał się, jak mógł – przerwał, potarł dłonią gładko ogoloną brodę. – Wiele kwitów zniszczono, ale nie zdziwiłbym się, gdyby Kozioł sobie coś zachomikował. Tak na wszelki wypadek.

– Pan też tak zrobił? – nie zdzierżyłem i spytałem.

W odpowiedzi tylko uśmiechnął się krzywo.

Pożegnaliśmy się skinieniem głów. Ani on, ani ja nie wyciągnęliśmy dłoni do uścisku.

Zbliżała się osiemnasta, ciągle tkwiłem w lesie za posesją Latawca. Skończyła mi się woda. A także cierpliwość. Jeszcze dwukrotnie ubrany na czarno koleś wyszedł na taras na fajkę. Raczej nie był majordomusem. Sam Latawiec już się więcej nie pojawił. Uznałem, że na dzisiaj wystarczy obserwacji.

Wracając do samochodu, zastanawiałem się nad kolejnymi ruchami. W sumie działałem jak zwykle, stawiając przede wszystkim na improwizację. Koziej się nie odzywał, ale nie zamierzałem go popędzać, bo zdawałem sobie sprawę, że nic w ten sposób nie wskóram. Jackowi też odpuściłem, zakładając, że jak tylko będzie miał wolny czas i chęć do pomocy, zgłosi się do mnie.

Auto było strasznie nagrzane. Otworzyłem drzwi, żeby wpuścić trochę powietrza przed włączeniem klimatyzacji. Pomyślałem, że nie zawadzi jeszcze raz pogadać z Mateją. Na gwałt potrzebowałem ludzi, którzy mogli mi pomóc w rozpracowaniu Latawca. Kolega Tyszki nie był skory do pomocy, ale liczyłem, że zmieni zdanie, kiedy dowie się, o jak bardzo paskudną sprawę chodzi. Naiwne? Nie do końca. Nadkomisarz Edmund Polański, który szefował zarówno Tyszce, jak i Matei, a którego znałem dosyć dobrze jeszcze z czasów mojej służby w Komendzie Miejskiej Policji w Krakowie, zwykł dobierać sobie takich ludzi, których ambicje nie kończyły się na wizji spokojnego doczekania do policyjnej emerytury. Co mi szkodziło spróbować jeszcze raz. Wybrałem jego numer, odebrał, ale po tym, jak streściłem mu w krótkich, żołnierskich słowach, jaką sprawę mam teraz na tapecie, uciął, że naprawdę nie ma czasu ani siły, by mi pomagać. Prawdę powiedziawszy, spodziewałem się takiej odpowiedzi, więc nie czułem wielkiego zawodu. Nie każdy jest gotowy angażować się w sprawy, na których niewiele ugra. Albo i zgoła nic.

Ruszyłem z Sosnowca z myślą, że tego wieczoru pewnie uda mi się poobserwować ludzi Kozaka. Nie byłem tak do końca pewien, czy cokolwiek ze sprawy zaginionego kantorowca będę miał, ale zwyczajnie nie lubiłem niedomkniętych zleceń. Tak miałem, chociaż bywało, że mój ośli upór komplikował mi i tak niełatwe życie.

Byłem już blisko zjazdu na autostradę, kiedy usłyszałem dzwonek telefonu. Spojrzałem na ekran, nieznaną numer, jednak odebrałem. Zadzwoił ktoś, o kim nawet przez sekundę nie pomyślałem, że może szukać ze mną kontaktu. Robiło się ciekawie.

Zamiast wracać do Krakowa, zawróciłem w stronę Śląska. Było nawet bliżej.

Nie miałem pojęcia, czy w zakresie obowiązków błogosławionego Czesława leżała opieka nad pijakami, ale po tym, kiedy trafiłem pod spelunę przy ulicy jego imienia w Gliwicach, pomyślałem, że powinna. Knajpa mieściła się na parterze kamienicy, która lata świetności miała gdzieś na początku wieku. Dwudziestego. Witryna była tak oklejona reklamami rozmaitych alkoholi i zapowiedziami licznych promocji, które oferował pub U Wieśka, że trudno było dojrzeć, jak naprawdę prezentuje się wewnątrz. Na krawężniku siedział mocno zrobiony mężczyzna, który zapewne próbował jako tako otrzeźwieć. Upalny wieczór raczej mu w tym nie pomógł. Samochody wymijały go, trąbiąc. Nie raczył choćby unieść głowy. Tuż przy trzech schodkach prowadzących do wejścia pysznił się malowniczy paw. Ktoś zjadł solidny obiad, co i tak nie uchroniło go przed poalkoholowymi atrakcjami.

Do pewnego stopnia lubiłem miejsca z takim klimatem, przynajmniej czasami. Była więc szansa, że polubię i tę, która wyznaczyła mi tu spotkanie.

Niezbyt duże wewnątrz zastawione było koślawymi stolikami i zbieraniną rozmaitych krzeseł. Ściany były szarobrązowe od dymu papierosowego, który wżarł się pewnie aż po tynk. Nikt tu nie przejmował się zakazem palenia. Mnie to pasowało. Niedługi bar nosił liczne ślady zmagania, z góry skazanych na porażkę, z grawitacją albo międzyludzkich waśni. „Uroczo jak w zsywie na śmieci”, mogłaby skomentować Felicja, gdyby tylko do tego pubu trafiła.

Rudowłosa siedziała przy barze z pękatą szklanką w ręku. Zauważyła mnie kątem oka i skinęła, bym się dosiadł. Ostrożnie usadowiłem się na wysokim stołku, z którego spadł pewnie niejeden delikwent.

– Co pijemy? – zapytał podkomisarz Renatę Łukowską.

– Ty raczej nie to, co ja. No, chyba że masz w dupie gierojów z drogówki.

Niekoniecznie. Nie stać mnie było ani na mandat, ani tym bardziej na zatrzymanie prawa jazdy. Poprosiłem więc barmana o colę. Popatrzył na mnie z politowaniem, ale podał otwartą butelkę. O szklance zapomniał, a ja się nie dopominałem.

– Prawdę mówiąc, zaskoczyłaś mnie telefonem.

– To moja specjalność.

Pociągnęła solidny łyk.

– Ale i zaciekawiałaś – dodałem. – O czym chcesz ze mną rozmawiać?

– Po kolei. Najpierw ja mam pytania.

– A co to za przesłuchanie się kroi?

– Nie chcesz, nie odpowiesz. Dopijesz swoje bąbelki i znikniesz mi z oczu. Tak to się zakończy.

Renata chyba nie należała do kobiet, które lubią się droczyć. Szkoda.

– Dajesz! – zachęciłem ją.

– Skąd znasz Tyszkę?

– Poznałem go przez Mundka.

– Polańskiego? – w jej głosie wyczułem nutkę zdziwienia. – Jakoś mi nie wyglądasz na kolesia, z którym mój szef by się przyjaźnił.

Przyznam, że byłem ciekaw, na kogo w jej oczach wyglądałem, ale uznałem, że na ustalanie tego rodzaju faktów przyjdzie jeszcze czas.

– Bo to żadna przyjaźń. Lata temu robiliśmy w miejskiej w Krakowie. Ja byłem rzecznikiem prasowym, a on tam zaczynał w kryminalnych.

– Aha – skomentowała beznamiętnie.

Znowu pociągnęła solidny łyk. Aż do dna. Barman bez pytania wziął jej szklanekę, nalał ginu i dopełnił tonikiem. Tego drugiego nie wlał za wiele. Nic mi było do jej picia, ale trochę mnie zdziwiło, że Mundek wziął sobie do zespołu kogoś, kto nie wylewał za kołnierz. Może z wiekiem się zmienił.

– Dobrze, mogę już spytać, po co mnie tu ściągnęłaś?

Zignorowała moje pytanie i zarządziła, żebym opowiedział ze szczegółami o poszukiwaniach Tatiany. Zaczynała mnie irytować. Chciałem jeszcze tego wieczora pokręcić się za ludźmi Kozaka, więc naprawdę nie miałem ani czasu, ani ochoty na bzdurne gierki.

– Posłuchaj – zacząłem, starając się panować nad wzbierającą we mnie złością – nie za bardzo wiem, o co ci chodzi. I jestem zbyt zajęty, żeby tego dociekać.

– Co ty nie powiesz...

Irytowała mnie jej emocjonalność na poziomie pierwotniaka. Zsunąłem się ze stołka i rzuciłem:

– Mam dosyć. Nie do widzenia.

Nim zrobiłem dwa kroki, jej słowa osadziły mnie w miejscu:

– Pomogę ci.

– Że niby co?

– Dopaść tych, którzy skrzywdzili Tatianę. I tego całego Latawca czy jak mu tam.

– Nie za bardzo wierzę w bezinteresowną pomoc.

– Mówię ci, staruszkule, wiara jest niezłą rzeczą.

– Nie piernicz, tylko mów, o co ci chodzi.

Chyba znowu zignorowała moją prośbę. Dopija swój gin i zeskokczyła ze stołka. Nawet się nie zachwiała, więc alkohol raczej nie za bardzo jej szkodził.

– Pojadę z tobą, będziemy mieć czas, żeby obgadać wszystko na spokojnie – zapowiedziała.

– Ale że jak? – byłem nieco zdezorientowany. – Obserwację mam i nie widzę powodu, żeby cię ciągnąć ze sobą.

– Nie ciskaj się, bo nie ma o co. I zdaje się, że to ty szukasz po Sosnowcu i okolicy pomocy. A ja ci mogę pomóc, co więcej, chcę. Z tego, co wiem, za wiele pomocnych dłoni nie wyciąga się w twoją stronę.

Właściwie mogłem zabrać Renatę, czemu nie. Może w końcu łaskawie powie mi, o co jej chodzi i dlaczego chce mi pomagać. Wiele nie ryzykowałem. Przynajmniej miałem taką nadzieję.

– Posłuchaj, Renata, tylko nie obiecuję, że cię potem odstawię do Gliwic – sprawdzałem, na ile jest zdeterminowana, żeby ze mną pojechać.

– Jestem dużą dziewczynką, poradzę sobie w razie czego.

Skinąłem głową, potwierdzając, że takie rozwiązanie mi pasuje. Poszliśmy do mojego auta.

– Niezła bryka – pochwaliła. – Ale ja mam lepszą.

– Taaa, jaką?

Kolejny raz nie raczyła odpowiedzieć. Zaczynałem podejrzewać, że w pokątnej fabryczce, w której składali policjantów z części z odzysku, nie zamontowali jej modułu z funkcją odpowiadania na pytania.

Usadowiła się na fotelu pasażera i od razu sięgnęła do kieszeni spodni po paczkę fajek.

– Tu się nie pali – przestrzegłem.

Schowała fajki i skupiła na mnie wzrok na dłużej, po raz pierwszy tego wieczora.

– Wiesz, tak sobie myślę, staruszkule, że jednak macie coś wspólnego z Polańskim i że się przyjaźniliście.

Nie zamierzałem tego komentować.

Było zbyt późno, by czatować przy hurtowni leków czy innych firmach kontrolowanych przez Kozaka, więc od razu pojechałem pod kantor na Grzegórkach. Na zapleczu wciąż paliło się mdłe światło, więc uznałem, że warto tam zostać. A nuż coś się zdarzy, ktoś ciekawy się pojawi.

Mijały kolejne kwadranse. Siedzieliśmy z Łukowską w milczeniu. Jak na jej zwyczaj, nagadała się w drodze do Krakowa. Opowiedziała, że wcześniej pracowała w CBŚP, głównie pod przykrywką. W czasie jednej z operacji wplątała kobietę – cywila – w niebezpieczną grę, która skończyła się źle. Obiecała sobie wtedy, że będzie zawsze chronić kobiety i dobierać się do tyłków mężczyzn, którzy je krzywdzą. „To taki mój rodzaj pokuty”, podsumowała. Jak dla mnie była to niegorsza motywacja do działania. Powiedziała też, że do Katowic została przeniesiona za karę. Początkowo nienawidziła Śląska, ale z czasem jakoś przywykła do nowego miejsca. I, koniec końców, nie najgorzej współpracuje jej się z Polańskim i jego ekipą.

Z tym przywyknięciem chyba trochę przesadzała, skoro piła. Ale to jej sprawa, o ile tylko nie chodziła napita przez cały czas.

A potem powtórzyła prośbę z knajpy i chciała, żebym ze szczegółami opowiedział jej o zaginięciu Tatiany. Najwyraźniej dobrze znała się na swojej robocie, bo zadawała właściwie pytania.

– Za wiele konkretów nie masz – podsumowała.

– Ale wątki zaczynają się kleić. I większość ma związek z Sosnowcem.

– Tyle że stawiasz na Latawca, a niekoniecznie trafisz. I wiesz, co się wtedy stanie?

Oczywiście, że wiedziałem – mogłem wtedy już nigdy nie odnaleźć Ukrainki.

Robiło się późno. Renata raz i drugi sprawdziła godzinę na komórce.

– A my tu tkwimy przy tym kantorze tylko w związku z Kozakiem, o którym wspominałeś?

– Tak nie do końca, ale możesz uznać, że na siłę kleję fakty.

– Trochę spekulacji nigdy nie zawadzi.

Uznałem, że czasami warto głośno pomyśleć, więc zacząłem:

– Kozak zaginał albo się ukrywa. Tego dokładnie nie wiem. Jest powiązany, on lub jego żona, z różnymi biznesami, ale na pewno ma jeden klub go-go. Przynajmniej ten jeden namierzyłem. I chyba zajmuje się stręceniem kobiet, ale to nic pewnego. Żukowski, ten gangus

z Warszawy, o którym ci wspominałem, twierdzi, że Latawiec rozprawia się z konkurencją, więc może on wykręcił coś z Kozakiem.

– Ale dlaczego Latawiec, który wcześniej trzymał się Zagłębia, nagle miałby zacząć panoszyć się po kraju?

– Pytaj mnie, a ja ciebie.

Spojrzałem kolejny raz w stronę kantoru. Smuga światła z niedomkniętych drzwi na zaplecze wciąż nie zniknęła. Kozakowa raczej nie zamierzała tam spędzać nocy, więc na kogoś czekała. Przynajmniej miałem taką nadzieję.

– A ty nie musisz być jutro w fabryce? – upewniłem się.

– Mówiłam, mną się nie przejmuj.

– Daj spokój. Czekamy tu, dopóki żona Kozaka nie wyjdzie, a potem cię odwiozę do Gliwic.

– Zarwiesz noc.

– Nie pierwszy i nie ostatni raz.

Po ulicy coraz rzadziej przejeżdżały samochody, coraz więcej było taksówek. Kraków powoli cichnął. Miałem ochotę zapalić, więc powiedziałem Renacie, że pójde za róg ulicy.

– Chwila, chyba ktoś staje. Zerknąłem we wsteczne lusterko. Ciemny mercedes jechał powoli, aż w końcu zaparkował centralnie przed kantorem. Wysiadł z niego młody mężczyzna i po chwili zniknął w bramie kamienicy. Po kilku minutach wrócił, niosąc w ręku sportową torbę. Światło w kantorze zgasło.

– Czy ty widzisz jego rejestrację? – spytała Łukowska.

Mercedes był na sosnowieckich blachach.

Zeszyt w płóciennej okładce VI

1981/1982

Niepewność, jedna wielka niepewność – ona mnie najbardziej dręczy i dobija. Nie wyobrażałam sobie, że może być jeszcze gorzej w moim życiu i w tym nieszczęsnym kraju. Okazało się jednak, że wcale nie mam zbyt bujnej wyobraźni. Albo surrealityzm rzeczywistości, w której tkwię, całkowicie mnie przerosła.

W pierwsze dni stanu wojennego ulice były prawie tak puste, jak na filmie katastroficznym o zagładzie świata. Poruszały się po nich głównie czołgi i inne sprzęty wojskowe. Przy wojskowych posterunkach ustawiono koksowniki, przy których ogrzewali się żołnierze, bo jedno tylko było takie samo jak przez ostatnie lata – mroźna, śnieżna zima.

Wprost szalałam z niepokoju o Włodka, bo nie miałam pojęcia, co się z nim tam w Warszawie stało. Telefony nie działały, nie było możliwości skontaktowania się z kimkolwiek, kto by coś wiedział. W przypiływie rozpaczyci chciałam szukać informacji u moich dawnych, krakowskich znajomych z opozycji. Ale co oni mogli wiedzieć? Najpewniej tyle co i ja. Krążyły najstraszniejsze plotki i pogłoski. Że czerwoni strzelają do ludzi, zabijają. Że nocami wywlekają ludzi z domów i aresztują. Że niektórzy znikają – tak po prostu. Że działacze Solidarności wywieźli na białe niedźwiedzie, pozamykali w sowieckich łagrach na Syberii. Niepewność, jedna wielka, bez końca.

Konradek nie rozumie, co się wydarzyło i co się wokół niego dzieje. Jak mam mu wytłumaczyć? Że jest wojna polsko-jaruzelska, jak ludzie szepczą między sobą? Jednak, jak to dziecko, wyczuwa moje emocje, mój smutek. Wiem, że jest mu źle, popłakuje, dopytuje się, gdzie jest tata. Próbuję go uspokajać i pocieszać, jak tylko umiem. Tyle że nie mam pojęcia, gdzie jest Włodek. Prawdopodobnie internowali go, zamknęli. Tylko gdzie? I czy mu czegoś nie zrobili. Same pytania bez odpowiedzi. Boże Narodzenie w rozpaczyci. I biedzie, bo zaopatrzenie sklepów coraz gorsze, a właściwie wcale go już nie ma. Na półkach sklepowych jedynie fantazyjne konstrukcje z butelek z octem i słoikami z musztardą. Świetna

ilustracja „obrazu nędzy i rozpacz”. Coś skleciłam na kolację wigilijną, żeby tradycji stało się zadość. Ubraliśmy z Konradkiem choinkę. Drobną chwilą radości. Puste nakrycie dla zbłąkanego wędrowca nabrało w te święta nowego, bolesnego znaczenia. Patrzyłam na nie, z trudem tłumiąc łzy.

Znowu to samo i tak samo. Powtarzalność zdarzeń, stanów i emocji, przywodząca mnie niemal na skraj obłądu. Kolejny raz muszę brać się w garść, z trudem poskładać w jako tako funkcjonującą całość. Dla Konradka.

Noc niemal bez snu, nie liczę już która. Palę papierosa i patrzę, jak wielkie płatki śniegu wirują za oknem. Paznokciem drapię szron na szybie. Prawie nie czuję zimna, bo zimno już od dawna jest we mnie, powoli zamieniając mnie w sopel. Papierosy muszę sobie wydzielać, bo coraz trudniej je zdobyć. Podobnie jak wszystko inne. Z kolei niedobór nikotyny powoduje, że staję się nerwowa. Dzisiaj nawrzeszczałam na Konradka, bo marudził przed pójściem spać, nie chciał się myć. Wstyd mi, ale skąd mam brać siły na to wszystko. Na życie.

Panuj nad sobą, kobieto, panuj!

Kolejny raz zastanawiam się, czy pozostanie w Krakowie nie było poważnym błędem. W Ciechanowie z pewnością miałabym lżej. Ale teraz to już musztarda po obiedzie. Przez wojnę jaruzelską jest zakaz poruszania się po kraju. Trzeba mieć przepustki, pozwolenia. Nie mam energii do starania się o takie rzeczy. Poza tym sytuacja wciąż jest niepewna. Ruszę w drogę z Konradkiem i jeszcze gdzieś utknę. W środku srogiej zimy. Nie podejmę takiego ryzyka. No i powinnam czekać tutaj, w Krakowie, w naszym domu, na wieści o Włodku albo na niego samego. Powinnam, bo jestem jego żoną. I nic tego nie zmieni. Przynajmniej na razie.

Wreszcie dobra wiadomość, chociaż nie obyło się bez strachu. Pukanie do drzwi późnym wieczorem. Serce chciało mi wyskoczyć z klatki piersiowej. Czyżby Czaja sobie o mnie przypomniał?, pomyślałam. Ale nie. Pukanie było inne, nie takie nachalne. Z lękiem odblokowałam zamki i uchylłam drzwi. Na ciemnej klatce schodowej stał mężczyzna, niezbyt wyraźnie widziałam jego twarz. „Pani się nie boi, swój”, powiedział. Jakby słowo „swój” w tych ponurych, skomplikowanych czasach cokolwiek wyjaśniało, uspokajało. „Mam list”, powiedział, podał mi kartkę i zbiegł po schodach.

Konradek wyszedł ze swojego pokoju i spytał, kto to był. Pewnie też bał się niezapowiedzianych gości. Czaja nie przejmował się tym, że nachodzi mnie w mieszkaniu, kiedy jestem z synem. Ale chyba teraz esbek się ode mnie odczepił, co było jedynym plusem tej nieszczęsnej wojny jaruzelskiej. A Konradkowi odpowiedziałam, że ktoś się pomylił, i poprosiłam, by wracał do siebie. Przysiadłam w kuchni, nabrałam powietrza i otworzyłam złożoną na cztery kartkę. „Pani mąż, Włodzimierz Rowicki, jest internowany i siedzi w więzieniu w Iławie”. Tylko jedno zdanie i nieczytelny podpis. Wypuściłam powietrze. Jeszcze wiele razy czytałam to zdanie. Czy to wszystko prawda? I kto mi dostarczył tę wiadomość? Coś mówiło się po kątach, że pozostały jakieś szczątki organizacyjne Solidarności. W telewizji mówili o wichrzycielach, którzy zostaną w końcu złapani, więc coś musiało być na rzeczy. Do tego – kto i po co miałyby sobie robić żarty z tak poważnej sprawy. Przez pół nocy zastanawiałam się, co się dzieje z Włodkiem w tym więzieniu. Czy jest zdrowy? Czy się nad nim nie znęcają? Znowu pytania bez odpowiedzi.

Ciemne tygodnie bez choćby krztyny nadziei. Coraz mniej chce mi się tutaj pisać, bo też za wiele nie ma o czym. Tak samo jak inni ludzie przygasłam. Ze święta Solidarności pozostały jedynie ruiny i zgliszcza, po których błakamy się, próbując jakoś przeżyć dzień za dniem. Nadal pracuję w barze mlecznym, Konradek chodzi do szkoły. Są jakieś pozory normalności, ale jedynie pozory, bo cały nasz świat wygląda jak ze snu wariata. Codzienne zniechęcenie i zmęczenie skutkuje tym, że nie mam czasu na zamartwianie się, przemyśliwanie, co stanie się z nami, z Konradkiem i Włodkiem, z naszą rodziną. Robię, co muszę, a potem padam na łóżko i zasypiam. Tak, wreszcie zasypiam. Ale śnię koszmary, do których niemal już przywykłam. Zresztą niektóre wcale nie są gorsze od jawy.

Ogłoszono horrendalne podwyżki cen żywności. Kolejny raz. Co w sumie jest tragikomiczne, bo i tak trudno ją zdobyć, mimo że obowiązuje reglamentacja – co miesiąc dostajemy kartki na prawie wszystko, co potrzebne do życia. Potem stoimy w długich kolejkach, niepewni, czy akurat tego dnia coś rzucą na sklep, czy starczy dla wszystkich byle jakiej wędliny lub mięsa. Jakoś zorganizowaliśmy się ze znajomymi z kamienicy i stoimy w kolejkach na zmiany. Ktoś ma rodzinę na wsi, więc załatwia mięso i drób, choć to niby nielegalne. Spekulantstwo – takie tam. Życie w tym kraju w ogóle okazuje się mało

legalne. Przychodzi też pomoc z zagranicy, produkty rozdają przy kościołach. Ale to wszystko razem wzięte i tak jest kroplą w morzu potrzeb. Codzienne życie w upodleniu.

Co jakiś czas pojawia się u mnie ktoś z podziemnych struktur Solidarności, przynosi niewielkie sumy pieniędzy. Takie wsparcie. Szanuję ten gest, tę pamięć. Zawsze jakaś pomoc. Gdyby tylko jeszcze za te pieniądze można było coś sensownego kupić...

Pod koniec marca łaskawie przywrócili telefoniczne rozmowy międzymiastowe, więc przynajmniej mogę porozmawiać z matką. Czasami jest dziwnie, kiedy w trakcie rozmowy wcina się głos z informacją czy może raczej ostrzeżeniem, że „rozmowa jest kontrolowana”. Może ktoś słucha, a może nie. Mniejsza z tym, bo i tak od dawna mam wrażenie, że odarto mnie z prywatności. Że jestem naga pośród tłumu.

Z matką staram się rozmawiać o zwykłych sprawach, praktycznych, żeby nie nakręcać się w bólu i żalu. Na takie emocje zwyczajnie nie mam sił. A może już całkiem wypaliłam się w środku? Może. Jednak wspieramy się na odległość, jak potrafimy. Tyle możemy. Nasze relacje nigdy nie były specjalnie bliskie i ciepłe. I najprawdopodobniej się nie zmieniają. Bo chyba przestało mi zależeć na ich naprawianiu.

Horror i zgroza! Tak to się zawsze kończy.

Na początku maja ludzie wychodzą na ulice miast, protestują, nie chcą stanu wojennego, chcą Solidarności. Tli się jeszcze nadzieja... Skończyło się zamieszkami. Tak też było w Krakowie. Ciągłe wyły syreny, słyszałam też coś jakby wybuchy. Strzelali do ludzi? Skandujący tłum... Nie wychodziłam z mieszkania, byłam przy Konradku. Zapytał ze spokojem, całkiem jak dorosły, czy to już przyszła ta prawdziwa wojna. W odpowiedzi mogłam go tylko przytulać i kołysać jak małe dziecko. Żeby pozostał dzieckiem, żeby nie musiał za szybko dorosnąć.

Niby wiedziałam o tym trochę wcześniej, jednak nie czułam się przygotowana, kiedy otwierałam mu drzwi. W głowie miałam gonitwę myśli, które zderzały się ze sobą i w niezrozumiały dla mnie sposób znosiły.

Włodek wrócił z internatu, jak zaczęto nazywać miejsca przetrzymywania internowanych. Przez chwilę staliśmy naprzeciwko siebie i tylko patrzyliśmy. Bez słowa. Wychudł, ale miał tę samą brodę i błysk w spojrzeniu. Z pokoju wypadł Konradek i rzucił się w ramiona

ojca. Włodek podniósł go, przytulił i powiedział: „Synu, wyrosłeś”, stonowany w wyrażaniu emocji, jak to Włodek. A ja w myślach liczyłam, kiedy ostatni raz widziałam męża. Nie mogłam się doliczyć. Potem – wciąż z Konradkiem, który obejmował go w pasie – zrobił krok do mnie, objął i pocałował. Usta miał miękkie i delikatne jak kiedyś.

Wrócił mój mąż, którego będę musiała się nauczyć od nowa. Nauczyć się z nim żyć. Chyba że znowu zabiorą mi go trudne polskie sprawy.

Nie miałam frykasów, ale dałam mu suty obiad. Później bawił się z Konradkiem. Dopiero wieczorem mieliśmy czas, żeby porozmawiać.

Miałam tyle pytań, chciałam wiedzieć, jak było w więzieniu, czy go dobrze traktowali. Powiedział, że nie chce teraz o tym wszystkim mówić, że kiedyś mi opowie. Uszanowałam to, zresztą czy miałam inne wyjście? Włodek zawsze mówił mi tylko to, co chciał powiedzieć. Spytałam też, czy wszystkich już wypuścili. Pokręcił głową. A później dodał, że nie chciał, ale musiał podpisać zobowiązanie, że będzie przestrzegał porządku prawnego PRL-u. Zdziwiłam się, bo przecież mnie stanowczo zakazał podpisywania czegokolwiek. Byłam skołowana, nie miałam pojęcia, co w ogóle znaczy to przestrzeganie porządku. Powiedział, że podpisał, bo chciał być już z nami. Objęłam go i długo płakałam.

Wrócił Włodek, mój mąż.

Rozdział siódmy

Zmyłka

5 lipca 2016, wtorek, Gliwice, Sosnowiec, Grabowa

Obudziły mnie powtarzające się hałasy. Śmieciarze tłukli się z rana, jak to mieli w zwyczaju. Otworzyłem jedno oko, ale zaraz, w lekkiej panice, i drugie. Ewidentnie coś nie grało. Pokój był wysoki, więc w starej kamienicy. Zgadza się. Okno bez zasłonki, które już dawno domagało się mycia, tak jak u mnie. Jednak meble były zupełnie inne i znajdowało się ich tu zdecydowanie mniej niż w moim mieszkaniu. Przetarłem twarz dłonią i wreszcie sobie przypomniałem. Byłem u podkomisarz Łukowskiej.

Trzasnęły drzwi w głębi mieszkania, do pokoju weszła Renata.

– Jaśnie pan raczył się obudzić. Bosko. Ruchy, bo spieszę się do fabryki.

– Kobieto, daj żyć.

– Nie mów do mnie kobieto.

– Dobra, dobra – wiedziałem już, że Łukowska miała krótki zapłon i wkurzała się o byle co. Często też nie wiedziałem z jakiego konkretnie powodu i co powiedziałem nie tak. Usiadłem na karimacie, na której spałem. Trochę łupało mnie w krzyżu. Byłem za stary na takie wygody.

– Tylko się przepłuczę. Może jeszcze śniadanie?

– Zapomnij. Kawa i papierosy.

Byłem w gościach, więc nie protestowałem, tym bardziej że zdarzało mi się poprzestawać na tak wykwinnych posiłkach. Były śniadania polskie, angielskie czy kontynentalne. Ciekawe jakby nazwano to? Śniadanie desperata?

Wypiliśmy po szybkiej kawie, wypaliliśmy po dwie fajki. Renata była gotowa, by z przytupem zacząć nowy dzień, ja zdecydowanie mniej. Milczeliśmy. Wszystko, co było na razie do powiedzenia, wypowiedzieliśmy nocą.

Kiedy wychodziliśmy z bramy starej, zaniedbanej kamienicy, stojący przed wejściem typ w dresie opiętym na pokaźnym brzuchu skinął głową Łukowskiej:

– Powinszowanko, pani policjant. Stosunkowo udana noc była?

– Nie pozwalaj sobie.

Dresiarz tylko uniósł dłonie i wyszczerzył się w uśmiechu, w którym brakowało przynajmniej dwóch zębów.

– Kto to był? – zaciekałem się.

– Powiedzmy, że straż obywatelska.

Podeszliśmy do czarnego audi TT. Piknął zamek centralny, a ja gwizdnąłem z uznaniem.

– Mówiłam, że mam lepszy wózek.

– Bym się spierał.

Przeszła na drugą stronę auta i otworzyła drzwi.

– Renata, chwila. Gdzie tu zjem jakieś porządne śniadanie?

– A co ja, twoja matka?!

– Weź, poleć mi coś.

– Przenocowałam cię, tyle mojej dobroci.

Wskoczyła do auta i odjechała z piskiem. Co było robić, poszedłem do samochodu, szukając w telefonie sensownej knajpy.

Gliwice były zdecydowanie ładniejsze od znanych mi śląskich miast. Zdążyłem się już przekonać, że wbrew pozorom sporo się między sobą różnią. Trafiłem na zadbane, przyjemny dla oka Rynek z imponującym ratuszem pośrodku i – co było dla mnie ważniejsze – niedrogą restaurację. Zjadłem śniadanie angielskie, poprawiłem nie najgorszym sernikiem. Byłem już za stary, by biegać za zbójami na głodniaka. Małymi łykami piłem kawę, nie jakąś wyborną, ale na pewno lepszą niż zalewajka u Łukowskiej. Miałem trochę czasu, żeby poukładać sobie w głowie fakty i sporządzić plan działania. Przynajmniej na ten dzień.

Kilka godzin wcześniej jechaliśmy za mercem na sosnowieckich blachach. Trochę się obawiałem, czy nocą na pustawych drogach mężczyzna nie zorientuje się, że ma ogon, ale nie był specjalnie czujny. Łukowska zadzwoniła na komendę, żeby sprawdzili, kto jest właścicielem merca. Mieli oddzwonić. Potem znowu pokonywałem trasę Kraków–Sosnowiec, odwożąc Renatę do domu. Pomyślałem, że niedługo będę mógł jeździć tą drogą z zamkniętymi oczami.

– I co o tym myślisz? – pytanie podkomisarz wyrwało mnie z zamyślenia.

– Mówiłem ci. Pod jaki kamień bym nie zajrzał, znajduję coś związanego z Sosnowcem.

– Ten cały Latawiec ściąga haracz od Kozaków?

- Albo trzyma u siebie Kozaka i chce za niego okup. Trudno powiedzieć.
- Wtedy raczej nie wysyłałby kogoś od siebie do żony Kozaka.
- Słuszna uwaga.

Renata wyjęła papierosa, poobracała w palcach, a potem włożyła go sobie za ucho. Grzeczna dziewczynka.

– Kozakami pomartwisz się później – zaczęła – teraz ważne, że namierzyliśmy żołnierzyka Latawca.

– O ile on jest od niego.

– Co z ciebie taki detalista? Latawiec rządzi okolicą, więc zakładamy, że ten gość biega dla niego, pasuje?

– Wstępnie.

Prychnęła.

– Z tego, co mówiłeś, nie masz podejścia do samego Latawca, więc musisz próbować czegokolwiek dowiedzieć się o ich organizacji od innych, cieńszych bolków.

– Sam to wiem.

– Ja bym po prostu dzisiaj typa zatrzymała i wydusiła z niego wszystko, co wie.

– Renata, ja tak nie działałam.

– Ale ja tak. I często przynosi to efekty.

– Trzeba do tego podejść na spokojnie i ostrożnie, bo możemy tylko niechcący zaszkodzić Tatianie. Muszę mieć plan, jak to najkorzystniej rozegrać.

– Ale...

Zadzwoiła jej komórka, odebrała i słuchała przez krótką chwilę, po czym powiedziała:

– Samochód jest zarejestrowany na Wojciecha Nęcę, zamieszkałego przy Ostrogórskiej w Sosnowcu.

– Na wszelki wypadek pojedziemy za nim. Sprawdzimy, czy to właściciel prowadzi auto.

– Ty i ta twoja ostrożność. Wracając do tematu, róbmy po twojemu, ale, żeby było jasne, to wcale nie znaczy, że przez cały czas będziesz mnie trzymał na smyczy.

– Nawet mi to nie przeszło przez myśl – powiedziałem z powagą.

Okazało się, że za kierownicą merca siedział Nęcka, który zaprowadził nas na blokowisko PRL-owskich wieżowców przy ulicy Ostrogórskiej.

Prawie świtało, więc Renata powiedziała, że nie muszę się tłuc z powrotem do Krakowa, że mogę przenocować u niej. Tylko żebym sobie niczego więcej nie obiecywał. Zaskoczyła mnie.

Tyle o naszych nocnych z Renatą działaniach. Zgasilem papierosa, przeciągnąłem się, mając gdzieś, czy ktoś z siedzących w ogródku gliwickiej restauracji będzie miał mi to za złe. Porządne śniadanie, kawa i papieros rozjaśniły mi w głowie. Wiedziałem już, jak posłużyć się Nęcą. Plan może nie był idealny, ale mógł przynieść ciekawe efekty.

Pojechałem do Sosnowca na Długą, żeby dalej obserwować chałupę Latawca. Wiedząc już o nim co nieco, zakładałem, że gangus nie rusza się bez wyraźnej potrzeby z domu, więc i teraz tam przebywa. Uznałem, że dalsza obserwacja od strony lasu nic ciekawego nie przyniesie, więc zaryzykowałem i zaparkowałem na ulicy, tyle że w bezpiecznej odległości. Mało kto szwendał się chodnikami, obok mnie przemykały tylko samochody i autobusy. Miałem nadzieję, że nikt się mną nie zainteresuje.

Byłem niedospany, więc poszukałem w radiu stacji nadającej rockową muzykę. Taki prosty sposób pobudzenia. Znowu przez długi czas nie działało się nic ciekawego. Popatrywałem w stronę bramy prowadzącej do włości Latawca, gapiłem się w komórkę i słuchałem starych dobrych numerów z lat osiemdziesiątych. Wreszcie jakiś ruch. Pod bramę podjechał kurier i przekazał paczkę mężczyźnie w czarnym stroju. Nie był to jednak gość, którego wczoraj widziałem na tarasie, miał na sobie tylko taki sam strój. Czyżby Latawiec umundurował swoich ludzi? Może miał takie przyzwyczajenia z lat dawnej służby, kto go tam wiedział.

Wybrałem numer Jacka Kosturkiewicza. Nie odebrał, więc pewnie nie zmyślał, że będzie miał sajgon w robocie. Wysłałem mu esemes z prośbą, żeby wydobył mi, jeśli ma takie możliwości, listę firm i nieruchomości, które ma Latawiec. Uruchomiłem laptop. Miałem czas, więc mogłem dokładnie przyjrzeć się lokalnemu imperium byłego esbeka, któremu – wszystko na to wskazywało – zamarzyła się ekspansja. Właściwie po co? Może zadziałała stara zasada, że kto się nie rozwija, ten się cofa. Albo chłop na stare lata zwyczajnie potrzebował jeszcze jednej dawki adrenaliny, bo znudziło mu się życie, którego główną atrakcją są cygara wypalane na tarasie.

Zadzwoiła komórka.

– A już myślałem, że na śmierć zapomniałeś o swoim przyjacielu – powitałem Kozieja.

– Raczej o wrzodzie na dupie.

– Też mi miło, że cię słyszę.

– Miałeś nosa z tym Ukraińcem.

– Zamieniam się w słuch.

– Maksym Szewczuk miał zarejestrowanego na siebie starego forda transita. Kilkanaście dni temu w lesie pod Przemyślem znaleziono spalony wrak tego auta.

Przełknąłem ślinę. Nie żebym żałował Ukraińca, bo pewnie nie był dobrym człowiekiem, ale taka wiadomość oznaczała dla mnie, że mam do czynienia z ludźmi, którzy się nie patyczkują.

– Sam wrak, żadnych zwłok? – spytałem.

– Tylko wrak. Konrad, w co ty się znowu wpakowałeś? W jakieś porachunki między Ukraińcami? Co ty tam robisz, do kurwy nędzy?

Westchnąłem. Wiem, Koziej zwyczajnie się o mnie martwił. Do tego zwykle zakładał najczarniejsze scenariusze wydarzeń. I miewał rację.

– Teraz? Nic nadmiernie niebezpiecznego. Obserwuję jednego byłego esbeka, a obecnie szanowanego biznesmena.

– Jaki, kurwa, znowu esbek?

– Normalny, stary.

Teraz Koziej westchnął przeciągle.

– Dobrze ci radzę, odpuść tę sprawę.

– Niby dlaczego?

– Bo historie z byłymi esbekami najczęściej kończą się ponuro.

– Ale ja tylko...

– Nie chcę nic więcej wiedzieć. Jestem prostym technikiem kryminalistycznym, a nie zbawcą niewinnych i świata w ogóle.

Nie zdążyłem podziękować mu za światłą radę, bo się rozłączył.

Uznałem, że Szewczuk jest już tylko wspomnieniem. Pewnie zakopali go gdzieś w lesie i jeśli nie dobierze się do jego zwłok zwierzyna, nikt jego ciała nie odkryje. A na pewno nie prędko. Ludziom, którzy go dopadli, najprawdopodobniej na nic był stary transit, więc go spalili, by zatrzeć ślady. Albo im się spieszyło. Tylko skąd wiedzieli, że Ukrainiec jest trybikiem w maszynie, która organizuje nieświadome kobiety, by pracowały – jak to ujął Żukowski – na zmywaku? Jak go namierzyli? Szewczuk mieszkał i handlował lewymi fajkami w Sosnowcu. Ludzie

Latawca na pewno o nim wiedzieli. Najprostsze odpowiedzi zwykle są trafne. Obserwowali go, zobaczyli, że ma udział w handlu kobietami, więc go przykładowo skasowali. Może więc wcale nie chodziło o ekspansję bandy Latawca, tylko o samego Szewczuka i lokalne porachunki? Typ wszedł w drogę złym ludziom, więc dostał za swoje. Z drugiej strony równie możliwe było, że Żukowski nie powiedział mi wszystkiego o swoich problemach z Latawcem. Nie musiał. Przecież nie zadzwonię teraz do niego po informacje. Zresztą nie sądzę, że byłby skłonny powiedzieć mi więcej, niż zdradził podczas naszego spotkania w Warszawie.

Znudziło mi się siedzenie na tyłku w miśku i słuchanie starych przebojów. Zrobiło się późne popołudnie. I wtedy wreszcie zaczęło się coś dziać. Z posesji Latawca wyjechał czarny mercedes gelenda, wyglądał na nowkę. Samochód nie w moim stylu, ale solidny, z potężnym silnikiem i za potężną kasę. Jednak w stylu Latawca mógł być. Założyłem, że żaden z przydupasów bossa nie wozi się taką furą dla własnej przyjemności, więc ostrożnie ruszyłem za nimi.

Nie była to krótka przejażdżka. Wyjechali z miasta i kierowali się na północny wschód. Na początku bez problemu ich śledziłem, bo jechaliśmy przez miasto, ruch był spory, więc łatwo było mi się kryć za innymi autami. Potem jednak zaczęły się schody – skręcali w jakieś boczne drogi pośród lasków i pól. Nigdy nie byłem w tych okolicach. Trzymałem największy dystans, jaki się tylko dało. W Niegowonicach odbili na Grabową, przetoczyli się przez wieś, sprawiając, że sporo głów obróciło się za nimi. Skręcili na rozjeździe przy kościele, a potem jeszcze raz i kolejny. Dalej nie mogłem już za nimi jechać, jeśli nie chciałem, żeby mnie odkryli. Spojrzałem w stronę, w którą się skierowali. W oddali majaczyła ściana lasu, miałem więc nadzieję, że droga jest jednokierunkowa. I że to właśnie Grabowa była celem ich przejażdżki.

Zostawiłem miśka i poszedłem drogą, którą odjechał mercedes. Po kilkuset metrach ostro skręcała w prawo. Przystanąłem. Na środku sporego otwartego terenu, z dwóch stron ograniczonego lasem, znajdowało się duże, ogrodzone gospodarstwo. Na pewno stało tam kilka szklarni i dwa albo trzy budynki. Czyli pseudo Latawca, Badylarz, nie wzięło się z niczego i najwyraźniej do dzisiaj miał słabość do upraw szklarniowych. Chciałem dokładniej obejrzeć podległą nieruchomość, ale nie zaryzykowałem, by pójść dalej. A nuż ktoś pilnował terenu. Na

otwartej przestrzeni byłbym widoczny jak na dłoni. Wróciłem do auta i pojechałem na skraj wsi, który znajdował się najbliżej lasu i w miarę niedaleko od szklarni z przyległościami. Zabrałem ze sobą lornetkę i wszedłem między drzewa. Zaczynałem lubić tereny leśne, chociaż bałem się, że użre mnie kleszcz. Borelioza jest ponoć bardzo nieprzyjemną chorobą.

Szedłem lasem przez dobre pół godziny, bo jego brzeg w tej okolicy był postrzępiony jak modne ostatnio spódnice, a nie chciałem się rzucać nikomu w oczy, wychodząc na otwarty teren. Wreszcie dotarłem do szklarni tak blisko, jak tylko mogłem. Przez lornetkę lustrowałem teren. W rzędzie stało pięć szklarni, obok nich kotłownia, a jakieś sto metrów przed szklarniami dwupiętrowy klockowaty budynek, wyglądał na mieszkalny. Poza tym bliżej nieokreślone parterowe budynki, może garaże, może magazyny, cholera wie. Mercedes był zaparkowany przed domem. Na całym terenie dostrzegłem tylko jednego człowieka – stał obok zamkniętej bramy prowadzącej na teren gospodarstwa. Czyli jednak wystawili straż. Pochwaliłem się za przezorność. Wyjąłem komórkę, by wszystko obfotografować. Nie było zasięgu. Uroki lasu.

Całe gospodarstwo wydawało mi się dziwne. Przez chwilę szukałem słowa. Tak, było niespójne. Dom wyglądał na nieremontowany od dziesięcioleci. Pewnie postawiono go, podobnie jak i szklarnie, w latach osiemdziesiątych, kiedy badylarstwo było interesem życia, a badylarze życia królami. Ogrodzenie terenu wyglądało na względnie nowe. Tylko w dwóch szklarniach coś rośło, a przynajmniej tak mi się wydawało, bo badylarz ze mnie żaden. Marihuana? Raczej nie, bo Latawiec ponoć nie wchodził w handel narkotykami. Jednak samo miejsce byłoby wprost idealne na dyskretną uprawę. Nie musiało jednak chodzić o narkotyki, ale każdego rodzaju nielegalną działalność, którą próbuje się ukryć przed ludzkim okiem, i owszem.

Postanowiłem zakończyć obserwację domu Latawca, bo w tym gospodarstwie mogłem zobaczyć ciekawsze i bardziej przydatne mi rzeczy. Zbierałem się, by wracać do samochodu, kiedy zobaczyłem, że z domu wychodzi Latawiec z jednym ze swoich ubranych na czarno przydupasów.

Zrobiłem mu piękną fotografię, chociaż nie byłby z niej pewnie zadowolony, bo minę miał krzywą.

Kiedy tylko wyszedłem z lasu, telefon zaczął pikać. Dzwoniła Oksana, potem Wiera. Ki czort? Co się mogło stać? Prawdopodobieństwo, że znowu odezwała się Tatiana, było, jak dla mnie, równe zeru. Za chwilę przyszedł esemes od Wiery. „Musimy się z Tobą spotkać”. Musimy? Zadzwoiłem do jednej i drugiej. Nie raczyły odebrać.

Wróciłem do centrum wsi, w sklepiku kupiłem mineralną i batony. Burczało mi już w brzuchu, lecz w tym upale nie miałem ochoty na nic konkretniejszego. Stałem przed miśkiem i zapaliłem. Zastanawiałem się, co robić. Wskoczyć na szybko do Krakowa czy od razu wrócić do Sosnowca. Zaniepokoiła mnie nagła chęć Ukrainek, żeby się ze mną spotkać. Wiera, jak mi się wydawało, była skłonna do rozmaitych spontanicznych albo wręcz szalonych akcji. Ale Oksana? Właściwie powinienem sprawdzić, z czym do mnie dzwoniły. Za kierunkiem na Kraków przemawiała też konieczność, tak, konieczność, zmiany ciuchów. Nie byłem przesadnie wydelikacowany, ale chodzenie przez dwa dni w tych samych ciuchach, i to w upale, przestawało być przyjemne. Stwierdziłem jednak, że znacznie pilniejsza była realizacja mojego planu w Sosnowcu. Im szybciej, tym lepiej. Postawiłem więc na Sosnowiec. Ukrainki mogły do mnie oddzwonić, jeśli faktycznie sprawa była pilna.

Zadzwoiłem do Łukowskiej, czy chciałyby uczestniczyć w niespecjalnie regulaminowym rozpytaniu. Odparła, że z wielką chęcią. Po prawdzie tego właśnie się obawiałem.

Nie ujechałem nawet pięciu kilometrów, kiedy zadzwonił telefon. Wiera. Zjechałem na pobocze i odebrałem.

– I czemu ty nie odbierasz? – wystartowała z pytaniem.

Ani „cześć”, ani „co tam u ciebie”. Poczuję się nieswojo.

– Mogę zapytać o to samo.

– Bo byłem zajęta.

– Ja też.

Słowny ping-pong nie miał najmniejszego sensu, więc go przerwałem:

– Wiera, posłuchaj, nie mam za wiele czasu, więc powiedz mi, o co chodzi z tym spotkaniem. Oksana dowiedziała się czegoś nowego?

– No nie. I właśnie o to chodzi, że nic nie wiemy.

– Nie rozumiem cię.

– Oksana wariuje. I ja trochę z nią. Nie informujesz jej, co robisz. I czy są szanse, że w ogóle kiedykolwiek odnajdziesz Tatianę.

Uśmiechnąłem się pod nosem. Zleceniodawcy zawsze byli niecierpliwi, chcieli informacji, rozwiązań zaraz, jak najszybciej. Zwykle nie docierało do nich, że każda sprawa, jeśli ma być prowadzona porządnie, wymaga czasu.

– Prowadzenie takiej sprawy nie jest jak składanie kostki Rubika na czas.

– Teraz to ja nie rozumiem...

– Nieważne. Po pierwsze, nie umawiałem się z Oksaną, że będę składał jej dzienne raporty. Po drugie, jestem już naprawdę blisko dowiedzenia się, gdzie jest Tatiana – tak mi się wydawało, ale to nie był czas, aby dzielić się z Wierą wątpliwościami i wyjaśniać, co w tej sprawie może jeszcze pójść źle. – Więc z łaski swojej siadźcie spokojnie na tyłkach i dajcie mi pracować moim tempem.

Cisza. Długa. Nawet spojrzałem na wyświetlacz, czy nie zerwała połączenia. Była tam.

– Wiera...

– Jesteś nieprzyjemny dla mnie.

Czy aby na pewno? Moment na zajmowanie się jej nastrojami nie był najlepszy. Nie zamierzałem przeproszać ani z niczego się tłumaczyć.

– Mam niedługo umówione spotkanie.

– Czy chodzi o to, co się ostatnio stało między nami? Jesteś zły, bo powiedziałam, że z tobą nie będę?

Byłem zły? Dobre pytanie. Na pewno nieco zawiedziony. I bez wątplenia mocno skołowany. A w tym momencie, na dokładkę, zirytowany jej pytaniami.

– O nic mi nie chodzi – burknąłem i się rozłączyłem.

Długi, wczesnolipcowy dzień kończył się krwawą łuną na zachodzie, kiedy podjeżdżałem pod blok przy ulicy Ostrogórskiej w Sosnowcu. Łukowska już na mnie czekała. Stała, oparta o maskę swojego auta, i paliła. Kiedy do niej podszedłem, pstryknęła niedopałkiem przed siebie i spytała:

– Myślisz, że jest u siebie na kwadracie?

Nie traciła czasu na konwenanse, jak zwykle.

– Sprawdzimy, jeśli nie, zaczekamy. Nie sądzę, żeby w środku tygodnia długo bujał się po mieście.

Poszliśmy w stronę długiego, jedenastopiętrowego wieżowca z dziwnie porozmieszczanymi klatkami schodowymi, więc zajęło nam trochę czasu,

zanim znaleźliśmy właściwą. Jechaliśmy na dziewiąte piętro starą, ciasną windą, która trzeszczała tak, jakby za chwilę miała się zerwać.

- I jaki jest plan? – spytała Renata.
- Dusimy go, aż powie wszystko, co wie.
- Tyle to sama wiem.
- Mam też niespodziankę na koniec.
- Jaką?
- Zobacysz.

Pokręciła głową.

– Tajemniczy faceci wcale nie są interesujący, jak im się zdaje.

Nie skomentowałem.

Stanęliśmy przed drzwiami mieszkania Nęcki, zza których dobiegała dyskotekowa łupanka.

- Nie wiemy, czy jest sam, więc ostrożnie – poprosiłem.
- Jasna jasność.
- Masz kajdanki?
- Zawsze – powiedziała z lekkim uśmiechem.

– Glebimy go, ty go kujesz, a ja sprawdzam mieszkanie, czy jest czysto.

Skinęła głową, a ja zadzwoniłem. Szczęknęły zamki, drzwi otworzyły się prawie na oścież. Gość nie był ostrożny. Albo zwyczajnie głupi.

– Czego znowu? – zagał przyjaźnie.

Bez słowa z całych sił walnąłem go otwartymi dłońmi w klatkę piersiową. Był tak zaskoczony, że poleciał na plecy jak bezwładny zuczek. Zaraz dopadła go Renata. Przebiegłem obok nich. Sprawdziłem dwa pokoje, kuchnię i łazienkę. Nęcka był sam.

Zamknąłem drzwi wejściowe. Mężczyzna leżał na brzuchu ze skutymi z tyłu rękami. Łukowska klęczała obok, wbijając kolano w jego plecy. Chyba minął mu pierwszy szok, bo zaczął się wiercić i krzyknął:

– Kurwa, zajebię was!

Renata chwyciła go za włosy i stuknęła jego głową o podłogę. Chyba nie nazbyt delikatnie, bo jęknął.

– Morda, bo zrobi się gorzej.

Zamilkł. Postawiliśmy go do pionu. Zaprowadziłem go do pokoju i usadziłem na krześle. Z Renatą stanęliśmy przed nim. Dyszał ciężko. Jego wzrok skakał ode mnie do Renaty. Nie spieszyłem się z zadaniem pierwszego pytania. Chciałem, żeby miał czas na wyobrażenie sobie, co złego może mu się niedługo stać. Od niechcenia wyciągnąłem glocka

z kabury, a potem powoli schowałem broń z powrotem. Taka mała prezentacja strategiczna.

– Wiem, że pracujesz dla Latawca – zacząłem, powoli cedząc słowa i zaklinając w duchu, żeby okazało się to prawdą – i to o niego nam tylko chodzi. Odpowiesz na kilka pytań, a pozostaniesz cały. Względnie – spojrzałem wymownie na Renatę. – A my znikniemy z twojego nędznego życia.

– Jakiego Latawca? – wypalił Nęcka.

Łukowska zrobiła dwa kroki i uderzyła go z otwartej w bok głowy. Popatrzył na nią nienawistnie.

– Byłeś wczoraj w Krakowie, żeby odebrać kasę dla szefa. My wszystko wiemy.

– Nigdzie nie byłem.

Dostał od Renaty w drugą stronę pustego łba.

– Jebana suka – wysyczał.

Jego błąd, bo zaraz krótki sierp podkomisarz wylądował pod jego okiem. Pomyślałem, że będzie miał naprawdę solidne limo.

– Renata, starczy na razie – rzuciłem ostrzegawczo.

Wzruszyła ramionami i cofnęła się o krok.

Nęcka podniósł opuszczoną wcześniej głowę. Chyba ciągle nie rozumiał sytuacji, w jakiej się znalazł, bo rzucił hardo:

– Nie daruję! Złożę na was skargę.

– A do kogo? – zainteresowałem się.

– Psy nie mogą lać ludzi.

Roześmiałem się, Renata mi zawtórowała. Doskonale weszła w rolę. Zbój patrzył na nas nic nierozumiejącym wzrokiem.

– Tak się składa, że nie jesteśmy z policji – oznajmiłem mu. – Jeśli nie chcesz spędzić kilku miesięcy w szpitalu na leczeniu skomplikowanych złamań, gadaj.

Łukowska wykonała gest, jakby znowu chciała go uderzyć. Szarpnął się w tył tak gwałtownie, że przewrócił się razem z krzesłem. Renata ustawiła mebel, a ja wziąłem zbója za fraki i usadziłem z powrotem.

– Wojtek, Wojtek, bądź mądry i oszczędź sobie bólu. Będziesz mówił?

Skinął głową.

– Zacznijmy od początku – powiedziałem spokojnie. – Pracujesz dla Latawca?

– Tak.

– Widzisz, nie bolało – pochwaliłem go. – Odbierałeś wczoraj kasę z kantoru na Grzegórkach. Za co ta kasa?

– Ta baba z kantoru...

– Słownictwo – syknęła Renata, pewnie odruchowo.

– Ta Kozak – poprawił się – z kantoru odpłaca się Latawcowi za dziewczyny, które dla niej robią.

– A Kozak, jej mąż, co z nim zrobiliście?

– Ja tam nie wiem...

– A chcesz znowu zarobić w mazak? – spytała beznamiętnie Renata.

– Naprawdę nie wiem. Gdzieś zniknął.

– A przypadkiem nie wy go trzymacie?

– Nie wiem, nie wiem. Robię, co mi każą, i nie interesuję się resztą. Tego chce od nas szef.

W sumie rozsądnie. Informacja jest bronią, więc byle kto nie powinien mieć do niej dostępu.

– Dobra, a gdzie trzymacie kobiety, które pracują dla Latawca? Tutaj, w Sosnowcu?

– Trzymamy? – zrobił taką minę, jakby nie rozumiał.

– Gdzie mieszkają, gdzie je znaleźć?

– Aaa, te, co tańczą na rurach w klubach. Zwykle mają pokoje przy klubach albo gdzieś blisko.

– Chodzi mi o te inne dziewczyny, bardziej na sprzedaż – rzuciłem na podpuchę.

– Nie wiem, o co...

– Wojtek, naprawdę chcesz, żeby koleżanka ci coś złamała? – skinąłem w stronę Łukowskiej. – Ona bardzo nie lubi takich facetów jak ty, chyba już poczułeś?

– Nie wiem, nie wiem, uwierzcie mi – brzmiał coraz bardziej żałośnie. – Ja tylko odbieram kasę albo czasami komuś stuknę, jeśli mi każą.

Podszedłem do niego, mocno chwyciłem za brodę, spojrzałem w oczy i spytałem:

– I nic a nic o nich nie słyzałeś?

– Że trzymają je gdzieś za miastem – pękł wreszcie. – Nic więcej, klnę się...

– Boga i matkę zostaw w spokoju – przerwała mu Łukowska.

Wydawało mi się, że nie kłamał i więcej nie wiedział. Był tylko płótką. Poklepałem go po policzku.

– Grzeczny chłopak. Teraz koleżanka zdejmie ci kajdanki, a ty nawet nie drgniesz, jasne? – skinął głową. – Gdzie masz komórkę?

– W kieszeni spodni.

Wyciągnąłem ją i schowałem.

– My wyjdziemy, a ty posiedzisz tu sobie spokojnie przez pół godziny. Bez żadnych głupich numerów. Inaczej wrócimy.

Znowu skinienie głową.

Renata podeszła do Nęcki i zniecierpliwiona zadała mu cios pod drugie oko. Z jękiem zwałił się na podłogę.

– Za to, że przykładasz swoje brudne łapy do dręczenia kobiet – wyjaśniła zbójowi, rozkuwając go.

Mogła sobie darować ostatnie uderzenie, ale tego nie zrobiła. Wiedziałem, że lekko z nią nie będzie.

– Aha, i przekaz szefowi pozdrowienia od Żukowskiego z Warszawy. Będzie wiedział, o co chodzi – rzuciłem na odchodne.

Renata spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

Uznałem, że co trzy głowy, to nie dwie, więc jeszcze tego samego wieczoru wprosiłem się razem z Renatą do Kosturkiewicza, który był już po służbie, żeby omówić naszą sprawę.

– To ty jesteś partnerką Krzyśka w wydziale w Kato? – spytał Jacek po tym, jak przybili z Renatą piątki.

– U nas nie ma stałych partnerów.

Znając już trochę Łukowską, sądziłem, że stwierdzenie odnosi się nie tylko do spraw służbowych.

– Okej, z czym do mnie przychodzicie? – młodszy aspirant od razu przeszedł do rzeczy.

– Zdobyliśmy trochę nowych informacji. Chciałbym omówić z wami plan. O ile, Jacek, wciąż chcesz dopaść Latawca – wolałem się upewnić.

– Nic się nie zmieniło od naszego ostatniego spotkania.

Opowiedziałem w skrócie, czego dowiedzieliśmy się od Nęcki. I o gospodarstwie szklarniowym. Kosturkiewicz podrapał się po głowie.

– Trochę wiemy, ale wciąż, moim zdaniem, za mało.

– Bo? – spytałem.

Jacek bez słowa wyszedł z pokoju i po chwili wrócił z wydrukiem w ręku.

– Jak chciałeś, wydobyłem od kumpla z obyczajówki listę biznesów Latawca. Przynajmniej tych, które udało się im namierzyć.

Położył kartkę przed nami. I zaczął wskazywać na niej kolejne punkty, mówiąc:

– Większość tych miejsc jest w miastach. Zobaczcie. Oczywiście w Sosnowcu, także w Będzinie czy Dąbrowie Górniczej. Ale są też, oprócz Grabowej, inne lokalizacje poza miastami. Magazyn pod Jaworzniem, jeszcze jakieś trzy nieruchomości po wioskach. Obserwacja tych miejsc zajmie dużo czasu, tym bardziej że jest nas tylko troje, a tylko ty działasz oficjalnie. W miarę.

– Stawiałbym na Grabową. Nie przez przypadek Latawiec dzisiaj tam pojechał – oznajmiłem.

– Czepiłeś się tego miejsca, bo tam już byłeś – Jacek wciąż był sceptyczny.

– Na razie przy niczym się nie upieram, ale ta lokalizacja wydaje mi się najbardziej obiecująca.

– Ale to wciąż nie zmienia faktu, że nie możemy tam wejść bez rozpoznania, na głupa, bo możemy tylko spalić całą akcję. A rozpoznanie wymaga cierpliwości i przede wszystkim czasu.

– Niekoniecznie. Trochę potrząsnąłem gniazdem os.

– Aaa, załapałam wreszcie, o co ci wcześniej chodziło – powiedziała Łukowska.

– Wyjaśnicie mi, o co biega? – Kosturkiewicz się zirytował.

– Nęcę odwiedziliśmy niby jako ludzie Żukowskiego – powiedziałem.

– Tego gangusa z Warszawy, o którym mi mówiłeś? – dopytał Jacek.

Skinąłem głową.

– Sprytne – pochwalił.

– Niech Latawiec myśli, że mu grozi wojenka, że ktoś się już na niego zasadza. Może zacznie wykonywać nerwowe ruchy.

– Z tego może coś być – uznała Renata.

Kosturkiewicz znowu wyszedł i tym razem przyniósł trzy butelki piwa. Łukowska wzięła jedną i skinęła głową. Ja nie chciałem popijać, bo miałem za sobą cały dzień roboty, a czekał mnie jeszcze powrót do Krakowa. Bywałem rozsądny, chociaż pewnie, jak uznałaby moja starowinka, zdecydowanie za rzadko.

– To jaki jest plan? – spytał Jacek.

– Będę obserwował Grabową, a wy zorientujcie się, czy w czterech pozamiejskich lokalizacjach dzieje się coś podejrzanego.

– Obskoczę trzy wioski koło Sosno, ale dopiero jutro po służbie – zastrzegł Kosturkiewicz.

– Biorę Jaworzno.

– Kiedy tylko trafimy na jakiś ślad przetrzymywanych kobiet albo, najlepiej, je zobaczymy, wkraczamy.

– Tak sami, bez wsparcia? – Jacek chyba nie był przekonany do tego pomysłu.

– Wy i tak działacie nieoficjalnie, poza swoimi rewirami – przypomniałem mu, w co właściwie się zaangażował.

– Rzykujemy swoje kariery...

– Kariery, dobre sobie – Renata prychnęła.

– Masz z tym jakiś problem? – chciałem być pewny, na czym stoję.

Kosturkiewicz pociągnął spory łyk piwa.

– Właściwie nie.

Zeszyt w płóciennej okładce VII

Rok 1982

Było dobrze przez trzy dni. W miarę dobrze. Nie wiem, czy spodziewałam się czegoś więcej. Pewnie nie, bo jest we mnie coraz więcej cichej rezygnacji.

Włodek, jak na niego, bardzo się starał. Spędzał czas z Konradkiem, pomagał mu w odrabianiu lekcji. Z własnej inicjatywy poszedł w kolejkę do mięsnego, kupił kawałek wołowiny i ugotował rosół. Był przesolony, ale doceniłam gest.

Całe trzy dni...

Potem ewidentnie zaczęło go nosić. Snuł się po mieszkaniu z kąta w kąt, odpalał papierosa od papierosa. Burczał na mnie albo odpowiadał na pytania półsłówkami.

Którejś nocy kochaliśmy się szybko i gwałtownie. Włodek tak lubił, ja nie bardzo. Na początku małżeństwa mówiłam mu, żebyśmy spróbowali inaczej, ale nie mogłam go przekonać. I tak zostało. Przywykłam.

Kiedy leżeliśmy po seksie, próbowałam go wypytać, jak było w internacie, bo wcześniej sam z siebie nie zaczynał tego tematu. Powiedział, że na początku trochę nimi poniewierali, szturchali i lżyli, ale u nich w Iławie nie działa się nic strasznego. Nikogo nie bili. A później było już tylko nudno, więc żeby zabić czas, organizowali sobie kółka samokształceniowe. Ale i tak, koniec końców, było potwornie nudno. Tylko tyle powiedział. Chciałam wiedzieć więcej, jak żył, co czuł przez te długie miesiące, kiedy nie było go z nami. Zbył mnie, twierdząc, że nie ma o czym opowiadać. Czasami, kiedy nie mogę zasnąć i leżę bez ruchu obok Włodka, zastanawiam się, czy dobrze zrobiłam, że za niego wyszłam. Już w narzeczeństwie zauważyłam, że jesteśmy bardzo różni, jednak miałam nadzieję, że kiedyś się dogramy, bo przecież łączy nas uczucie. Nic z tego nie wyszło. Zwyczajnie byłam naiwna. Właściwie z każdym rokiem oddalamy się od siebie coraz bardziej. W ostatnim czasie było to też oddalenie w sensie jak najbardziej fizycznym. Nie było go przy mnie, przy synu. Miesiącami. Kiedy go bardzo potrzebowałam. Jego

wsparcia i pomocy. Czy to małżeństwo da się jakoś uratować? Czy da się polatać nasz porwany związek? Czy w ogóle jest sens latać nietrwałą fastrygą? Dzisiaj wieczorem przyszedł do nas mężczyzna. Nie raczył się przedstawić, ale Włodek sprawiał wrażenie, że go znał. Wyszli razem. Mąż wrócił późno, ledwie zdążył przed godziną milicyjną. Kiedy go spytałam, gdzie był i co robił, odpowiedział, że nie może mi powiedzieć. Tak ponoć ma być lepiej dla mnie. Że w ogóle dla mojego i synka bezpieczeństwa będzie lepiej, żebym o niczym nie wiedziała.

Ciągle ta sama śpiewka, która zaczynała dla mnie brzmieć coraz bardziej fałszywie.

Życie równoległe – tak to sobie nazwałam. Przeczytałam gdzieś, że nazywanie własnych odczuć, stanów emocjonalnych pomaga w zrozumieniu, kim się jest i czego się chce. Od innych i świata. Mnie nie pomogło. Życie równoległe – zwykłe określenie stanu faktycznego.

Chodziłam do pracy, przywykłam już do baru mlecznego, bo nie miałam innego wyjścia. Konradek chodził do szkoły. A Włodek chodził, gdzie chciał. Czasami przynosił jakieś pieniądze. Mówił, że opozycja mu, nam, pomaga, więc on też musi pomagać. Że inaczej się nie da. A poza tym nie chce siedzieć z założonymi rękami, kiedy inni jeszcze walczą, mają nadzieję.

Znikał. Czasami na dzień. Czasami gdzieś wyjeżdżał na dłużej. Nie pytałam, bo i tak by nie opowiedział o szczegółach. Bo wszystko to tajemnica...

Włodek niby był, a jakby go nie było.

Nie wytrzymałam! Nie zniosłam już tego, ileż można!

Włodek zarzekał się na wszystkie świętości, że pójdzie razem ze mną na zakończenie roku szkolnego Konradka. Pochwali synka za świadectwo. Konradek mimo całego zamętu wokoło niego uczył się dobrze. Był bystry, nauka zawsze przychodziła mu łatwo. Wiedziałam, że dla Konradka było ważne, aby tego właśnie dnia ojciec był z nim. Chciał wręczyć ojcu świadectwo z paskiem, a potem wrócić razem do domu, zahaczając o cukiernię, bo należało mu się choćby ciastko, skoro trudno było o jakiś sensowny prezent dla dziecka w tym nieszczęsnym kraju.

Oczywiście Włodek się nie zjawił. Wrócił do domu dopiero na drugi dzień.

Minęło kilka dni. Dopiero teraz mogę na spokojnie pisać o tym, co zdarzyło się po powrocie Włodka. Pojawił się w domu jakby nigdy nic.

Spytał Konradka, jak było na zakończeniu roku... Czy nie miał świadomości, że rani synka? Pewnie nie, bo myślał, jak zwykle, o sobie, o jakichś związkowych sprawach, jakiegokolwiek by one teraz były, a niekoniecznie o nas. Pochwalił Konradka za dobre stopnie, potargał po czuprynie. Synek zaraz uciekł do swojego pokoju. Włodek uznał, że Konradek jest jakiś marudny.

I wtedy nie wytrzymałam. Ulało się ze mnie wszystko, co wcześniej buzowało za tamą dobrego wychowania.

Wrzeszczałam na niego, że ma gdzieś synka i mnie. Że zajmuje się wszystkim, tylko nie nami. Tym swoim lodowato spokojnym głosem mówił, żebym nie robiła scen. Szczególnie przy dziecku. Jakby Konradek znowu tak bardzo go obchodził!

W końcu emocje ode mnie odpłynęły. Przez chwilę poczułam się pusta. Włodek siedział przy stole w kuchni i palił. Zapytałam go, dlaczego dla przegranej sprawy poświęca Konradka i mnie. Widziałam, że się wkurzył, ale ledwie na sekundy, tak miał. Emocje zawsze trzymał na wodzy. Zaczął do mnie mówić okrągłymi zdaniami, niczym z opozycyjnej broszurki, że dopóki są ludzie gotowi do sprzeciwu, ludzie, którzy chcą zmian, dopóty sprawa nie jest stracona. Że trzeba za wszelką cenę podtrzymywać płomyk nadziei, choćby nikły. Że walka wymaga wyrzeczeń, czasem nawet ofiar. Mówił o pobitych i zamordowanych podczas kolejnych zamieszek ulicznych, które raz po raz wybuchały w kraju. Mówił... Nie wytrzymałam i powiedziałam, że to tylko agonalne drgawki tej jego opozycji. Jego. Wkurzył się i wyszedł z domu.

Przegrana sprawa, przegrana rodzina.

Przez kilka kolejnych dni mąż częściej zostawał w domu. Pewnie myślał, że odbiorę to jako gest dobrej woli. Mnie już jednak było wszystko jedno. Wszystko jedno – refren beziły. I tak mieliśmy ciche dni, więc było dla mnie bez znaczenia, czy Włodek siedzi w domu, czy nie. Środek kolejnej nieprzespanej nocy. Zajrzałam do Konradka. Spał słodko. Z drugiego pokoju dochodziło chrapanie Włodka. Usiadłam przy oknie, zapaliłam. Ciągle wracam pod to okno, patrzę w mrok. Rozrzedza go światło latarni, ale nie rozjaśnia mroku we mnie.

Nagle przyszło mi do głowy, że może znikanie męża ma zupełnie inną, prozaiczną przyczynę. Żadna tam walka z czerwonymi, tylko zwyczajnie ma inną kobietę. Na chwilę zamarłam z papierosem przy ustach. Co poczułam? Otóż nic. I chyba nawet mnie to nie dziwiło.

Pojawił się! Bałam się, że tak będzie, ale wypychałam obawy ze świadomości.

Czaja przyszedł do mnie do pracy, niby jak zwykły klient. Zamówił ruskie i zażądał, żebym się do niego dosiadła. Widziałam znaczące spojrzenia koleżanek. Tym razem przybrał maskę fałszywego przyjaciela. Znowu sączył jad. Że jemu przecież nie chodzi o mnie, że jest mu nawet mnie tak zwyczajnie, po ludzku szkoda. Tyle że związałam się z draniem i przestępcą. Że na działalność mojego męża są ciężkie paragrafy. Zapowiedział, że będzie częściej mnie odwiedzał i że mam mu mówić, co mąż robi i z kim. Inaczej znowu zrobi się bardzo nieprzyjemnie. Tak to ujął – nieprzyjemnie. Na koniec rzucił, niby od niechcienia, że Włodek podpisał zobowiązanie. Oni o tym nie zapomnieli, bo nigdy o niczym nie zapominają. I jeśli mąż się nie wywiąże, przypomną mu o tym. Bolesnie.

Jedzenia nawet nie tknął. Nie mam pojęcia, dlaczego to zarejestrowałam.

Wieczorem w napięciu czekałam, aż Konradek zaśnie. A potem kazałam Włódkowi, tak właśnie, pierwszy raz w życiu coś mu kazałam, usiąść w kuchni. Zamknęłam drzwi. Opowiedziałam o spotkaniu z Czają. I że mam już dość tego nachodzenia, napięcia, strachu. Starał się bagatelizować sprawę, mówił, że to normalne. Gdzie on widział w tym wszystkim jakąkolwiek normalność?! Kazałam mu się zamknąć i powiedzieć, co właściwie esbekom podpisał i co teraz robi dla podziemia, jeśli cokolwiek robi. Zaczął od starej śpiewki, że tajemnica i takie tam. Bez słowa poszłam do przedpokoju, z pawlacza wyciągnęłam walizkę i postawiłam przed nim. Dałam mu wybór – albo w tej chwili odpowie na moje pytania, albo ma się wynosić z naszego życia. Myślał długo, jak dla mnie zbyt długo. Powiedział, że podpisał zwykłe zobowiązanie, że będzie przestrzegał prawa, które obowiązują w PRL-u, jakie podpisywali wszyscy wychodzący z internatu. Musiał tak zrobić, żeby wrócić do nas, do rodziny. Te wyznania już nie robiły na mnie wrażenia, nie wzruszały. Zarzekał się, że nic więcej nie podpisywał, że nie ma mowy o tym, by współpracował z czerwonymi. Zresztą najście Czai to potwierdzało, jego zdaniem. Może tak, może nie. Wykręcał się od odpowiedzi, co teraz robi, ale byłam nieugięta. Wskazałam na walizkę. Mętnie wyjaśnił, że jest kimś w rodzaju łącznika, który pomaga ukrywającym się osobom z opozycji. Zdziwiłam się, jak może to robić

z esbecją na karku. Odparł, że podziemie ma swoje struktury i sposoby, a on jest bardzo ostrożny. Bo nie chce nas narażać. Dobrze sobie.

Miałam dosyć tej rozmowy. Miałam dosyć Włodka. Zamknęłam się w łazience i puściłam wodę do wanny. Przez szum lejącego się strumienia usłyszałam, jak mąż chowa walizkę do pawlacza.

Moim pierwszym odruchem była ucieczka. Pierwszą myślą. Uciec od Czai, od męża z jego pokręconą misją naprawiania świata, od Krakowa, od całego bagna codzienności, w którym zapadłam się po szyję. Zaszyć się gdzieś, zniknąć. Złapać oddech, jeśli w ogóle jest to możliwe. Potem uznałam, że mam dosyć uciekania. Właściwie całe moje życie było paniczną ucieczką przed problemami. Nie chciałam tak żyć.

Musiałam jednak chronić Konradka. Przed problemami, które stwarzali dorośli. Przed lękiem, kiedy rozlegało się pukanie do drzwi. Przed wizytami smutnych panów, bo że takie nastąpią, byłam niemal pewna.

Zawiozłam synka do matki. Cieszył się, matka również, prawie jak nie ona. Cóż, nie widzieli się bardzo długo, a Konradek zawsze lubił babkę. Tyle dobrego. Pragnęłam, żeby miał radosne wakacje, pełne atrakcji. Byłam pewna, że moja matka o to zadba.

Odkąd wróciłam do Krakowa, ciągle dręczy mnie pytanie: dlaczego tak zrobiłam? Co mną powodowało? Obowiązek czy nadzieja?

Po naszej ostatniej rozmowie i akcji z walizką mąż starał się jakby bardziej. Rzadziej znikał z domu. Czasami nawet spytał, jak minął mi dzień. Jakby nie wiedział, że każdy jest tak samo dojmująco szary, nijaki i wyzuty z nadziei. Jakiegokolwiek. Zdaję sobie sprawę, że ogarnął go słomiany zapach, że to chwilowe. Dać mu szansę? Ostatnią? Przed pierwszą sierpniową niedzielą zapowiedział, że ma dla mnie niespodziankę. Od razu pomyślało mi się złośliwie, że podaruje mi jakąś rewelacyjną nowość książkową wydaną w drugim obiegu, coś o społeczeństwie i powinnościach. Zapowiedział, że zabierze mnie na wycieczkę do Ojcowa. Że wszystko już zorganizował. Sąsiad pożyczycy mu dużego fiata i ruszymy w drogę, tylko we dwoje.

Lekko drgnęło mi serce. Chyba. W narzeczeństwie pojechaliśmy tam na pierwszą wycieczkę. Chodziliśmy w cieniu skałek, piliśmy tanie wino, całowaliśmy się. Byłam szczęśliwa. Znowu – chyba.

Czy Włodek chciał nowego otwarcia w naszym rozpadającym się małżeństwie? Nie wiem. A czy ja tego chciałam? Też nie wiem. Jeśli już, będę się starała, dla Konradka.

Im bliżej do wycieczki, tym więcej we mnie niepewności.

Nie wiem już. Nic nie wiem. Czy nasze bycie ma jakikolwiek sens, choćby szczątek sensu. Czy pozostaje mi tylko codzienna szamotanina...

Chyba jednak cieszę się na ten Ojców...

Rozdział ósmy

Pielęgnacyjne cięcie róż

6 lipca 2016, środa, Kraków, Grabowa, Sosnowiec

Dawno nie nastawiałem budzika na tak wczesną godzinę, więc poczułem się nieswojo, kiedy dzwonek wyrwał mnie z głębokiego snu. Prawdę powiedziawszy – koszmaru. Za cholere nie mogłem wyciągnąć z pamięci, o co w nim chodziło. Chyba stwierdzenie, że im bardziej próbuje się przypomnieć sobie sen, tym mniejsze są na to szanse, było prawdziwe. Śniłem coś z wodą i zagrożeniem. Felicja pewnie by wiedziała, co to oznacza, ponieważ znała się na interpretowaniu snów, a przynajmniej tak utrzymywała. Tylko pewnie zasypałaby mnie mnóstwem pytań o szczegóły: jaka to była woda, płynąca czy stojąca, kto w nią wchodził, co w niej było...? Takie rzeczy.

Na wspomnienie mojej starowinki poczułem lekkie ukłucie wstydu, bo znowu ją zaniedbywałem. Nie dzwoniłem regularnie – taki ze mnie wnuk. Nasza ostatnia rozmowa nie potoczyła się najlepiej. Zdawałem sobie sprawę, że powinienem do niej zadzwonić i rozładować napięcie między nami, które wywołałem, łamiąc daną jej obietnicę. Zwyczajnie jednak obawiałem się tej rozmowy, bo byłem pewny, że spyta o Latawca. A wtedy zasmucę ją, mówiąc prawdę. Że chcę dopaść dawnego esbeka i wycisnąć z niego wszystko, co może wiedzieć na temat moich rodziców. Tradycyjnie postawiłem na unik. Kiedy tylko zamknę tę sprawę, pojedę do Felicji, złożyłem obietnicę samemu sobie. I zamierzałem jej dotrzymać.

Zjadłem obfite śniadanie, potem zajrzałem do biura na Kazimierzu, by przekonać się, że moja obserwacja, iż w wakacje ludzie niespecjalnie interesują się wyjawianiem tajemnic bliźnich, jest trafna. Potem ruszyłem do Grabowej.

Po kilku godzinach siedzenia w lesie miałem dosyć. Na terenie gospodarstwa ogrodniczego, właściwie – domniemanego gospodarstwa, nie działo się za wiele. Od bramy wjazdowej do budynku mieszkalnego snuł się strażnik czy ochroniarz, jak zwał, tak zwał, palił papierosy i gapił się w komórkę. Około południa pod bramę podjechał biały van.

Ochroniarz wpuścił auto bez ceregieli. Kierowca wyładował z niego kilka worków i skrzynek, potem zaraz odjechał. Z domu wyszedł mężczyzna, który zaniósł przywiezione rzeczy do wolnostojącego magazynku. I tyle było atrakcji.

Znowu zastanawiałem się, czy w szklarniach faktycznie są jakieś uprawy. Na moje oko wyglądało, że w dwóch coś rośnie, a przynajmniej zieleniło się za szkłem. Tylko co? Zanim poszedłem wczoraj spać, posprawdzałem jeszcze tę lokalizację w internecie. Gospodarstwo Ogrodnicze Kwiatex. Jeśli chodzi o nazwę, szczyt oryginalności. Należało do jednej ze spółek, w których zarządzie zasiadał Latawiec.

Nie zauważyłem żadnych kobiet. Nie działo się absolutnie nic podejrzanego. Zwykły dzień w gospodarstwie, w którym praca nie za bardzo wre. Postanowiłem sprawdzić wiejski monitoring. We wsiach takich jak Grabowa położony centralnie sklep spożywczy bywał zarazem centrum informacyjnym i strażnicą. Sklepowa – zwykle pracowały za ladą kobiety – i jej klienci mieli oko na wszystko, co działo się w bliższej i dalszej okolicy. Jako obcy wzbudziłem ciekawość, jako klient, który kupił nie tylko mineralną, bułki i kabanosy, ale również uwolnił sklep od pokrytej kurzem butelki drogiego wina, która nie wiadomo po co trafiła do Grabowej – coś w rodzaju zaufania. Nie miałem problemu z pociągnięciem sklepowej za język. „Kwiatex? Tak, oczywiście, drogę pokazać?”. Poprosiłem o narysowanie mapki. „A pan w interesach czy do pracy?”. Ściemniłem, że mam hurtownię kwiatów i szukam nowego dostawcy róż. Starsza kobieta, która przysłała po paczkę makaronu czterojajecznego, wtrąciła się, że chyba z biznesu niewiele będzie. Zaciekawilem się dlaczego. Powiedziała, że jak stara Gielakowa, która sprząta w kościele i dba, żeby nie zabrakło kwiecia przy ołtarzu, poszła do nich poprosić o jakieś kwiatki dla chwały Pana, to ją odprawili z niczym. Niby że wszystko idzie transportem za granicę i żadnych kwiatów wolnych nie mają. „Wyobraża pan sobie, tak starszą kobietę zbyć?”. Powiedziałem, że to niewyobrażalne.

Ustaliłem, że Kwiatex niby jest hodowlą kwiatów, ale nikt nie ma pojęcia jakich. I tyle w temacie. Kupiłem jeszcze dwa piwa i przysiadłem się do klubu degustatorów, którzy rezydowali z boku sklepu na przytarganych nie wiadomo skąd pustakach. Docenili hojność sponsora i chętnie mówili o Kwiateksie.

Największą ochotę do rozmowy mieli starszy mężczyzna, który mimo upału nosił wełniany sweter, i Heniek, po prostu Heniek, jak się przedstawił.

– Pyta pan kierownik, kiedy oni tu nastali? No, z kilkanaście lat będzie. Heniek, kiedy to właściwie było?

– Bo ja tam wiem? Mnie się już nawet Boże Narodzenie z Wielkanocą pierniczy i nie wiem, które święta są które. A co dopiero lata.

Też mi się trafili informatorzy.

– No, jakiś czas już zleciał – podsumował starszy.

– Na początku to my myśleli, że z tego zarobek jaki będzie – powiedział Heniek. – Wiadomo, przy kwiatach kupa roboty – wyraźnie się skrzywił.

– I że miejscowych najmą. Ale nie. Nikt z Grabowej nawet złotówki od nich nie zobaczył. Do sklepu też nie zachodzą, nieużytki jedne.

To ich pewnie bolało, bo przecież wiadomo, że jeśli kierowniczką z za lady byłaby zadowolona z utargu, chętniej dawałaby piwo na zeszyt.

– A dużo samochodów do nich przyjeżdża? Jakies tiry czy mniejsze dostawczaki?

– No, trochę jeździ – podrzucił starszy.

– Ale nie za często – dodał Heniek. – Tak raczej od wielkiego dzwonu. Normalna rzecz, taki kwiat to szybko nie rośnie.

– No, chyba żeby mu dobrego gnoju podsypać. Koński najlepszy – wydał opinię starszy.

Niespecjalnie interesowały mnie tajniki ogrodnictwa, więc pożegnałem ich, życząc udanej degustacji.

Aż do wieczora w okolicach szklarni nie zadziało się nic ciekawego. Siedziałem pomiędzy drzewami niczym leśny troll – nie wiem, dlaczego akurat tak pomyślałem o sobie – coraz bardziej zrezygnowany i zaniepokojony. Co będzie, jeśli moja mała prowokacja nie przyniesie skutków? Czas działał na niekorzyść Tatiany. A pewnie i innych dziewczyn, które wpadły w łapy ludzi Latawca. Nie sądzę, żeby chodziło tylko o nią jedną. Znowu przemknęła mi myśl, że może przetrzymywali ją w zupełnie innym miejscu albo już gdzieś wywieźli, do Niemiec albo dalej. Bywa, że kiedy ma się zbyt wiele czasu na rozmyślanie, przychodzi zwątpienie.

Nadszedł zmierzch, czas, żeby zbierać się do Sosnowca. Ledwo wszedłem do wsi, ożył mój smartfon. Oksana. Dzwoniła, a zaraz potem wysłała wiadomość, że jednak chce się ze mną spotkać. Cóż, mój błąd.

Założyłem, że poinformowanie Wiery, że w sprawie jej zaginionej przyjaciółki wciąż nie ma przełomu, wystarczy. A przecież już nie raz, nie dwa przekonałem się, że zleceniodawcy zwykle chcą nie tylko prostej informacji, że sprawa jest w toku, ale od czasu do czasu uspokajającej pogawędki, że mimo trudności sprawa zmierza ku szczęśliwemu rozwiązaniu. Nie inaczej było z Oksaną, tym bardziej że ewidentnie była z Tatianą bardzo zżyta i zwyczajnie się o nią bała. Rozumiałem jej niepokój. I poprosiłem ją, żeby nazajutrz o osiemnastej wpadła do mojego biura.

Do Kosturkiewicza zajechałem ostatni. Jacek z Renatą byli już po kolacji. Tym razem zrobił makaron z cukinią i jakimiś fikuśnymi dodatkami. Suszone pomidory? Chyba, aż tak na kucharzeniu się nie znałem. Jadłem z apetytem, oni zaś relacjonowali, co udało im się odkryć.

– To miejsce pod Jaworzmem to lipa – stwierdziła pewnie Łukowska.

– Bo? – spytałem.

– Mały magazyn na zadupiu za miastem. Wokoło tylko jakieś krzaki i nieużytki.

– Chyba Latawiec lubi takie miejsca oddalone od ludzi – skomentowałem.

– A dziwisz mu się? – Jacek zadał pytanie retoryczne.

– Na wszelki wypadek tam weszłam. Trochę pustych pudeł i jakichś śmieci. Nic więcej.

– Nie musiałaś ryzykować i się tam włamywać – powiedziałem z wyrzutem.

– Wyluzuj, staruszkule, nikt mnie nie widział.

Zdawałem sobie sprawę, że zdyscyplinowanie Renaty nie będzie łatwym zadaniem. Mnie samemu zdarzało się działanie na granicy prawa, ale tylko wtedy, kiedy naprawdę nie było innego wyjścia. Łukowska zaś, jak sądziłem, zwyczajnie potrzebowała regularnych dawek adrenaliny.

– A u ciebie, Jacek? – spytałem.

– Też raczej brak trafienia – wzruszył ramionami. – W jednym miejscu jest warsztat samochodowy. Czynny, więc raczej nie trzymają tam kobiet, bo za dużo ludzi się kręci. Poza tym dwa domy, na oko puste, i kopalnia piasku kawałek drogi za Sławkowem. Tam jest tylko drewniany barak, nic więcej. Kiepskie miejsce na ukrywanie ludzi.

– Na kiego mu takie badziewne miejscówki? – dociekała Łukowska.

– Nieruchomość jest zawsze pewną inwestycją – rzucił Jacek. – No i gdzieś musi pracować lewą kasę.

– To by kupił sobie hotel albo kasyno otworzył.

– Renata – wtrąciłem się – Latawiec nie lubi rzucać się w oczy. Poza tym jest, jak dla mnie, gangusem w starym stylu.

Tylko pokręciła głową. Nie wiem, czy ją przekonałem, ale przecież wcale nie musiałem.

– I co teraz? – Kosturkiewicz jak zwykle chciał konkretów.

– Powinniśmy skupić się na Grabowej. Obserwacja przez całą dobę – zarządziłem – bo może oni coś nocami kombinują.

Odstawiłem pusty talerz. Podziękowałem za pyszne żarcie. Byłem syty.

– A może ja zwyczajnie tam podjadę dzisiaj w nocy i rozejrzę się po terenie? – zaproponowała Renata. – Będzie szybciej, bo ta obserwacja może się ciągnąć do usranej śmierci. A czasu za wiele chyba nie mamy.

Jakbym o tym nie wiedział.

– To nie jest pusty magazyn, taki jak pod Jaworzniem, tam jest ochrona, przynajmniej dwóch ludzi.

– Dla mnie nie problem – Łukowska bagatelizowała sprawę.

– Za duże ryzyko. Trzymamy się planu. Dopóki nie zobaczymy kobiet albo choćby jakiegoś śladu obecności w Grabowej, nie wchodzimy.

– Za delikatny i ostrożny jesteś do tej roboty – podsumowała.

Skoczyło mi ciśnienie, ale zmilczałem. Nie zamierzałem kłócić się z krewką policjantką.

– Dobra, jestem na obserwacji w dzień. A kto w nocy? – spytałem.

– Ja mogę – zgłosiła się Renata.

– Ty przypadkiem nie za bardzo angażujesz się w tę sprawę? – dociekał Kosturkiewicz.

Myślałem, że Renata wybuchnie, ale jednak odpowiedziała spokojnie:

– Niech ci wystarczy, że robię to w ramach pokuty.

7 lipca 2016, czwartek, Kraków, Grabowa

Mniej więcej w połowie drogi do Grabowej zorientowałem się, że mam ogon. Niezbyt rzucająca się w oczy srebrna mazda ewidentnie trzymała się blisko mnie. Mnie się jednak w oczy rzuciła. Mogłem ją zgubić bez problemu, wystarczyłoby, żebym trochę depnął po gazie, ale chciałem się dowiedzieć, kto się do mnie przyczepił jak kleszcz. Przez to przesiadywanie pomiędzy drzewami chyba już wszystko zaczynało mi się kojarzyć z lasem.

Przez moment przestraszyłem się, że to ktoś z ludzi Latawca wlecze się za mną. Czy byłem wystarczająco ostrożny? Fakt, za bardzo szwendałem się po Grabowej. Tyle tylko że żołnierze gangusa z Sosnowca zdawali się interesować jedynie gospodarstwem ogrodniczym, a nie tym, co działo się we wsi. Przynajmniej miałem taką nadzieję.

Postanowiłem zatem sprawdzić, kto wziął mnie na celownik, więc zjechałem na najbliższą stację benzynową. Kupiłem kawę i hot doga. Dosyć paskudnego, ale i tak go zjadłem. Stałem przy wysokim stoliku we wnętrzu stacji i popijając bardzo czarny, ale jednak słaby płyn, obserwowałem, co dzieje się na zewnątrz. Kierowca mazdy, szerszy niż wyższy, naprawdę bardzo się starał, żeby wyglądać na zwykłego klienta stacji. Zatankował, przyszedł zapłacić, nawet nie zerkając w moją stronę. A później odjechał na bok i z pietyzmem przecierał szyby. Dałem mu tyle czasu, żeby mógł sprawić, aby błyszcząły.

Podczas śledzenia ważne są drobiazgi, w tym przypadku ktoś o nie nie zadbał. Mazda była na warszawskich numerach. Wszystko wskazywało, że śledzi mnie człowiek Żukowskiego. Czyli moja prowokacja przyniosła skutek. Była akcja, więc najpewniej nastąpiła reakcja i boss z Pragi postanowił działać. Ciekawe, co się wydarzyło i dlaczego Żukowski chce wiedzieć, co robię. Zastanawiałem się, czy teraz poszukać odpowiedzi na te pytania, czy jednak się wstrzymać. Miałem kilka opcji. Mogłem już teraz ujawnić, że zauważyłem ogon, pójść na konfrontację z kierowcą mazdy i dowiedzieć się, czego Żukowski tak naprawdę ode mnie chce. Ryzykowne, tym bardziej że nie przepadałem za mordobiciem, ale mogło się powieść. Mogłem też zwyczajnie zgubić mazdę – bez większego problemu, jak sądziłem. Albo pozwolić się dalej namierzać – wtedy doprowadzę człowieka Żukowskiego do Grabowej. Coś na tym zyskam, a może nie. Problemem nie było ujawnienie lokalizacji jednej z nieruchomości Latawca, tylko fakt, że ktoś, kogo zamiary nie były dla mnie klarowne, będzie plątał mi się za plecami, a to może spowodować na mnie problemy w najmniej oczekiwanym momencie. Postanowiłem zaryzykować. Prawdopodobnie taka decyzja wynikała z tego, że Łukowska wjechała mi na ambicję. Wcale tego nie wykluczałem. Głupie postępowanie, ale przynajmniej miałem tego świadomość.

Godziny wysiadywania w lesie znowu nie przyniosły konkretnych efektów. Działo się mniej więcej tyle samo, co wczoraj, czyli niewiele. Jediną nowością było, że do gospodarstwa ponownie przyjechał czarny

van. I nie odjechał. Potencjalnie stanowiło to problem, bo do dwóch mężczyzn, którzy rezydowali przy szklarniach, dołączył trzeci. Gdyby trzeba było wkraczać, mogliby mieć przewagę. Postanowiłem, że pomartwię się tym później. Tak miałem.

Przed siedemnastą pojawiła się Łukowska, żeby mnie zmienić. Wcześniej nie byłem pewien, czy zdąży na czas – w końcu miała robotę. Przez telefon oznajmiła, że wzięła urlop. To dobrze? Urlop ułatwiał jej pewne działania, ale trochę niepokoiło mnie jej duże zaangażowanie w sprawę. Tym bardziej że – tego też miałem świadomość – mój wpływ na nią był nikły. Trudno, w końcu w tej sprawie ryzykowałem nie tylko ja.

Podaliśmy jej moją lokalizację w lesie za Grabową, ale i tak łąziła po lesie od prawej do lewej jak pijany dzik. O ile dziki bywają pijane.

– Słyszać cię na kilometr – powitałem ją z rozbawieniem.

– Weź mnie nie osłabiaj. Nie jestem z partyzantki od Macierewicza. Nienawidzę lasów.

Ciekawe dlaczego. Nie drążyłem tematu.

– Coś się działo? – spytała, kiedy już klapnęła obok mnie, wcześniej sprawdzając, na co siada.

Nie lubiła robali?

– I tak, i nie. Tutaj – wskazałem w kierunku szklarni – zajechał nowy samochód, więc masz na terenie trzech gości.

– Spoko.

– Żadne spoko – jasno postawiłem sprawę. – Jest tam ich teraz trzech, więc nie rób nic głupiego.

– Trzech na jednego to banda łysego – wypaliła.

– Co ty gadasz?

– A taka tam odzywka z podstawówki – położyła mi dłoń na ramieniu.
– Nie bój się, znam granice.

Tak do końca nie byłem pewien, czy mówi prawdę, czy jedynie mnie uspokaja.

– I mam ogon. Najpewniej ktoś od Żukowskiego.

– Czyli rekinki trąciły przynętę.

– Na to wygląda. Nie widziałaś tu jakiegoś zbłąkanego zbieracza runa leśnego?

– Nie bardzo.

Byłem ciekaw, czy kierowca mazdy poszedł za mną, czy nie. Renata go nie przyuważyła, ja też nie, więc albo koleś dobrze się krył, albo zwyczajnie tkwił w Grabowej, pilnując mojego auta.

– Typ pewnie pojedzie za mną, ale w razie czego, Renata, miej oczy dookoła głowy.

– Się wie.

– Okej, to zbieram się do Krakowa.

– Chyba lubisz jeździć – powiedziała z uśmiechem.

– Muszę uspokoić Oksanę. Świruje, że nadal nic nowego nie wiemy w sprawie Tatiany.

– A uspokajaj. Twoja broszka.

Zostawiłem jej lornetkę i aparat fotograficzny, prosząc, żeby dokumentowała wszelkie akcje w gospodarstwie. Wstałem i jęknąłem z cicha.

– Ciężary, staruszkę? – spytała z udawaną troską.

– Nie mów do mnie „staruszkę”.

– Jeśli kolega tego potrzebuje do szczęścia... I wiem, co powiesz za chwilę...

Wróżka czy co?

– Nie zrobię nic głupiego, a jakby zaczęła się jakaś konkretna akcja, zadzwonię do ciebie i Jacka.

Nie byłem pewien, czy tak zrobi.

Oksana przyszła z Wierą, co nie było dla mnie niespodzianką. Opowiedziałem, jak się ma sprawa Tatiany. Absolutnie szczerze.

– Czyli pan tak do końca nie wie, gdzie Tania jest? – Dziuba nie sprawiała wrażenia uspokojonej.

– Myślę, że na dniach wszystko się wyjaśni. Naprawdę, pozwólcie mi działać. Myślę, że jestem blisko.

Okrągłe zdania, mało konkretów. Czy zaklinałem rzeczywistość? Niewykluczone.

Poprosiłem, żeby nie atakowały mnie telefonami, bo to nie pomaga w akcji, a czasami może przeszkadzać. O ile jakaś akcja będzie. O tych wątpliwościach już nie wspomniałem.

Oksana pojechała do domu, ale Wierze niekoniecznie chciało się wracać do siebie. Złapałem się na tym, że nawet nie wiedziałem, gdzie ona mieszka. Zauroczenie sprawia, przynajmniej tak jest w moim przypadku, że niespecjalnie zwraca się uwagę na szczegóły. Tylko czy ja

wciąż byłem zauroczony? Dobrze pytanie, ale na razie nie szukałem na nie odpowiedzi.

Wiera wyciągnęła mnie do Alchemii na Żydzie. Jedno małe piwo nie mogło mi zaszkodzić. Przynajmniej tak mi się wydawało. Usiedliśmy w ogródku, popijaliśmy w milczeniu. Wydawało mi się, że Wiera wyczekuje odpowiedniego momentu, żeby powiedzieć mi coś istotnego. Napięcie nieco mnie męczyło.

– Wyduś to z siebie – nie wytrzymałem.

– Ale co?

– Chyba nie przez przypadek chciałaś zostać ze mną sama. Bez Oksany.

– Po prostu chciałam posiedzieć w przyjemnym miejscu z przyjemnym facetem.

Tylko tyle?, pomyślałem. Zajrzałem w głąb siebie, żeby dowiedzieć się, czy poczułem żal. Chyba jednak nie bardzo.

– Dla jasności – Wiera zaczęła niepewnie – bo lubię jasne sytuacje. Masz jakiś problem z tym, co między nami się działo?

– Problem?

Zapytałem, bo do końca nie byłem pewien, co myślę o naszej relacji. O Wierze, która zawróciła mi w głowie. Bo tak na pewno było. Ale czy na długo?

– Wiera, posłuchaj, jestem...

I wtedy go zauważyłem. Stał przy kramach kilkadziesiąt metrów od nas i udawał, że na mnie nie patrzy. Kierowca mazdy. Wiedziałem, że ciągnie się za mną od Grabowej, pozwalałem mu, żeby mnie śledził, ale teraz przegiął. A może tylko ta dziwna rozmowa nierozmowa z Wierą mnie nakręciła. Postanowiłem działać.

– Sorry, mam sprawę do załatwienia – rzuciłem, wstając od stolika.

– Ale...

Urwane zdania, niewypowiedziane słowa. Nie miałem teraz na takie rzeczy ani czasu, ani cierpliwości.

Zapaliłem i spokojnie poszedłem przez plac. Skręciłem w Meiselsa, a potem przeszedłem przez najbardziej malownicze podwórze na Kazimierzu, łączące tę ulicę z Józefa. Niech sobie chłopak ze stolicy pozwiedza. Wbiłem na Bożego Ciała i przez plac Wolnica pociągnąłem go na Skawińską. Trochę z boku Kazimierza i na tyle spokojnie, że można było tam zaaranżować pogawędkę. Stosunkowo spokojną. Za kamienicą skręciłem w stronę Bulwarów Wiślanych. I czekałem. Nie był czujny ani

trochę. Zanim się spostrzegł, chwyciłem go za rękę, założyłem chwyt i rzuciłem na chodnik. Jęknął. Przechodząca obok para odwróciła wzrok. Uroki Kazimierza – nikt się do niczego nie wtrąca.

– Czego chce Żukowski?

– Ale że kto?

Mocniej wcisnąłem kolano w jego plecy.

– Jak nie będziesz gadał, zaboli, jasne?

Wymruczał coś niezrozumiałego.

– Jeździsz za mną, wszystko czaję. I wiem, od kogo jesteś. Tylko interesuje mnie, dlaczego Żukowski postanowił mi założyć ogon. Proste pytania, proste odpowiedzi. Jesteś od niego?

– Tak.

– Widzisz, jak ładnie.

Szarpnął się. Naprawdę nie chciałem go bić, ale zasłużył sobie na solidny cios. Zabolą mnie dłoń. Nie za bardzo nadawałem się do takich akcji.

– Mów, dlaczego ciągniesz się za mną.

– Boss chce wiedzieć, co zamierzasz.

– Bo?

– Ktoś spalił naszą knajpę.

– Kto?

– Żukowski myśli, że to ten koleś z Sosnowca. I że ty masz coś z tym wspólnego.

– Naprawdę?

Moja prowokacja przyniosła efekt, chociaż nie byłem pewien, czy taki, jakiego chciałem.

– Co masz tu robić? – spytałem.

– Nic, miałem tylko cię obserwować. Naprawdę.

Walnąłem go jeszcze raz o chodnik.

– Czego naprawdę chce Żukowski?

– Nie wiem. No nie wiem, do chuja pana.

Jakoś mu wierzyłem. Zostawiłem go, wiedząc, że i tak będzie mnie śledził. Może będzie dobrze, może i nie.

Wróciłem do Alchemii. Wiery już tam nie było. Nawet mnie to specjalnie nie zabolą.

8 lipca 2016, piątek, Grabowa

– Jebać to! – rzuciła Łukowska i poszła w stronę ogrodzenia.

Nadchodziła noc, wiedziałem, że Renata robi się niecierpliwa, ale jednak wszystko miało swoje granice. Nie dla niej.

Pod szklarnie do Grabowej przyjechał Latawiec. Klarowałem Renacie, że nie widzieliśmy żadnych kobiet. Ani nic niepokojącego. Stwierdziła, że przyjazd gangusa nie jest przypadkowy. Może miała rację. Ruszyła, a ja nie umiałem jej powstrzymać. Przecież nie mogłem do niej strzelać.

Całe szczęście, że od strony lasu nikt nie pilnował posesji. Renata przeskoczyła przez płot i wyjęła broń. Niedobrze. Przyczaiła się za płotem, blisko jakiegoś magazynu. Dobiegłem do niej.

– Co ty robisz? – rzuciłem.

– Działam, bo ty nie potrafisz.

Chwyciłem ją za barki i odwróciłem do siebie. Trzymałem mocno.

– Nie powstrzymasz mnie – rzuciła.

– Bo?

– Nie jesteś w stanie.

Pewnie miała rację. Nie byłem pewien, czy chcę ją powstrzymać. Czasami płynięcie na fali wydarzeń było najlepszym rozwiązaniem.

Sytuacja nie była dobra. Pięciu facetów, o których nie miałem pojęcia, do czego są zdolni, i nasza dwójka. Zadzwoiłem do Jacka i poprosiłem, żeby przyjechali na bombach. Tyle mogłem.

– Renata, teraz to nie ma sensu.

– Bo? Natnijmy trochę róż dotkniętych zarazą.

– Jaką znowu zarazą?

– A co ja, wierna ogrodniczka?

Wiedziałem, że Łukowska jest w trybie zadaniowym, więc jej nie przekonam.

Przypałała się jeden z ochroniarzy, którego Renata spacyfikowała bez problemu. Nie zdziwiło mnie to.

Wbiliśmy do domu.

Kolejny ochroniarz padł, kiedy tylko walnąłem mu z rękojeści glocka. Nie byli czujni. I nagle pojawił się Latawiec.

– No, do chuja, co to jest? – gangus był zdziwiony.

Wywlokłem go za fraki przed dom. Nie nazbyt delikatnie.

– Gdzie jest Tatiana?

– Czemu pytasz o jakąś bladź?

Biłem go. Długo. Nie lubiłem tej furii w sobie. Moje kostki zabarwiły się na czerwono.

- Nazywam się Konrad Rowicki. Kojarzysz nazwisko?
 - Nie bardzo.
 - Chcesz jeszcze wpierdol?
- Latawiec wypluł krwawą ślinę.
- Rowicki, mówisz...
 - Bez ściemy, bo cię zajebię.
 - Miałem informatora o tym nazwisku...
- A potem zawyły syreny i rozpętało się piekło.

Epilogi

Później

Siedziałem w ogrodzie i patrzyłem, jak motylki kapustniki bujają się koło kwiatów. Zadne i uspokajające.

Właściwie nie miałem nic sensownego do roboty. Przyjechałem do Ciechanowa, do Felicji, i udawałem, że niewiele się stało.

Moja starowinka przyszła z kawą. Zbawienne.

– I naprawdę nie wiesz, co się stało? – starowinka, jak zwykle, chciała wszystko wiedzieć.

– Felicja, ktoś go zabił.

– Kto?

– Nie mam pojęcia. Pewnie człowiek Żukowskiego.

– Ten Latawiec coś ci powiedział?

– Nie bardzo. I nie wiem, czy chcę to wiedzieć.

Felicja zaciągnęła się głęboko.

– Ta wiedza nie jest ci do niczego potrzebna. I tyle.

– Pewnie, wiem – skwitowałem bez przekonania.

Moja starowinka poszła do kuchni i przyszła z talerzem ciasta. Ze śliwkami.

– A co tam właściwie się stało? – spytała ponownie.

– Do końca nie wiem.

– A chcesz wiedzieć?

– No nie. Ktoś zastrzelił Latawca. Pewnie ten koleś od Żukowskiego. Znaleźliśmy w tym domu przy szklarniach siedemnaście kobiet. Uwolnili je...

– Lepiej ci z tym?

– Nie jestem pewien.

Zgasła fajkę, nic więcej do powiedzenia nie było.

Trochę później

Kilka razy zbierałem się, żeby zadzwonić do Lucyny Kozłowskiej, żony krawca męskiego. Nie mogłem pozbyć się wątpliwości. Fakty były takie, że jej mąż, Ludwik, nie zdradzał jej, ale też do końca uczciwy nie był. Chyba. Tak wynikało z mojego śledztwa.

Mogłem najzwyczajniej w świecie poinformować ją, że nie doszło do zdrady, zainkasować honorarium i tyle. Nie byłoby to jednak, jak sądziłem, do końca uczciwe. Bałem się, że przedstawiając fakty, zburzę spokój Lucyny. A prawda? Ludzie szukają prawdy, często rozpaczliwie, a kiedy już ją odkrywają, niekoniecznie ich to uszczęśliwia. Albo nie zamierzają przyjąć jej do wiadomości i zaakceptować. Przerabiałem już takie sytuacje z moimi zleceniodawcami niejednokrotnie. Odnosiłem jednak wrażenie, że Kozłowska i tak nie ma spokoju w życiu. Inaczej by do mnie nie przyszła. Uznałem, że być może informacje, które jej przekażę, pozwolą kobiecie inaczej spojrzeć na własne życie, wprowadzić w nim zmiany. A może nie szukała informacji, tylko potwierdzenia, pewności? Koniec końców wybrałem jej numer.

Przyszła tego samego dnia, bo nalegała na jak najszybsze spotkanie. Tyle w temacie spokoju Lucyny. Była wyraźnie spięta i zdenerwowana. Pewnie też bym był, gdyby nie mój wrodzony spokój.

– Pani Lucyno, ustaliłem, że mąż pani nie zdradza.

Czy dostrzegłem na jej twarzy choćby cień ulgi? Nie byłem do końca pewien.

– To gdzie on znika na całe wieczory? Rozumiem, że może rodzinne ciepło już mu się znudziło. Od dawna nie angażuje się w domowe sprawy tak jak kiedyś. Tłumaczy się pracą... Wiem, że zarabia na cały dom, rodzinę, a z życia wcale nie jest łatwo się utrzymać. Ja to wszystko doskonale rozumiem.

Otworzyłem leżącą na biurku teczkę i rozłożyłem przed nią kilka zdjęć. Brała je po kolei i oglądała z napiętą uwagą.

– I co to niby jest? – w jej głosie pobrzmiwała bezradność.

– Pani mąż spotyka się z mężczyznami. Zwykle młodszymi.

Opuściła głowę i zaczęła szybciej oddychać. Wiedziała, podejrzewała coś?

– Dobrze się pani czuje?

– Tak, tak – potwierdziła szybko, zbyt szybko. – Proszę mówić. Wszystko.

– Z jednym był w kawiarni – wskazywałem fotografie – z innym na kolacji w knajpie, a z tym w teatrze.

– W sobotę?

– O co pani pyta?

– Czy ten teatr był w sobotę?

Potwierdziłem.

– A Ludwik mówił, że ma pilne zlecenie.

Kłamstwa, półprawdy, uniki. Ludzie okłamywali się na potęgę. Czasami nawet tylko dla sportu albo opacznie rozumianej wygody. Dawno przestało mnie cokolwiek dziwić.

– Tyle że, pani Lucyno, na tym się kończyło.

– To znaczy?

– Kończyło się na spotkaniach i rozmowach. Potem pani mąż wracał do domu.

– Tak, on zawsze wraca... I co ja...

Nie miałem kompetencji, żeby jej pomóc czy doradzić. Nie byłem psychologiem. A detektyw nie powinien pozwalać na wypłakiwanie mu się na ramieniu przez zleceniodawców. O ile nie chciał skończyć, ćpając pigułki szczęścia.

– Pani Lucyno, to wszystko, co udało mi się ustalić.

– Tak, rozumiem. I dziękuję.

– Nie ma za co. Robiłem swoje.

Umówiliśmy się, że honorarium przeleje mi na konto. Wyszła. Patrzyłem na zamknięte drzwi, zastanawiając się, co powoduje ludźmi, że latami żyją w kłamstwie. Jak dla mnie Kozłowski był kryptogejem. Może już zdradził żonę, może dopiero do tego się szykuje. Dlaczego nie wyszedł z szafy? Powodów mogło być całe mnóstwo.

A w cholere z tym!

Jeszcze później

Telefon i propozycja Oksany Dziuby trochę mnie zdziwiły. W sumie jednak, po zamknięciu spraw Kozaka i krawca męskiego, nie miałem nic do roboty, więc piątkowy wieczór mogłem poświęcić na świętowanie. Tak trochę. Oksana wraz z koleżankami chciały mi jeszcze raz podziękować za odnalezienie i uratowanie Tatiany. Nawet zrobiło mi się miło. Prywatni

detektywi często odkrywają brudy, prawdę ponurą i nie zawsze chcianą przez zleceniodawcę. A wiadomo, jak się traktuje posłańców przynoszących złe wieści. W tym przypadku – przyjemna odmiana.

Nie chciało mi się włączyć po mieście, więc umówiłem się z nimi w Drukarni na Podgórzu. No i gdybym nadużył, zawsze stamtąd jakoś dotoczę się do domu. Przyszedłem pierwszy, znalazłem wolny stolik przed knajpą, popijałem piwo i popatrywałem na gęstniejący imprezowy tłum, z rozbawieniem typując, kto w przyszłości stanie się moim klientem. Może niewyszukana, ale zawsze jakaś rozrywka.

Tatiana i Oksana przyszły razem. Zinczenko wciąż była trochę wycofana. Nic dziwnego, po tym, przez co przeszła, pewnie jeszcze długo będzie dochodziła do siebie. Pod grubą warstwą pudru na jej policzkach wciąż dostrzegałem cienie sińców. Na początku było trochę drętwo, kobiety dziękowały mi, a ja rzucałem tradycyjne, że nie ma za co, że po prostu wykonałem swoją robotę, zwyczajna sprawa... Po drugim piwie atmosfera zrobiła się luźniejsza na tyle, że spytałem Tatianę o jej plany. Wyglądała na spłoszoną, odpowiadała wspomagana przez przyjaciółkę. Że na początku chciała od razu wracać do Ukrainy, żeby uciec od złych wspomnień. Nie dziwiłem się. Oksana wtrąciła, że przekonała Tatianę, żeby jednak została w Polsce, chociaż na krótko, i zobaczyła, jak tu naprawdę jest, jak się żyje. I żeby przekonała się, że nie wszyscy Polacy są źli. Tatiana powiedziała, że chce spróbować nowego życia i że Oksana załatwiła jej pracę przy sprzątaniu domów. Cóż, jeśli Zinczenko trafi na taką pracodawczynię jak Kortowska, dla której pracowała Oksana, trudno jej będzie przekonać się o dobroci naszej nacji.

Wiera pojawiła się bardzo spóźniona. Już nawet straciłem nadzieję, że ją zobaczę. A nie ukrywam, że po trochu liczyłem na to spotkanie, chociaż tradycyjnie nie miałem pojęcia, na co naprawdę liczyłem. Nie przyszła sama, lecz w towarzystwie wysokiej brunetki, na moje oko niezbyt pięknej. Jasne, mogłem być nieobiektywny i zapewne byłem. Justyna, tak ją przedstawiła.

Spotkanie weszło w fazę swobodnej paplaniny o wszystkim i o niczym. Po kolejnym piwie czułem się lekko wstawiony i zastanawiałem się, czy nie zebrać się do domu. Niech sobie dziewczyny poplotkują, o czym chcą, bez chłopa wiszącego im nad głową. Kątem oka dostrzegłem, jak Wiera obejmuje jedną ręką Justynę i całuje ją w szyję. Niby niewinny gest. Przemknęło mi jednak przez myśl, że zrobiła tak, bym to zauważył. Daj

spokój, Rowicki, skarciłem się w myślach. Pocałowała Justynę, bo miała na to ochotę. Taka była Wiera – robiła, co chciała. Chyba.

Zadzwoiła komórka. Trochę potrwało, zanim wygrzebałem ją z kieszeni spodni. Spojrzałem na wyświetlacz i po raz drugi tego dnia się zdziwiłem.

– Renata? Co się urodziło?

Spis treści

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Prologi

1. Dwa tygodnie wcześniej

2. Rok wcześniej

3. Półtora roku wcześniej

CZĘŚĆ I. „Naciąłeś dziewcząt jak róż w kraju sosny...”

Rozdział pierwszy. Ukraińskie zlecenie

Zeszyt w płóciennej okładce I

Rozdział drugi. Rozrywka

Zeszyt w płóciennej okładce II

Rozdział trzeci. Niezorientowani

Zeszyt w płóciennej okładce III

Rozdział czwarty. Trefne zmywaki, trefne fajki

Zeszyt w płóciennej okładce IV

CZĘŚĆ II. „Jaka róża, taki cierń”

Rozdział piąty. Dmuchańce, latawce, słowa na wiatr

Zeszyt w płóciennej okładce V

Rozdział szósty. Pomocna dłoń

Zeszyt w płóciennej okładce VI

Rozdział siódmy. Zmyłka

Zeszyt w płóciennej okładce VII

Rozdział ósmy. Pielęgnacyjne cięcie róż

Epilogi

Później

Trochę później
Jeszcze później